



Gail Whetiker



Czego nie czynią damy?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Do teatru należało ubrać się odpowiednio. To bardzo ważne chociażby dlatego, by nie rumienić się ze wstydu, gdyby w sąsiedniej loży zasiadła jakaś znamienita osoba. Bo przecież dziewczyna nigdy nie wie, czy tego wieczoru nie pojawi się w teatrze jakiś wicehrabia do wzięcia czy nawet hrabia rozglądający się za żoną, więc przy takiej liczbie młodych kobiet szukających męża nie może sobie pozwolić na przegapienie żadnej okazji.

W każdym razie w ten sposób pani Bretton uzasadniała swoje żądanie, by obie jej córki wyglądały tak pięknie, jak to tylko możliwe, a Victoria Bretton, przeglądając się w przechylnym empirowym lustrze, pomyślała, że tak właśnie powinna sądzić ambitna matka. Niezameżne córki należało bowiem przedstawiać w jak najkorzystniejszym świetle czy to na wieczorach muzycznych, czy podczas wielkiego balu, czy na premierach w eleganckim teatrze Gryf, mimo że do tego ostatniego skora była chodzić tylko ona.

Na szczęście to, co widziała w lustrze, wróżyło, że jeżeli tego wieczoru zawiedzie w jakiś sposób oczekiwania, to nie z powodu prezencji. Suknia z zagranicznego jedwabiu w kolorze kości słoniowej uszyta była według najświeższej mody, a piękny naszyjnik z pereł i rubinów, który pożyczyła jej stryjenka Tandy, stanowił świetne dopełnienie kreacji. Purpurowe drogie kamienie połyskiwały w wycięciu dekoltu, który, jak stwierdziła stryjenka, nie był ani zbyt skromny, ani zbyt śmiały, a wysoko upięte włosy, których kolor ktoś porównał do barwy miodu z koniczyny, tworzyły niezmiernie wyszukaną fryzurę, którą ułożyły zręczne ręce ciocinej pokojówki. Jednym słowem, Victoria bez dwóch zdań wyglądała jak młoda dama w każdym calu i pod każdym względem spełniała oczekiwania eleganckiego towarzystwa.

Lecz cóż powiedziałyby to towarzystwo, pomyślała, odwracając się od lustra, gdyby wiedziało, czym naprawdę jest dla niej ten wieczór.

Gdy ruszyła schodami do holu, w domu panowała cisza. Światło świec migoczących w kinkietach i kandelabrach, padając na eleganckie meble, nadawało im ciepły złocisty odcień, a portrety dawno zmarłych arystokratów spoglądały na nią ze ścian, przy czym krytyczny wyraz ich twarzy zdawał się milcząco potępiać jej plany.

Jednak Victoria nie zwracała na to uwagi, jako że jej uwagę zaprzętały żywi, a nie umarli.

Poza tym nie były to portrety jej przodków. Malowidła te, podobnie jak dom, należały do brata jej ojca oraz jego żony, ekscentrycznej pary emerytowanych aktorów, właścicieli kilku londyńskich teatrów i kilku domów w Londynie. Para ta użyczyła jednego z tych domów rodzicom Victorii na dwa ostatnie sezony, by umożliwić pannom Bretton debiut towarzyski. A ponieważ Victoria zadebiutowała w zeszłym roku, a Winifred w bieżącym, pani Bretton miała nadzieję, że przynajmniej jedna z dziewcząt wyjdzie za mąż pod koniec sezonu.

Gdyż perspektywa powrotu do hrabstwa Kent z dwiema wciąż niezamężnymi córkami wydawała jej się wprost nie do zniesienia.

- Dobry wieczór, panno Bretton - powitał Victorię stojący przy drzwiach kamerdyner. - James przygotował powóz, a brat panienki już wyszedł.

- Dziękuję, Quince. - Victoria obróciła się, by stary sługa mógł przykryć jej ramiona aksamitną peleryną. - Czy wiesz, gdzie moi rodzice i siostra jedzą dziś wieczorem kolację?

- Sądzę, panienko, że z sir Rogerem i lady Fulton. Ach tak, rzeczywiście, z baronetem i jego żoną. Choć sir Roger był tylko baronetem, małżonkowie zajmowali wysoką pozycję w towarzystwie. Mieli dwóch nieżonatych jeszcze synów, z których jednego spodziewała się usidlić Winifred.

Młodsza siostra Victorii nie przepuściłaby z pewnością okazji, by spędzić z nim czas nawet na rozrywce tak nieinteresującej, jak przedstawienie teatralne. Ale czymże była premiera najnowszej sztuki Valentine'a Lawe'a w porównaniu z perspektywą trzepotania rzęsami i spoglądania na pana Henry'ego Fultona ponad srebrną zastawą?

- Dziękuję, Quince - powiedziała Victoria, starając się niczym nie zdradzić swego rozczarowania. - Dobranoc.

- Dobranoc, panienko. Aha... Ojciec panienki prosił, bym życzył panience wieczoru zwieńczonego sukcesem. Powiedział, że panienka będzie wiedziała, co miał na myśli.

Victoria uśmiechnęła się. Tych kilka prostych słów, równie enigmatycznych jak lakonicznych, wystarczyło, by podnieść ją na duchu. Kochany papa! Zawsze był jej

sprzymierzeńcem, nawet w tej sprawie. Podziękowała kamerdynerowi jeszcze raz i wysłała na chłodne wieczorne powietrze. Jak na koniec kwietnia dzień był wyjątkowo ciepły, ale po zachodzie słońca temperatura szybko spadała, więc Victoria z wdzięcznością pomyślała o aksamitnej pelerynie.

- Dobry wieczór, panno Bretton - powitał ją z szacunkiem stangret.

- Dobry wieczór, Jamesie - odparła z uśmiechem, wsiadając do powozu z pomocą lokaja.

W domu, w hrabstwie Kent, nie mieli lokajów. Dawali tam sobie radę wyłącznie z kucharką, dwiema pokojówkami, pomocą kuchenną oraz poczciwcem, który służył zarówno jako lokaj, jak i stajenny. Gdy gdzieś się wybierali, to albo na piechotę, albo jechali gigiem. Z takimi luksusami jak osobista pokojówka i zamknięte powozy Victoria zetknęła się dopiero w Londynie, a powóz, do którego właśnie wsiadła, był szczytem luksusu. Jego wnętrze rozświetlał blask dwóch małych lampek, ściany obite były rdzawoczerwonym jedwabiem i ozdobione złocistymi frędzlami, a poduszki obciągnięte rdzawoczerwonym aksamitem.

Jej brat, Laurence, siedział już w środku i czytał książkę. Był przystojnym młodym człowiekiem, albo raczej mógłby nim być, gdyby choć odrobinę się do tego przyłożył. Najwyższej jakości frak z ciemnoniebieskiego materiału, włożony na białą kamizelkę, nie leżał bowiem tak doskonale jak w zeszłym roku, a gęste falujące włosy znajdowały się w nieładzie, nadając mu wygląd niedbałego brata łąty. Na końcu kształtnego nosa tkwiły okulary w drucianych oprawkach, a kciuk był pomazany atramentem.

- Niech zgadnę - powiedziała Victoria. - „Uwagi na temat pewnych zabytków” White'a albo „Podróże po Egipcie i Nubii” Nordena?

- Ani jedno, ani drugie - odrzekł Laurence, niczym posłuszne dziecko odkładając książkę. - To są „Listy o Egipcie” Savary'ego. Gdy ją niedawno dostałem, pomyślałem, że będzie to lekka lektura, w sam raz w drodze do teatru. - Zdjął okulary i umieścił je na książce. - A ty? Gotowa na to, co się ma wydarzyć?

- Niby tak, choć wyznam, że jestem bardzo zdenerwowana - zwierzyła się Victoria. - Co będzie, jeżeli nikt się nie pojawi?

- Ależ publiczność dopisze! Stryj Theo spodziewał się, że wyprzedzi wszystkie bilety.

- Zawsze jest optymistą.

- Nie, stryj Theo jest człowiekiem, który zna swój fach - powiedział spokojnie Laurence. - To oczywiste, zważywszy na to, jak długo się nim zajmuje. A doświadczenie uczy, że sztuki Valentine'a Lawe'a zawsze cieszą się powodzeniem.

Victoria poprawiła się na aksamitnych poduszkach i pomyślała, że chciałaby mieć taką pewność jak brat. To prawda, wszystkie trzy poprzednie sztuki Lawe'a były cenione przez krytykę i publiczność, nie oznacza to jednak, że wszystkim kolejnym zagwarantować można to samo. Publiczność teatralna jest kapryśna, rzecz to dobrze znana. Jednego dnia przyjmuje coś z aplauzem, a drugiego wręcz jako obrazę, a biorąc pod uwagę satyryczny charakter sztuk Lawe'a, trzeba liczyć się z tym, że jakaś prominentna figura, podejrzewając, że prześmiewcze ostrze jest skierowane przeciwko niej, nie doceni humoru autora i wyrazi swoją dezaprobatę.

Jednak nie można już było powstrzymać biegu wypadków. Za niecałe pół godziny kurtyna pójdzie w górę i „Wybór damy” ujrzy po raz pierwszy światła rampy. Należało więc tylko mieć nadzieję, że Laurence ma rację, gdy twierdzi, że stryj Theo wie, o czym mówi.

Ruch w mieście jak zwykle był okropny. Ciągące niekończącym się strumieniem powozy dudniły na bruku, wioząc pasażerów na wszelkiego rodzaju wieczorne rozrywki. Victoria, widząc sznur pojazdów zdążających do rezydencji w dzielnicy Mayfair, poczuła przez chwilę ulgę, ponieważ tego wieczoru zdążyła nie tam, tylko do teatru Gryf, który był najnowszym i najelegantszym z londyńskich teatrów. Jego gmach, niegdysiejszy zrujnowany magazyn, został starannie odnowiony i przerobiony, a w jego wnętrzach znajdowała się obecnie istna skarbnica włoskich marmurów, weneckiego szkła oraz brokatów i jedwabi wprost z Dalekiego Wschodu. Widownia była większa, a loże wspanialsze niż w którymkolwiek z londyńskich teatrów, natomiast freski na suficie podobno zostały stworzone przez jednego z potomków samego Michała Anioła.

Niestety Gryf na początku swej działalności nie miał zezwolenia na granie prawdziwych dramatów, dlatego szefowie musieli kontentować się takim repertuarem jak ko-

miczne operetki czy burleski. Jednak dość szybko teatr wslawił się tym, że proponuje wartościową rozrywkę na wysokim poziomie. Dzisiejszego wieczoru miało być podobnie, wystawiano bowiem najnowszą sztukę Valentine'a Lawe'a. Krążyła plotka, że na widowni znajdzie się sir Michael Loftus, krytyk teatralny „Morning Chronicle”, którego aprobata równała się aprobacie samego Pana Boga.

Tak w każdym razie powiedział Victorii stryj, a ona, znając jego doświadczenie, nie miała co do tego nawet cienia wątpliwości. Gdy powóz wziął ostatni zakręt, oczom Victorii i Laurence'a ukazał się teatr Gryf, wspaniała budowla górująca nad innymi i świecąca bielą murów na tle ciemniejącego nieba. Victorii na ten widok aż dech zaparło. I co za tłumy! - pomyślała, gdyż sądząc po strumieniu wolno posuwających się land i innych eleganckich powozów, większość londyńskiej śmietanki towarzyskiej wybrała się na tę premierę.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - odezwał się Laurence, gdy powóz wjechał w uliczkę biegnącą wzdłuż murów teatru.

Victoria przycisnęła dłoń do piersi i zamknęła oczy.

- Ja tam nie wejdem, Laurie. Naprawdę. Po prostu nie mogę.

- Ależ możesz! Stryjenka Tandy i ja będziemy na ciebie czekali w loży, a przedstawienie okaże się oszałamiającym sukcesem. Tak po ostatniej próbie powiedział stryj Theo, a wiesz dobrze, że nigdy by nas nie okłamał.

Rzeczywiście, na pewno by nie okłamał. Był przecież człowiekiem mądrym, dlatego nie rzucałby na wiatr fałszywych zapewnień, i to w sytuacji, gdy gra idzie o tak wielką stawkę. Bowiem podczas dzisiejszej premiery ze sztuką, do pory znanej tylko aktorom, zapozna się publiczność, a jej reakcja zadecyduje, jak długo „Wybór damy” pozostanie na afiszu, jaki przyniesie dochód i jaki wpływ wywrze na przyszłość autora.

W razie premierowej klapy sztuka zapadnie się w niebyt, a będzie to jednoznaczne z podzwonnym dla kariery dramaturga.

- Pozdrów ode mnie aktorów - odezwał się Laurence w chwili, gdy powóz się zatrzymał. - Powiedz Victorowi, że spodziewam się owacji na stojąco, a pannie Chermonde, że tak ma zagrać, by co najmniej trzy razy wywoływano ją przed kurtynę.

- Dobrze, powiem - odrzekła Victoria, gdy powóz już stał w miejscu, a James spuszczał schodki. - Jednak czy do nich dotrą twoje słowa, to już inna sprawa.

Została sama. Powóz odjechał, a ona, stojąc na ulicy, dla uspokojenia odetchnęła głęboko. Bez wątplenia aktorzy, którzy czekali na podniesienie kurtyny, czynili teraz to samo, jako że trema była nieodłącznym elementem premierowego szaleństwa. Jednak istniała nadzieja, że z chwilą, gdy wreszcie kurtyna pójdzie w górę, całkiem się ulotni, a aktorzy dadzą z siebie wszystko, bo właśnie tego spodziewa się po nich publiczność.

Tego też, myślała dalej Victoria, pukając do nieoznakowanych drzwi, spodziewa się stryj.

- Ach, więc jest pani! Dobry wieczór, panno Bretton - powitał ją starszy człowiek, który te drzwi otworzył. - Byłem ciekaw, czy pani przyjdzie.

- Dobry wieczór, Tommy. Pomyślałam, że przed przedstawieniem porozmawiam jeszcze ze stryjem. Czy wszystko już gotowe?

- Tak, panienko, jak zwykle. - Thomas Belkins cofnął się, żeby ją przepuścić. - Mieliśmy trochę kłopotu z prospektem w drugim akcie, ale już sobie poradziliśmy. Poza tym pani Beckett naprawiła kostium pana Trumphaniego. Zaszyla tak, że po rozdarciu nie widać ani śladu.

Spokój starszego pana wpłynął kojąco na nerwy Victorii. Tommy Belkins spędził w teatrze całe życie. Niegdyś aktor wędrowniej trupy szekspirowskiej, teraz pracował za kulisami w teatrze Gryf, nadzorując skomplikowany system świateł, lin, bloków i reflektorów, potrzebny do stworzenia scenicznej magii. I Drury Lane, i Covent Garden próbowały go podkupić, jednak Tommy odrzucił te propozycje, twierdząc, że woli pracować w Gryfie za marne grosze niż przenieść się gdzie indziej, nawet gdyby oferowano mu ogromną gażę.

Zresztą, co oczywiste, wcale nie pracował za marne grosze. Theodore Templeton, stryj Victorii, sownie wynagradzał wszystkich pracowników, ale też zatrudniał tylko najlepszych, co w dużej mierze decydowało o poziomie jego teatralnych produkcji. Przy tym popierał ducha współpracy i dbał o serdeczne więzy towarzyskie - rzecz tak niezwykła w teatralnym światku - a ponieważ na dodatek dawał szansę obiecującym młodym aktorom, w obsadach nigdy nie brakowało utalentowanych ludzi.

Choć oczywiście najwięcej zależało od poziomu wystawianej sztuki. Zatem Victoria, doskonale zdając sobie z tego sprawę, zamknęła oczy i odmówiła cichą modlitwę do świętego Genezjusza. Ktoś mógłby pomyśleć, że jest przesadna, jednak nigdy nie wchodziła do teatru bez prośby o błogosławieństwo zanoszonej do patrona aktorskiej braci.

Pomodliwszy się i z dźwięczącymi w uszach serdecznymi słowami brata oraz Tommy'ego Belkinsa, Victoria Bretton - alias Valentine Lawe - przekroczyła progi teatru, by stawić czoło temu, co zgotuje jej los.

Szanowny pan Alistair Devlin chodzić do teatru raczej nie miał zwyczaju, pojawiał się tam tylko z braku lepszej rozrywki. Mając wybór między amatorskimi popisami ludzi, którzy wyobrażali sobie, że potrafią grać, a swobodną męską atmosferą klubu, wybierał zawsze to drugie. Jedynym powodem, dla którego akurat dzisiaj znalazł się w teatrze, była prośba dobrego przyjaciela, lorda Collinsa, który od jakiego czasu zamęczał go, by poszedł do Gryfa i obejrzał pewną apetyczną aktoreczkę, kandydatkę na jego najnowszą kochankę.

- Spróbuj tylko powiedzieć, że nie jest fantastyczna! - zastrzegł Collins, gdy zasiedli w pierwszym rzędzie łąy.

- Jestem pewien, że rzeczywistość przewyższy wszystkie twoje pochwały - odrzekł Alistair, rozglądając się z zainteresowaniem. - Zawsze byłeś arbitrem kobiecej urody.

Alistair znajdował się tutaj po raz pierwszy, jednak niejednokrotnie słyszał o tym teatrze pochlebne opinie. Krążyły plotki, że na odbudowę gmachu przeznaczono ponad osiemdziesiąt tysięcy funtów, a także zgromadzono wyborny zespół aktorski mający stale tu występować.

Zdaniem Collinsa, którego już wiązał intymny związek z inną młodą aktorką z tej trupy, wcale nie wystarcza, gdy aktor płynnie wypowiada swoje kwestie. Prawdziwe rzemiosło aktorskie polega bowiem na tym, by przedstawić graną postać w taki sposób, żeby publiczność zareagowała śmiechem lub łzami. Do tego trzeba umieć osiągnąć ten efekt bez uciekania się do tanich min i gestów, co nagminnie czynią różne beztalencia.

Mówiąc szczerze, Alistair miał do całej tej sprawy podejście nader sceptyczne. Wiedział, że niektórzy aktorzy są doskonali, jednak doświadczenie uczyło, że większość ucieka się do melodramatycznych chwytów, a to absolutnie go nie ruszało. Chwytów,

które na dodatek powodowały, że publiczność zaczynała urągać aktorom, a nawet ciskać na scenę skórki od pomarańczy.

- A tak przy okazji, czy mówiłem ci, że Signy ma przyjaciółkę? - zagadnął Collins.

- To także aktorka, należy do tej trupy. Powinieneś obejrzeć również i ją... No... chyba że takie rzeczy cię nie interesują... - Dzięki, Bertie, jednak nie mam zamiaru szukać nowej kochanki - odrzekł Alistair, przyglądając się wspaniałemu plafonowi. - Ta, z którą się właśnie rozstałem, potrafiła nadać nowe znaczenie i tak z samej swej istoty złowrogiemu słowu „mściwość”.

Collins roześmiał się z właściwą sobie bezczelnością.

- Tak, coś tam słyszałem o wspaniałej Celeste, której na odchodnym udało się potłuc w twoim domu kilka dość kosztownych wazonów.

- Dość kosztownych? Dość?! Ta piekielnica z premedytacją zniszczyła bezcennego konia z epoki Tang, jak również dwie drogocenne wazy z sewrskiej porcelany, które od kilku pokoleń należały do mojej rodziny! - powiedział oburzony Alistair. - Babcia Wilson wciąż nie może mi darować, że nie wyczułem, do czego jest zdolna ta piekielnica, i nie zapobiegłem katastrofie.

Niestety, Alistaira do ostatecznego zerwania z Celeste Fontaine skłoniło nie tylko to, że wszeteczna ślicznotka zniszczyła pamiątki rodzinne. Na dodatek go okłamywała! Zapewniając, że jest jedynym mężczyzną w jej życiu, spędzała w łóżku lorda Lansinga tyleż czasu, co i w jego. A gdy Alistair zwrócił jej uwagę na ten drobny szczegół, dała taki popis, jakiego nie powstydziliby się sama wielka Sarah Siddons. Wyleciała z domu jak burza, zmiatając z postumentów i rozbijając w drobny mak dwie cenne porcelanowe wazy, a na drugi dzień przysłała pełen furii list, w którym informowała dobitnie, co sądzi o postępowaniu Alistaira, zaznaczając, że co prawda jest znośnym kochankiem, jednak jego biegłość w sprawach łóżkowych w szeptanej opinii publicznej została wyceniona skandalicznie zbyt wysoko.

I właśnie treść tego listu okazała się ostatnim gwoździem do jej trumny, bowiem Alistair, choć daleki od tego, by nazwać go arogantem czy pyszałkiem, był dumny z biegłości w sztuce kochania, z tego, że potrafi dać rozkosz kobietom. Przecież jeszcze jako złotodziób dokonał jakże ważnego odkrycia, że doświadczenia seksualne się potęgują

wtedy, gdy znajdują w nich przyjemność obie strony. Nauczył się więc zarówno czerpać rozkosz, jak i nią obdarzać. Dlatego szczytem hipokryzji wydały mu się drwiące z jego miłosnej biegłości słowa kobiety, która ani razu nie pozwoliła mu wątpić, że doznaje dzięki tej jego biegłości nadzwyczajnej rozkoszy.

Tak czy inaczej, w końcu się okazało, że ostatnie słowo należało do niego, gdyż w zeszłym tygodniu wszetecznicą Celeste zapukała do jego drzwi i oznajmiła pokornie, że żałuje swojego postępu, a zalotom lorda Lansinga uległa jedynie w chwili słabości. Po czym zatrzepotała rękami i ze łzami w swych słynnych fiołkowych oczach zaczęła błagać, by przyjął ją z powrotem do siebie.

On jednak pozostał niewzruszony. Dla osuszenia łez podał wszetecznicy chusteczkę, po czym poradził, żeby wracała do lorda Lansinga lub do innego kochanka, kimkolwiek by był, a jemu niech nie zawraca więcej głowy. Kłamstwo było bowiem tym, czego najbardziej nie znosił u ludzi, z którymi łączyły go bliskie relacje. Było oczywiste, że kobieta, która raz go okłamała, zrobi to bez skrępowań ponownie. Poza tym nic nie wskazywało na to, że Celeste nie znajdzie się po raz kolejny w ramionach człowieka, z którym go już raz zdradziła.

Kobiety jej pokroju zawsze lądują na czterech łapach, a potem na grzbiecie, co z pewnością ma miejsce również i tym razem.

Już miał zagadnąć Collinsa o dzisiejszą sztukę, gdy zwrócił uwagę na ruch w jednej z przeciwległych łóż. Rozsunęły się kotary i do łoży wkroczyła młoda kobieta, wynurzając się zza aksamitnej materii niczym promienny motyl wylatujący na światło słoneczne. Ubrana była w kremową jedwabną suknię, która połyskiwała z każdym jej ruchem, a na wysmukłych rękach nosiła długie do łokcia rękawiczki. Ułożone w loki włosy tworzyły wokół głowy uroczą fryzurę, sprawiającą wrażenie miękkiej i ulotnej złocistej mgielki, a ozdabiające wycięcie dekoltu klejnoty migotały, rzucając rubinowe błyski. Młoda dama zatrzymała się na moment, by popatrzeć na wyczyny dandysów i młodego kawalerskiego narybku z parteru, a następnie odwróciła się, obdarzając uśmiechem starszą kobietę i młodego człowieka, którzy już siedzieli w łoży.

I to właśnie ten uśmiech przykuł uwagę Alistaira. Tak niewinny jak uśmiech dziecka, potrafił w jego duszy jakąś czułą strunę odwołującą się do czasów, kiedy życie było prostsze, a przyjemności o wiele łatwiejsze do znalezienia.

Młoda kobieta emanowała tak wielkim skupieniem, jakby przebywanie w teatrze było jej najświętszym powołaniem, loża drugim domem, a obejrzenie spektaklu absolutnie najważniejszym zajęciem. Ot, teatromanka. Jednak o wiele bardziej zafrapowała Alistaira inna sprawa, a mianowicie czym jest to coś, czego określić nie sposób, ale co tak mocno go do niej pociąga. Czyżby była tym jej teatralna pasja, którą zapewne spora część publiczności z nią podziela, ale tylko niewielu aż w takim stopniu, natomiast dla reszty jest to przede wszystkim towarzyski i jakże często dość nudny obowiązek? Czy może raczej fakt, że nieznamy nawet dla Alistaira, konesera kobiecej urody, jest skończoną piękną? Ubrana w jedwabie i szyfony, miała twarz anioła, natomiast bujna, zmysłowa figura przywodziła na myśl gorące noce pełne erotycznych uniesień.

Niestety pierwsze, co tajemnicza piękność uczyniła, to z ciepłym uśmiechem podała rękę czekającemu w loży młodemu mężczyźnie, który wstał, żeby ją powitać, wskutek czego Alistair uznał, że nie ma co liczyć na takie uniesienia z jej strony. Cóż, kobieta zajęta... Potwierdzał to fakt, że natychmiast pograżyła się z młodą mężczyzną w bardzo żywej rozmowie, a sposób, w jaki się do siebie odnosili, wskazywał jednoznacznie, że łączą ich silne i bliskie więzi. Co z tego, że ów mężczyzna nie dorównywał pięknej damie ani wyglądem, ani stylem? Liczyły się te więzi, ot co.

Szczęściarz z niego, pomyślał Alistair, przyjmując do wiadomości, że on takim szczęściarzem raczej na pewno nie zostanie.

Przez salę przebiegł szmer, gdyż na scenie pojawił się wysoki, ubrany na czarno, dystyngowany dżentelmen. Nosił długą pelerynę, która odsłaniając bryczesy i buty z cholewami, nadawała mu bardzo zawadiacki wygląd. Nie był to przy tym człowiek młody, bo ciemne włosy i brodę przetykały srebrne nitki siwizny, a zmarszczki na twarzy świadczyły o obfitej życiowych doświadczeń. Nie można jednak było zaprzeczyć, że prezencją ma doskonałą, a gdy uniósł dłoń w rękawiczce, na widowni zapanowała cisza.

- Panie i panowie! Nazywam się Theodore Templeton i mam zaszczyt powitać państwa w moim teatrze! Mam również przyjemność zapowiedzieć dwie sztuki, które,

pragnąc dostarczyć państwu rozrywki, zagramy dziś wieczorem. Zaznaczam przy tym, że są to przedstawienia premierowe. Pierwsze z nich to „Wybór damy”, najnowszy utwór znakomitego dramaturga Valentine'a Lawe'a. Niezrównana Signy Chermonde zagra w tym spektaklu rolę Elizabeth Turcott, a pan Victor Trumphani będzie jej partnerował jako Elliot Black. Po tej sztuce obejrzyście i wysłuchacie państwo „Mi scuzi”, operetkę włoskiego twórcy Giuseppe Fratoliniego. Proszę więc usiąść wygodniej i przygotować się na doskonałą rozrywkę.

Po tych słowach rozległy się grzecznościowe oklaski, którym zawtórowały gwizdy i wiwaty młodych dandysów z parteru. Templeton zszedł ze sceny, zagrała orkiestra i kurtyna poszła w górę. Oczom widzów ukazało się wnętrze, które mogłoby być salonem rezydencji w dzielnicy Mayfair, a w którym znajdowała się jedna tylko aktorka - stara kobieta siedząca w fotelu babuni.

Alistair, który aż nadto dobrze wiedział, że w takich produkcjach akcja nie jest zbyt wartka, rozsiadł się wygodniej, spodziewając się, że sztuka zanudzi go na śmierć.

Tymczasem okazało się, że nie nudził się ani trochę. Patrzył i słuchał jak zahipnotyzowany, bo już od pierwszej sceny sztuka przykuła maksymalnie jego uwagę. Fabuła była intrygująca, dialog inteligentnie dowcipny, a aktorzy grali tak doskonale, że Alistair wprost nie mógł wyjść z podziwu.

Wybierając się do teatru, nie tego się spodziewał. Wiedział, że utwór jest całkiem nowy, a trupa aktorska młoda. Spodziewał się więc wszelkich wad wynikających z tych okoliczności. Jednak choć bardzo się starał, nie potrafił się ich doszukać ani w samym dramacie, ani w grze aktorów. Na widowni panowała absolutna cisza, której nie zakłócili nawet hałaśliwi młodzieńcy z parteru.

Jeżeli inne jego sztuki podobne są do tej, to nic dziwnego, że Valentine Lawe cieszy się taką popularnością, pomyślał Alistair, tak pochłonięty akcją, że z niechęcią powitał koniec pierwszego aktu.

- No i co? Jakie wrażenia? - zapytał Collins, przekrzykując burzliwe oklaski.

- Sądzę, że było to znacznie, ale to znacznie lepsze od tego, czego się spodziewałem - orzekł wielkodusznie Alistair.

- Nie chodzi mi o sztukę. Pytam o Signy! Czyż to nie najrozkoszniejsza istota, jaką w życiu widziałeś?

- Signy? - Alistair zmarszczył brwi.

- No tak, aktorka, która gra Elizabeth. Na Boga! Tylko mi nie mów, że jej nie zauważyłeś!

Alistair spojrzał w dół, na scenę. Oczywiście, że ją zauważył, ale nie jako Signy Chermonde, tylko jako Elizabeth Turcott. To ona była tą wspaniałą tycjanowską kusicielką, która pojawiła się na scenie najpierw jako stara kobieta ze smutkiem wspominająca swoje długie życie, a zaraz potem, już w następnej scenie, jako zarumieniona panna młoda w przeddzień własnego ślubu.

- Tak, była piękna - zgodził się. - Ale na mnie większe wrażenie niż jej uroda wywarł talent.

- No, no... W takim razie mam nadzieję, że jej talent do łóżkowych igraszek dorównuje talentowi scenicznemu - skomentował w swoim stylu Collins. - A skoro o tym mowa, to co sądzisz o pannie Lambert? Tylko mi nie mów, że jej też nie zauważyłeś! Stary Parker, widząc, jak wchodzi na scenę w prześwitującej białej nocnej koszuli, omal nie wypadł z łóżka!

- Tak, zauważyłem ją - odparł rozbawiony Alistair. - Była bardzo przekonująca w roli panny Tremayne.

- Panny Tremayne? - zdziwił się Collins. - Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Zeszłym razem, gdy byliśmy w teatrze, nie zapamiętałeś nawet tytułu sztuki, nie mówiąc o nazwiskach postaci.

- To dlatego, że sztuka nie była warta, by ją zapamiętać, podobnie jak grający w niej aktorzy. Natomiast dzisiejsza premiera jest spektaklem najwyższej próby.

- No tak, oczywiście. Valentine Lawe szybko staje się jednym z największych angielskich dramaturgów. Musi o tym wiedzieć nawet taki filister jak ty!

To, że w tej dziedzinie wiedzę miał niewielką czy zgoła żadną, jakoś nie wzbudzało w Alistairze wyrzutów sumienia. Pochodził z rodziny, w której nikt nie był zagorzałym wyznawcą muzy Melpomeny. Rodziców zraziły do teatru tragiczne wypadki, które pociągnęło za sobą skandaliczne małżeństwo ich najstarszego syna z aktorką, a siostra

Alistaira i jego szwagier, wielebny Simon Baltham, archidiakon w Swithing, byli głęboko przekonani, że teatr jest wylęgarnią grzechu.

Paradoksalnie poglądy te nie powstrzymały tej pary od pojawiania się od czasu do czasu na przedstawieniu w operze. Rzadko jednak ktoś słyszał, żeby wielebny i jego małżonka takie przedstawienie pochwalili czy skomplementowali któregoś ze śpiewaków.

A co do samego Alistaira, to niewiele go to wszystko obchodziło. Ograniczył bywanie w teatrze z szacunku dla uczuć rodziców i z troski o rodzinną harmonię. I nie żałował tego... aż do dzisiejszego wieczoru.

Jego wzrok powędrował ponownie w kierunku osób siedzących w przeciwległej łoży. Młoda dama obserwowała dwóch młodych ludzi przedstawiających na scenie rekwizyty. Wyglądała przy tym, jeżeli to możliwe, znacznie bardziej promiennie niż przed rozpoczęciem pierwszego aktu. Dżentelmen siedzący obok trzymał ją za rękę, a gdy pochylił się i szepnął jej coś do ucha, dama roześmiała się, podniosła wzrok i... jej oczy spotkały się z oczami Alistaira.

Trwało to zaledwie chwilę, nie dłużej niż kilka sekund, jednak Alistairowi wydawało się, że przez tych kilka sekund w teatrze ustały wszelkie dźwięki, a on i piękna nieznajoma są zupełnie sami. Zaobserwował, że jej śmiech zamarł, przechodząc stopniowo w zaledwie cień uśmiechu. I choć nie dała znaku, że widzi jego spojrzenie, lekki rumieniec na jej policzkach zdradzał, że jest go świadoma równie intensywnie, jak on świadomy jest jej obecności.

Gdy przestała na niego patrzeć, Alistair spytał przyjaciela:

- Słuchaj, Collins, ta kobieta w łoży naprzeciwko nas... - Lady Lucy Prendergast?
- Nie, ta w łoży piętro wyżej, w kremowej toalecie. Collins wziął lornetkę i nakierował ją na damę.
- A tak... to panna Victoria Bretton. Najstarsza córka państwa Brettonów.
- Aha! A jak to się stało, że dotąd nigdy jej nie widziałem?
- Bo nie obracacie się w tych samych kręgach. - Collins opuścił lornetkę. - Brettonowie mieszkają w hrabstwie Kent, jednak dwa ostatnie sezony spędzają w Londynie. Zajmują dom na Green Street. Są tu oczywiście po to, by wprowadzić obie córki na sa-

lony. Panna Victoria debiutowała w zeszłym roku, a jej młodsza siostra, Winifred, debiutuje w bieżącym.

- A kim jest ten mężczyzna, który jej towarzyszy? - zapytał Alistair. - Oddany mąż? Zakochany narzeczony?

- Wielki Boże, ależ nie! To Laurence, jej brat, ultrakonserwatysta niepodążający za modą. Jednak z tego, co słyszałem, przeraźliwie inteligentny. Podobno włada czterem językami, a klasyków zna lepiej niż większość jego oksfordzkich profesorów. Ludzie mówią, że z Victorią łączy go bardzo bliskie siostrzano-braterskie więzy.

- To dziwne... że nie jest jeszcze zamężna... - w zadumie powiedział Alistair. - Jest przecież bardzo piękna.

- To prawda, urody jej nie brakuje, jak i niewyparzonego języczka. Panna Victoria ma trudną do poskromienia skłonność do mówienia tego, co myśli. A możesz sobie wyobrazić, jak bardzo zachwycone są tym starsze matrony, które sądzą, że rolą młodej damy jest być widzianą, ale nigdy słyszaną? A poza tym... widzisz tę starszą ekstrawancką kobietę, która siedzi obok?

- Trudno jej nie zauważyć - odrzekł Alistair, mierząc spojrzeniem suknię w kolorze płomieni, kruczoczarne włosy oraz połyskujące w naszyjniku brylanty.

- No właśnie. Ta dama to Anthea Templeton, niegdyś słynna aktorka, a obecnie żona, zresztą druga żona, pana Theodore'a Templetona, właściciela tego teatru i człowieka, który, tak się składa, jest stryjem panny Bretton.

- Aha. Z tego wynika, że ta panna nie jest najlepiej skoligacona.

- Delikatnie mówiąc. Templeton porzucił pierwszą żonę dla pięknej Anthei, która, jak głosi plotka, ponoć w tym czasie grała Julię, i bez ślubnego błogosławieństwa stworzyli stadło. A po kilku latach, już jako legalni małżonkowie, przyjechali do Londynu, by tutaj otworzyć swój kramik. Nie muszę dodawać, że pani Templeton nie jest przyjmowana w towarzystwie.

- Nic w tym dziwnego - powiedział Alistair. - Bez wątpienia oskarża się ją o to, że rozbiła rodzinę, kradnąc męża prawowitej pani Templeton.

- To oczywiste, a fakt, że panna Bretton lubi towarzystwo stryjenki, rzuca na nią złe światło, podobnie jak to, że ma niefortunną skłonność do spoufalania się z aktorami.

- Spoufalania się?! - zapytał zdumiony Alistair.

- A tak, choć co prawda zwykle czyni to w towarzystwie brata. Ponoć jednak bywała za kulisami również sama - odrzekł Collins. - A taki zwyczaj, choć przystoi młodemu dżentelmenowi, zdecydowanie nie przystoi młodej damie.

Zdecydowanie, przytaknął w duchu Alistair, patrząc przy tym, jak na scenę wracają aktorzy, gdyż miał się zacząć drugi akt. Młodej damie wolno chodzić do teatru, rozmyślał dalej. Wolno jej nawet wyrażać swój zachwyt sztuką oraz grą aktorów, nie wolno jej jednak dopuścić, by widywano ją w ich towarzystwie. Zresztą Alistair, choć nie podzielał skrajnych poglądów wielebnego szwagra, wiedział dobrze, że wielu z nich prowadzi się niemoralnie, dlatego spędzanie czasu w ich towarzystwie spotyka się z dezaprobatą przyzwoitych ludzi. Zdziwiło go więc, że państwo Brettonowie pozwalają córce wystawiać na szwank swoją reputację. Przecież to właśnie robiła, bywając za kulisami, choćby nawet w towarzystwie brata.

- A tak przy okazji - zagadnął Collins - czy to prawda, że przestałeś się widywać z lady Frances Shaftsbury? Myślałem, że jesteście już po słowie.

- Byliśmy, dopóki się nie przekonałem, że lady Frances w równym stopniu jak we mnie kocha się w markizie Kopehamie - odrzekł obojętnie Alistair. - A jeśli nie mogę zaufać kobiecie przed ślubem, jaką mam gwarancję, że okaże się uczciwa i prawdomówna po nim?

- Ależ drogi przyjacielu, przecież wszystkie kobiety kłamią. To się zaczęło już w rajskim ogrodzie - powiedział Collins. - Ewa powiedziała Adamowi, że po skosztowaniu jabłka nic złego się nie stanie, a skutek wiadomy.

- Na szczęście w naszym rajskim ogrodzie jest więcej kobiet, nie trzeba więc żenić się z pierwszą, która nawinie się pod rękę.

- Cóż, niby prawda, ale prawdą jest również i to, że atrakcyjna córka bogatego hrabiego nie nawija się pod rękę codziennie.

- Słusznie, jednak nie ścierpiałbym towarzystwa kobiety, która kłamie i mnie oszukuje. Sekretów można mieć wiele przed znajomymi, ale między mężem a żoną obowiązuje prawdomówność - powiedział Alistair. - Jeżeli nie mogę mieć zaufania do kobiety, której mam dać swoje nazwisko, wolę nim nie obdarzać nikogo. - Przez chwilę z

niejakim żalem znów zerknął na Victorię Bretton. - Życie i bez tego jest wystarczająco nieprzewidywalne, a kłamstwo to fatalny początek, od którego nie ma sensu zaczynać czegokolwiek.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Wybór damy” okazał się zabawną satyrą na niedoskonałości i bardziej dokuczliwe wady życia małżeńskiego. Inteligentną, lecz równocześnie pobłażliwą. Moralistyczną, lecz nie purytańską. I naprawdę tryskającą humorem, jednak bez nieprzyzwoitych żartów. Alistair podczas przedstawienia nieraz łapał się na tym, że krztusi się ze śmiechu, słysząc wymianę zdań pełną subtelnych podtekstów seksualnych. I doszedł do wniosku, że Valentine Lawe to prawdziwy znawca blasków i cieni życia małżeńskiego.

Dlatego też po zapadnięciu kurtyny Alistair wstał, by wraz z resztą publiczności oddać dobrze zasłużony hołd aktorom. Po czym na scenie pojawił się ponownie pan Templeton.

- Panie i panowie, wielkie dzięki - powiedział. - Państwa reakcja cieszy mnie niezmiernie. Jestem wprost zachwycony, że dzisiejszy spektakl spełnił państwa oczekiwania.

- A gdzie jest Valentine Lawe? - zapytał ktoś z widowni. Okrzyk ten niczym echo podchwycił cały tłum zgromadzony w teatrze, jednak Templeton najpierw pokręcił głową, a potem oznajmił:

- Przykro mi, ale pana Lawe'a nie ma z nami, jednak w jego imieniu serdecznie dziękuję i zapewniam, że przekażę mu od państwa wyrazy uznania. Teraz natomiast z wielką przyjemnością przedstawię państwu utalentowanych członków dzisiejszej obsady.

- No, zaczyna się prezentacja - szepnął Collins. - Uważaj na Signy i pannę Lambert.

Aktorzy wychodzili na scenę parami, przy czym osoba grająca rolę podrzędną szła pierwsza. Młodą aktorką, której gra zrobiła na Alistairze wielkie wrażenie, okazała się panna Catherine Jones. Zadebiutowała u boku zażywnego dżentelmena grającego pasto-

ra. Panna Lambert natomiast, blondynka o bujnych kształtach, wyszła w towarzystwie starszej kobiety grającej rolę matki Elizabeth.

- Jest, jest! - Collins trącił Alistaira w bok. - Przyjrzyj się też pannie Lambert, żeby ci łatwiej było się do niej zbliżyć, jak zdarzy się okazja.

Gdy na scenie pojawili się Signy Chermonde i Victor Trumphani, przywitała ich burza oklasków. Signy była rzeczywiście kobietą bardzo piękną. Alistair nie miał wątpliwości, że czeka ją wielka kariera zarówno sceniczna, jak i poza sceną. Natomiast Trumphani odznaczał się wytwornym męskim wdziękiem, który mógł pociągać zarówno debiutantki, jak i dojrzałe księżne krwi. Gdy para po ukłonach wycofała się ze sceny, jej miejsce zajął ponownie pan Templeton.

- Dziękuję państwu. Naprawdę składam państwu wielkie dzięki! Mam równocześnie pewność, że wyznając, jak bardzo cieszy mnie państwa aplauz, wyrażam także uczucia pana Valentine'a Lawe'a. Spodziewam się też, że wrócą państwo tu do nas, żeby obejrzeć tę sztukę ponownie. A teraz, po krótkim muzycznym interludium, przedstawimy „Mi scuzi!”.

Spora część publiczności nadal jednak stała, każdy bowiem pragnął lepiej się rozejrzeć wśród otaczającego tłumu. Natomiast Alistair uznał, że czas już opuścić teatr.

Znajdował się już prawie przy wyjściu, kiedy ją zobaczył. Victoria Bretton stała w westybulu całkiem sama. Spuściwszy głowę, przyglądała się trzymanej w rękach wieczorowej pelerynie. Zapewne próbowała rozwiązać węzeł zaciśnięty na jednej ze wstążek. Najwyraźniej dama potrzebowała pomocy.

Alistair bez pośpiechu przecisnął się przez ciżbę i przystanął obok damy w potrzebie. Widok panny Bretton naprawdę cieszył oczy. Miała twarz o kształcie doskonałego owalu, szyję smukłą i gładkie ramiona uwodzicielsko wyłaniające się z wycięcia sukni. Alistair, podchodząc bliżej, dostrzegł rubiny widoczne w wycięciu dekoltu, w rowku między piersiami. Zauważył przy tym, że klejnoty są tak doskonałej urody, jak ich właścicielka.

- Tak? Słucham pana?

Spokojny ton kompletnie nie współgrał z rumieńcem na twarzy, co wywołało uśmiech Alistaira.

- Proszę mi wybaczyć, panno Bretton. Tak bardzo podziwiałem pani naszyjnik, że zapomniałem o bożym świecie. - Podniósł wzrok i zobaczył parę jasnych błękitnych oczu ocienionych długimi rzęsami i złociste, misternie upięte loki. - To naprawdę... niezwykle klejnot.

- Jest kopią naszyjnika ofiarowanego pewnej egipskiej księżniczce przez ukochanego. Moja stryjenka była tak miła, że pożyczyła mi go na dzisiejszy wieczór. - Victoria podniosła głowę, wciąż się rumieniąc. - Czy wolno mi zapytać, skąd pan zna moje nazwisko?

- Zauważyłem panią, gdy wchodziła pani do łoży - odrzekł Alistair, nie widząc powodu, by przemilczać cokolwiek. - Gdy zapytałem przyjaciela, kim pani jest, ujawnił pani nazwisko. Pozwoli pani...? - zapytał, wskazując pelerynę. - Rozwiązywanie węzłów to moja specjalność.

Victoria spojrzała na poplątane wstążki, cicho powiedziała:

- Dziękuję - i wręczyła mu pelerynę. A po krótkiej chwili spytała: - A co sprawiło, że chciał pan się dowiedzieć, kim jestem?

- Ciekawość. - Alistair wetknął pelerynę pod pachę i zabrał się do pracy. - Większość publiczności woli oglądać głupstwa dziejące się na widowni niż śledzić akcję sztuki. Pani wydawała się jednak bardzo zainteresowana tym, co się dzieje na scenie.

- Przecież po to przychodzę do teatru - odrzekła po prostu. - Gdybym chciała obserwować, co dzieje się wśród widzów z towarzystwa, poszłabym na organizowany w tym celu wieczór. - Przerwała na moment, po czym spytała z delikatnym naciskiem: - A pan po co przyszedł do teatru? By obejrzeć sztukę? A może po to, by oddawać się innym rozrywkom?

Alistair uśmiechnął się. Cóż, Collins się nie mylił, panna Bretton śmiało mówi to, co myśli.

- Przyszedłem, żeby obejrzeć sztukę.

- A co pan o niej sądzi?

- Że jest pełna humoru, ma wartką akcję i została doskonale zagrana.

- Zatem oglądał ją pan z przyjemnością?

- W istocie.

- Często pan bywa w teatrze, panie... - Devlin. Nazywam się Devlin. A w teatrze bywam rzadko. - Ponieważ zdążył już rozplątać węzłki, strzepnął pelerynę. - A podczas ostatnich moich wizyt przekonałem się, że farsy są żalosne, dramaty historyczne słabe, a melodramaty grane z politowania godną przesadą.

- Jak jednak usłyszałam, dzisiejsza sztuka nie skłoniła pana do ferowania aż tak krytycznych ocen.

- Oczywiście. Akcja naprawdę mnie wciągnęła i było tak do końca spektaklu - zapewnił, otulając jej ramiona aksamitną peleryną. - Rzadko mi się coś takiego zdarza, więc czuję się miło zaskoczony.

Teraz ona zareagowała uśmiechem, do tego przepięknym i promiennym. Takim, jakim wcześniej obdarowała brata. A Alistair, zanim sam zdał sobie sprawę, co robi, wypowiedział następujące słowa:

- Panno Bretton, czy mógłbym jutro przed południem złożyć pani wizytę?

Victoria otworzyła szeroko oczy, jednak nie oblała się rumieńcem.

- To miłe, że pan mnie o to prosi, panie Devlin, ale niestety już zaplanowałam na jutro inne spotkanie.

- Oczywiście. A po południu?

- Nie jestem pewna, o której godzinie wrócę do domu.

- A więc pojutrze?

Tym razem jej policzki z lekka pokraśniały.

- Proszę pana, proszę nie sądzić, że jestem osobą niegrzeczną czy niemiłą, ale pańska wizyta byłaby bezcelowa. Powiedział mi pan już wszystko, co chciałam usłyszeć.

- O dzisiejszym spektaklu... być może... Ale jest przecież znacznie więcej...

- Naprawdę... nie ma nic więcej - wpadła mu w słowo. - Doceniam pański trud, by mnie odszukać, ale lepiej będzie, jeżeli pan zaniecha podobnych wysiłków. Jest oczywiście, że do siebie nie pasujemy.

- Nie pasujemy? - Patrzył na nią zmieszany. - Jak może pani tak mówić, nic o mnie nie wiedząc?

- Ależ zapewniam, że coś o panu wiem, panie Devlin. I właśnie to każe mi się odnieść do pańskiej propozycji niechętnie. Dobranoc. - Ruszyła ku podwójnym drzwiom, przy których czekał na nią brat. Wsunęła mu dłoń pod ramię i wyszli z teatru.

A mocno zdeprymowany i kompletnie oniemiały Alistair mógł tylko odprowadzić ich wzrokiem. Uświadomił sobie przy tym, że po raz pierwszy w życiu zabrakło mu języka w gębie. W porządku, to jeszcze da się przeżyć.

Było jednak coś jeszcze: ta dama nie uległa jego zalotom!

On, Alistair Devlin, zadał sobie trud, żeby ją odszukać i dał jej dowody swego zainteresowania, a ona... odmówiła! I to nie dlatego, że nie wiedziała, kim jest, tylko dlatego, że wiedziała!

Podszedł do niego Collins i powiedział:

- Dev, drogi przyjacielu, jednak wciąż tu jesteś! Myślałem, że wyszedłeś już pół godziny temu. - Miałem taki zamiar, ale spotkałem pannę Bretton, więc zamieniłem z nią parę słów.

- No, no... Z pewnością zadziałała tu sama opatrność - skomentował Collins. - Jakie odniosłeś wrażenie? Okazała się tak nietaktowna i nieobliczalna, jak ci mówiłem?

Alistair natychmiast pomyślał o tym, co dama wypowiedziała na odchodnym: „Doceniam pański trud, by mnie odszukać, ale lepiej będzie, jeżeli pan zaniecha podobnych wysiłków. Jest oczywiste, że do siebie nie pasujemy”.

- Nietaktowna? Nie... skądże... Nie sądzę jednak, by spotkanie ze mną okazało się dla niej główną atrakcją dzisiejszego wieczoru - powiedział oschle Alistair.

- Bzdura! Każda kobieta byłaby zachwycona, gdyby ją zauważył ktoś taki jak ty.

Alistair przemilczał, że akurat panna Bretton nie wyglądała na zachwyconą tym opatrnościowym wydarzeniem. Przeciwnie, zdecydowanym tonem stwierdziła, że nie mają ze sobą nic wspólnego, co bardzo go zirytowało. Mężczyzna powinien mieć szansę wypaść z łask, zanim kobieta da mu kosza!

Tej nocy Victoria nie spała wiele, ale co się dziwić, skoro wszystko w niej aż śpiewało z radości?! Miała ochotę tańczyć na dachach Londynu, wykrzyzczyć swoją radość ze szczytu katedry Świętego Pawła.

„Wybór damy” okazał się sukcesem! Aktorzy grali doskonale, zmiany dekoracji poszły migiem i bez żadnych problemów, a muzycy w sposób perfekcyjny wykonali *crescenda* i *pianissima*. Gdyby Victoria umarła w tej chwili, poszłaby do nieba z pełnym zadowolenia uśmiechem na twarzy.

A fakt, że przez chwilę rozmawiała z jednym z najatrakcyjniejszych kawalerów w Londynie, naprawdę nie miał z tym nic wspólnego. Owszem, przyjemnie było zamienić parę słów z dżentelmenem, pochlebilo jej też że ów dżentelmen miał ochotę złożyć jej wizytę. Jednak przynajmniej obecnie w jej życiu nie było miejsca na romanse, a już na pewno nie z mężczyzną takim jak on!

- *Alors*, obudziła się już panienka! - powiedziała francuska pokojówka, pojawiając się w sypialni z filiżanką czekolady. - I wygląda panienka na bardzo szczęśliwą.

- Bo jestem szczęśliwa, *Angelique*. - Victoria usiadła i przeciągnęła się. - Wczorajszy wieczór był wspaniały.

- Spodobała się panienki sztuka?

- Publiczność była zachwycona! Oklaski nie miały końca, a aktorów wywoływano trzy razy. Trzy razy!

- *Bon!* A nie mówiłam, że tak będzie?

- No tak... łatwo teraz mówić, gdy się wie, że wszystko poszło dobrze. Wczoraj o tej porze - dodała Victoria, marszcząc brwi - przynajmniej ja mówiłam co innego.

- To dlatego, że brak panience pewności siebie.

- Nieprawda! Jestem bardzo pewna siebie, jednak rzecz w tym, że tworzę moje sztuki w zgodzie z własnym gustem i wyczuciem smaku, a nie pod publiczność, i nigdy nie wiem, czy spodobają się innym.

- Ależ oczywiście, że się spodobają! - stwierdziła zadziorna drobna pokojówka. - Bo panienka pisze doskonale. Stryj panienki wciąż to panience powtarza.

Taka jest prawda, jednak stryj Theo zawsze mnie faworyzował, pomyślała Victoria. To on zachęcał ją do pisania, podkreślając, że powinna rozwijać się artystycznie i nie przejmować się tym, co mówi matka, a także wszyscy snobi z wyższych sfer.

A skoro już mowa o matce...

- Nie sądzę, żebyś widziała się już dziś z moją mamą - zagadnęła Victoria.

Ponieważ Angelique milczała, Victoria spojrzała na nią i... zobaczyła odpowiedź odmalowaną na jej twarzy.

- No tak. Widzę, że się z nią widziałas.

- Niech panienka nie bierze sobie tego do serca - powiedziała pośpiesznie Angelique. - Madame Bretton nie lubi *le théâtre*. Wolałaby, żeby panienka spotkała miłego kawalera i wyszła za mąż.

- Wiem, ale problem w tym, że ten miły kawaler nie pozwoli mi pisać sztuk teatralnych - odparła Victoria. - Będzie chciał, żebym siedziała w domu i robiła na drutach ocieplacze na imbryki.

- Ocie... placze?

- No tak, takie kapturki.

- To u państwa imbryki noszą kapturki? - Angelique zmarszczyła brwi. - Wy, Anglicy, jesteście bardzo dziwni.

Rozbawiona Victoria odesłała pokojówkę. Czasami zapominała, że Angelique, która potrafiła doskonale zajmować się swoją panią, nie była równie biegła w konwersacji. A wracając do matki, to żadna niespodzianka, że tej nie zachwyił wczorajszy teatralno-literacki sukces Victorii. Bo pani Bretton, wychowana w purytańskim domu, gdzie kobietom wolno było zajmować się jedynie tym, co przypisane jest do roli żony i matki, nie mogła pogodzić się z faktem, że jej starsza córka chce robić coś innego.

Dama nie może mieć żadnych związków z teatrem. Dama nie pisuje sztuk, w których naśmiewa się z ludzi z towarzystwa. No i w końcu dama nie zniechęca dżentelmenów, którzy podchodzą, by porozmawiać z nią uprzejmie, jak to wczoraj uczynił pan Alistair Devlin.

Alistair Devlin! Victoria wiedziała, kim jest ten dżentelmen. Och, wiedziała o nim wszystko, bo matka nieustannie pokazywała go jej podczas towarzyskich wydarzeń, a Winifred paplała o nim aż do znudzenia. Pan Alistair Devlin był właścicielem stada drogich rasowych koni wyścigowych, w apartamentach w dzielnicy Kensington trzymał kochankę, a także posiadał domek myśliwski w Berkshire. Ponadto władał bronią palną równie dobrze jak białą, kosztowne stroje kupował u Westona, buty u Hobbsa, a różne świecidełka w firmie Rundell i Bridge.

Był synem wicehrabiego, obracał się w najwyższych sferach, a do tego był bardzo majątny, co w sposób oczywisty eliminowało Victorię jako ewentualną kandydatkę na przyszlą panią Devlin. A jeśli już mowa o matrymonialnych szansach, to matka ma rację, pomyślała Victoria. Wykwintne damy po pierwsze nie piszą sztuk teatralnych, po drugie nie wtrącają się do ich reżyserowania, po trzecie nie chodzą za kulisy, by fraternizować się z aktorami i aktorkami. A dla spadkobiercy lorda Kemptona kandydatką na żonę mogła być tylko wykwintna dama. Poza tym siostra pana Devlina była żoną archidiakona. Victoria co prawda była wnuczką duchownego, jednak to rodzinie pana Devlina nie wystarczyłoby jako rekomendacja. Po co więc zawracać sobie głowę udawaniem, że ona i Alistair Devlin mają minimalną choćby szansę na wspólne szczęście?

Prawie zeszła już na dół po schodach, gdy usłyszała dobiegające z salonu podniesione głosy. Stryjostwo tutaj tak wczesnym rankiem? Było to dziwne, zważywszy na brak serdecznych uczuć między matką a nimi...

Gdy Victoria otworzyła drzwi salonu, zobaczyła, że matka stoi przy oknie, a ojciec siedzi w swoim ulubionym fotelu. Stryj stał natomiast na środku pokoju, a stryjenka, jak zwykle ekstrawagancka, w szmaragdowej sukni i wspaniałym kapeluszu z pawim piórem, spoczywała na czerwonym aksamitnym szeszlunku.

Widząc ich razem, każdy by pomyślał, że jest świadkiem pełnego ciepła rodzinnego spotkania. Tak też sądziła Victoria, jednak tylko do chwili, gdy uświadomiła sobie, że nikt się nie uśmiecha, a w salonie panuje tak napięta i gęsta atmosfera, że można ją kroić nożem.

- O co chodzi? - zapytała, patrząc na ojca, gdyż przede wszystkim od niego spodziewała się wyjaśnień.

Jednak odpowiedział jej stryj:

- Victorio, kochanie, poinformowałem właśnie twoich rodziców o twoim wczorajszym artystycznym sukcesie.

- A ja próbowałam wytłumaczyć twojemu stryjowi, że to nie jest żaden sukces - burknęła pani Bretton. - To jest po prostu ohyda!

- No, no, moja droga - włączył się jej mąż. - Sądzę, że to zbyt mocne słowo.

- Tak pan sądzi, panie Bretton? - Ileż drwiny zmieściła w oficjalnej formie użytej wobec męża. - No to pozwól sobie powiedzieć, i to w równie mocnych słowach, co twój brat usiłuje nam wmówić! A mianowicie że Victoria zrobiła coś cudownego, podczas gdy każdy, kto jest przy zdrowych zmysłach, powiedziałby, że nasza córka nie tylko się kompromituje, ale również okropnie się ośmiesza!

- Och, Susan, z całą pewnością reagujesz przesadnie - z ciężkim westchnieniem powiedziała stryjenka Tandy. - Victoria wcale się nie ośmieszyła. Jej sztuka doczekała się głośnych i długich owacji. Klaskała cała publiczność, wszyscy widzowie, co do jednego. Twoja córka jest zdolnym dramaturgiem... - Moja córka jest damą! A damy nie pisują sztuk teatralnych! - odparowała gwałtownie pani Bretton. - Ani nie zajmują się ich wystawianiem, nikogo nie pouczają, jak należy w takich sztukach grać. Damy zajmują się haftem, malowaniem obrazów, no i wychodzą za mąż i rodzą dzieci. Nie trawią czasu w teatrach w towarzystwie ludzi cieszących się jak najgorszą sławą!

- Ależ szwagierko! Zapewniam cię, że nie wszyscy aktorzy cieszą się złą sławą, a w każdym razie nie wszyscy na nią zasłużyli - zaoponował stryj Theo.

- Na przykład ja, gdy poznałam Thea, miałam nieskalaną reputację, i w przeciwieństwie do tego, co o mnie się wygadywało i nadal wygaduje, byłam wtedy dziewczicą.

- Boże miłosierny, czy naprawdę musimy tego wysłuchiwać? - zirytowała się pani Bretton. - Powiedz coś wreszcie! - ponagliła męża.

Victoria z niekłamanym współczuciem spojrzała na ojca. Był człowiekiem łagodnym, nie cierpiał kłótni i sporów, całe życie starał się ich unikać. Miał jednak pecha, gdyż żona czuła nieposkromioną niechęć do jego brata i szwagierki, co było zarzewiem licznych potyczek słownych.

- Nie jestem pewien, kochanie, czy cokolwiek jeszcze można tu dodać - odezwał się po chwili namysłu. - Co do mnie, to mogę być tylko dumny z tego, co osiągnęła Victoria... - Dumny? Jesteś dumny z tego, że nasza najstarsza córka musi udawać, że jest mężczyzną, bo gdyby ktoś się dowiedział, czym się zajmuje, bylibyśmy wykluczeni z towarzystwa?! - piekliła się pani Bretton. - Jesteś dumny z tego, że spędza całe dnie z aktorami i aktorkami, unikając przy tym przyzwoitych ludzi z wyższych sfer?

- Ależ mam, wcale ich nie unikam - żywo zaproponowała Victoria. - Przeciwnie, na niektórych przedstawicielach naszej socjety wzorowałam najzabawniejsze postaci sceniczne. Nie sądzę też, by moje postępowanie doprowadziło naszą rodzinę do wykluczenia z towarzystwa. Jestem bardzo ostrożna zarówno w tym, co mówię, jak i w tym, co robię. Przecież wiem doskonale, że chodzi o przyszłość Winifred. Dlatego oskarżać mnie, że z mojego powodu zostaniemy wykluczeni, to doprawdy... zbyt daleko posunięte. Inne damy też pisują sztuki... - Nie obchodzi mnie, co robią inne damy! - powiedziała ze złością matka. - Obchodzi mnie, co ty robisz i jak to wpływa na twoją przyszłość! O którą ty sama, jak się zdaje, nie dbasz w najmniejszym stopniu. To ciągle przebywanie w teatrze i przestawanie z aktorami nie wpływa pozytywnie na twoją reputację.

- Owszem, niektórzy sądzą, że Laurie i ja spędzamy zbyt wiele czasu w teatrze - zgodziła się Victoria. - Ale z pewnością fakt, że stryj Theo jest właścicielem teatru Gryf, w dużej mierze nas usprawiedliwia.

- Absolutnie was to nie usprawiedliwia. A mówiąc już całkiem szczerze, o to wszystko obwiniam właśnie jego - powiedziała lodowatym tonem pani Bretton. - Gdyby cię nie zachęcał, kiedy mu pierwszy raz pokazałaś tę swoją pisaninę, nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy. A ty zajmowałabyś się tym, czym dobrze urodzona dama powinna się zajmować.

- To znaczy wzięła sobie kochanka trzynaście miesięcy po ślubie, a cztery po urodzeniu spadkobiercy? - z głupia frant spytał stryj Theo.

- Słucham?! - Pani Bretton aż spurpurowiała.

- Nie słyszałaś o tym? Lady Tavistocke pojechała do Wenecji i wzięła sobie gondoliera - odrzekł stryj Theo. - To dopiero szok i skandal. A biedny stary Reggie Tavistocke nie ma pojęcia, co z tym począć.

- Nie możesz winić biednej dziewczyny - powiedziała stryjenka Tandy. - Reggie ma prawie sześćdziesiąt lat, a wiesz przecież, jacy są Włosi. Na dodatek gondole są bardzo wygodne. Zawsze uważałam, że ruch wody bardzo sprzyja... - Dość! - krzyknęła pani Bretton. - Wynoście się z mojego domu! Oboje!

- Prawdę powiedziawszy, to jest mój dom, Susan - rzekł pogodnym tonem stryj Theo. - Ale bardzo mi miło, że w nim mieszkacie. No cóż, najlepiej chyba zrobimy, jeżeli was zostawimy, żebyście sobie pogadali w najbliższym rodzinnym gronie, tylko proszę, nie bądźcie zbyt surowi dla Victorii, bo ona na coś takiego absolutnie nie zasługuje. A skoro już o tym mowa, jest coś, co chciałbym jej jeszcze powiedzieć.

- Co oboje chcielibyśmy jej powiedzieć - poprawiła go z uśmiechem stryjenka Tandy.

- Oczywiście, kochanie. Otóż chcemy ci powiedzieć, jak bardzo jesteśmy z ciebie dumni. Po twoim wyjściu odwiedził nas sir Michael Loftus... - Sir Michael?! - Victorii aż zaparło dech.

- Tak. Twoja najnowsza sztuka zrobiła na nim wielkie wrażenie. To znaczy najnowsza sztuka Valentine'a Lawe'a. Powiedział, cytuję dosłownie, że jest to błyskotliwa komedia o wspaniale zarysowanych charakterach i mądrze przemyślanej akcji, napisana bardzo zręczną ręką.

- Sir Michael powiedział... - zdumiona Victoria wpatrywała się w stryja - ...że mam bardzo zręczną rękę?

- Tak brzmiały jego słowa.

Ogarnęła ją euforia, czuła, że zaraz oderwie się od ziemi. Pomyśleć, że największy krytyk teatralny tak ją pochwalił! Nie, ja chyba śnię! - pomyślała.

- I wyglądałaś przepięknie - zapewniła stryjenka, ściskając ją serdecznie. - Zauważyłam, że obserwowało cię kilku dżentelmenów. Wśród nich byli lord Vale i pan Chesterton. Słyszałam też, że najwspanialszy kawaler do wzięcia, pan Devlin, zatrzymał się, żeby z tobą porozmawiać.

- Pan Devlin? - zawołała pani Bretton. - Spadkobierca lorda Kemptona chciał z tobą rozmawiać, a ty nic mi o tym nie mówisz?!

Victoria zarumieniła się, uświadamiając sobie, że matka wpatruje się w nią ze zdumieniem i wyrzutem.

- Bo tak naprawdę nie ma o czym mówić, mamo. Nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, rozmawialiśmy tylko o przedstawieniu.

- Ale on cię zagadnął! Wciągnął w rozmowę! - nie ustępowała pani Bretton. - A przecież nie byliście sobie przedstawieni. Więc musiał mieć jakiś powód.

- Myślał, że potrzebuję pomocy. - Victoria poczuła, że jej policzki zaczynają płonąć. Spowodowało to wspomnienie jego długich palców rozplątujących węzła... oraz to, że nie zgodziła się, by złożył jej wizytę. - Jestem pewna, że nie kryje się za tym nic innego.

- Niestety muszę zgodzić się z Victorią - dodał stryj Theo, kierując się ku drzwiom. - Kobiety uganiają się za Devlinem od czasu, gdy jeszcze był chłopcem, jednak żadnej nie udało się go usidlić. Myślałem, że lady Frances Shaftsbury była tego bliska, jednak i to ostygło, a znając niechęć lorda Kemptona do świątka teatralnego, można być pewnym, że nie pozwoli najstarszemu synowi i spadkobiercy na związek z Victorią.

- Przecież nikt nie wie, że Victoria to Valentine Lawe - zauważyła pani Bretton. - Z jakiego więc powodu ma mieć to wpływ na zainteresowanie pana Devlina jej osobą?

- Z takiego, że w końcu się o tym dowie, a ja nie chcę widzieć, jak Victoria cierpi ze złamanym sercem, bo jakiś mężczyzna nie odwzajemnia jej uczuć - powiedział Theo.

- A wiem, że właśnie tak się to skończy. Ale cóż... Tandy, kochanie, musimy już iść. Próby zaczynają się za niecałe dwie godziny.

- Tak, oczywiście - zgodziła się stryjenka. - Victorio, przyjdiesz na przedstawienie?

- Nie, nie przyjdzie! - burknęła ze złością pani Bretton.

- Lady Holcombe spodziewa się nas dzisiaj na wieczorze muzycznym. - I dodała z naciskiem: - Spodziewa się całej naszej rodziny.

- Szkoda - odparł Theo - bo dziś znowu wyprzedana jest cała widownia. I spodziewam się, że tak będzie przez kolejne wieczory, w związku z czym nie będziesz mogła zobaczyć wszystkich przedstawień.

- O, z całą pewnością! - odparła ironicznie pani Bretton.

- Ale pojawię się tyle razy, ile zdołam - zapewniła stanowczo Victoria. - Winifred przyjechała do Londynu po to, by upolować męża, jednak dla niej głównym celem jest oglądanie własnych sztuk. I to jak najczęściej! - Stryjenko, stryjku, dziękuję, że przyszliście. Milszego poranka nie mogłabym sobie wyobrazić.

- Kochanie, cała przyjemność po naszej stronie.

Stryjostwo jeszcze raz jej pogratulowali, pożegnali się i wyszli, jednak gdy drzwi salonu zamknęły się i została sama z rodzicami, Victoria nie wiedziała, co powiedzieć. Nie odczuwała już radości. Niezadowolenie i złość matki sprawiły, że poczuła się jak wdeptana w ziemię. A na dodatek matka była osobą elokwentną.

- Naprawdę, panie Bretton - znów tym swoim specyficznym tonem zwróciła się do męża - gdyby nie to, że jesteście tak blisko ze sobą, nie wpuściłabym ani jego, ani tej kobiety do naszego domu.

- Ależ moja droga, tak się składa, że ta kobieta jest twoją szwagierką - odparł małżonek. - I trudno by było ich nie wpuścić, skoro, jak przypomniał Theo, ten dom, jak i kilka innych położonych w pobliżu, należy do niego.

- No cóż, to niezbity fakt, o którym Theo wciąż nam przypomina - odrzekła pani Bretton. - Bardzo żałuję, że nie mamy własnego domu w Londynie i nie możemy się obejść bez jego łaski.

- Nie mamy go i nie ma najmniejszego sensu tak mówić, moja droga. A co do mnie, to jestem bratu bardzo wdzięczny za wszystko, co dla nas zrobił. Przykro mi, że również ty nie okazujesz mu choćby odrobiny wdzięczności.

- Ja?! Wdzięczności?! Spodziewasz się, że okażę wdzięczność człowiekowi, który żyje z teatru i który porzucił żonę dla tej okropnej aktorki?!

- W istocie, nie spodziewam się tego. I owszem, wolno ci czuć do nich antypatię, ale tylko po cichu. Pohamuj swój język, nie obrażaj ich, bardzo o to proszę - upomniał ją mąż. - A skoro nie możesz się zmusić do tego, żeby powiedzieć coś miłego, to po prostu zachowaj milczenie.

Mężowska reprimenda była bardzo łagodna, jednak okazała się ponad wytrzymałość skarczonej małżonki, która tupnąwszy nogą, wypadła z salonu. Victoria uśmiechnęła się do ojca.

- Tak mi przykro, papo - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Naprawdę nie chciałam ci ściągać tego na głowę.

- Ależ dziecko, niczego mi nie ściągnęłaś na głowę, więc nie dręcz się wyrzutami sumienia. A teraz powiem ci coś, czego lepiej nie mówić w obecności matki. Jestem z

ciebie bardzo, ale to bardzo dumny. Napisać sztukę teatralną to nie lada praca, a napisać sztukę, która spotkała się z takim przyjęciem jak twoja, to wielkie osiągnięcie. Jestem z ciebie dumny jak paw.

- Och papo, jakiś ty miły! - Zrzuciła mu ręce na szyję. - Nie wiem, co bym poczęła, gdybyś i ty, tak jak mama, gardził teatrem.

- Rzeczywiście, wtedy twoja sytuacja byłaby nie do zniesienia - zgodził się ojciec. - Podoba się to komuś czy nie, ale to twoje teatralne sukcesy sprawiły, że możemy mieszkać w tym pięknym domu. A tobie, Victorio, stryjostwo okazali mnóstwo dobroci. Przeczytali twoje utwory i wystawili je na scenie, utrzymując w tajemnicy tożsamość autorki. Zawdzięczamy im zatem bardzo wiele. A przy tym nie żądają nic w zamian, a także puszczają mimo uszu całą tę gadaninę mamy.

- To prawda, papo. Są bardzo hojni i wielkoduszni. Chciałabym choć w niewielkim stopniu przyczynić się do sukcesu ich teatru i swoimi sztukami odpłacić za wszystko, co dla mnie robią. No i... tak bardzo pragnę, żeby mama stała się dla nich miłsza... i cieszyła się moimi sukcesami...

- Wiem o tym, dziecko, ale twoja matka wreszcie się uspokoi. Jej zdenerwowanie i gwałtowne reakcje biorą się z lęku, że ludzie poznają prawdę, kto kryje się pod pseudonimem Valentine Lawe. Zresztą sama wiesz, że gdyby to wyszło na jaw, w wielu salonach stałabyś się... osobą mało popularną. U wielu to, co ukazujesz w swoich utworach, wzbudza niechęć i złość. - Przerwał na moment. - Przyjechaliśmy do Londynu po to, by ciebie i twoją siostrę wydać za mąż, zatem musimy robić wszystko, by przedstawić was w jak najlepszym świetle. Dlatego uważam, że dobrze zrobiłaś, ukrywając się pod pseudonimem literackim.

- Obiecałam to przecież mamie.

- No właśnie. A co do twoich częstych bytności w teatrze, to z przykrością muszę stwierdzić, że nie działa to na twoją korzyść. Z drugiej jednak strony Laurie zawsze jest przy tobie, a jego po prostu się nie da oskarżyć o niemoralne postępowanie.

- Oczywiście, papo, Laurie jest bez skazy. Chciałabym tylko, żeby dołożył więcej starań na polu towarzyskim - powiedziała Victoria. - Taki z niego milczek, że panie w ogóle go nie zauważają.

- Laurie jest uczonym, a ludzie uczeni są niezbyt towarzyscy z natury. Nie wątpię jednak, że gdy pojawi się właściwa kobieta, twój brat ocknie się i ją zauważy, a także zmanifestuje całkiem nową stronę swej osobowości.

- A ja mam nadzieję, że wybranka jego serca będzie taką samą jak on miłośniczką teatru. Nieraz się zastanawiam, czy mój brat w skrytości ducha nie marzy o scenicznej karierze.

- Nie wywołuj wilka z lasu, drogie dziecko! Gdyby Laurie został aktorem, wasza biedna matka skończyłaby w szpitalu dla obłąkanych - oznajmił papa. - A teraz biegnij i porozmawiaj z mamą o wydarzeniu towarzyskim, które szykuje się dzisiejszego wieczoru.

- Cóż, powinnam tak zrobić - niechętnie odparła Victoria. - Nie mam nic przeciwko Holcombe'om, tylko dlaczego zapraszają na swoje wieczory najbardziej sztywne towarzystwo, jakie w ogóle można sobie wyobrazić?

- Nic na to nie poradzimy, ale jest okazja, żebyś dla odmiany pokazała się nie w teatrze, lecz na salonach. Czas, żebyś pomyślała o ustatkowaniu się. Bóg wie, że twoja matka myśli tylko o tym. Teraz, gdy Winifred już bywa, powinnaś jak najprędzej wyjść za mąż, oczywiście za kogoś odpowiedniego. Wtedy twoja siostra też będzie mogła sobie znaleźć dobrego męża. Sądzę, że wczorajszego wieczoru zrobiła duże wrażenie na panu Henrym Fultonie.

- A dlaczego miałyby takiego wrażenia nie zrobić? Winifred jest piękna i starannie wykształcona. I będzie kiedyś doskonałą żoną - powiedziała wielkodusznie Victoria. - Ale powiedz, papo, jakież to mężczyzna mógłby zainteresować się mną? Kobieta, która nie tylko pisze sztuki teatralne, ale i je współreżyseruje? Czasami myślę, że urodziłam się po to, by zostać treserką małą lub kimś w tym stylu.

Pan Bretton wybuchnął głośnym śmiechem, zaraz jednak spoważniał.

- Nie przesadzaj, kochanie. Po prostu musisz dołożyć trochę starań. Małżeństwo zapewni ci dom i dzieci. - Znów się uśmiechnął. - Kto wie, jeżeli będziesz miała całą gromadkę, to założysz własną trupę!

Naprawdę ją rozbawił. Tylko ojciec mógł powiedzieć coś takiego... i tylko wtedy, gdy matki nie było w pobliżu.

- Najdroższy papo, nie chcę nawet myśleć, co by powiedziała mama, gdyby się dowiedziała, że w taki sposób próbujesz mnie przekonać do małżeństwa!

- Zabrakłoby jej po prostu słów, kochanie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lordostwo Holcombe'owie mieszkali we wspaniałej rezydencji, w której prezentowali swoją kolekcję dzieł sztuki, przewyższająca ilością i jakością zbiory niejednego renomowanego muzeum. Na ścianach wisiały obrazy wielkich mistrzów z różnych epok, a w specjalnie do tego celu przeznaczonych salach były eksponowane rzeźby i mające historyczną wartość eksponaty, które lord Holcombe przywoził z licznych podróży.

Krążąc po sali wypełnionej zabytkami z czasów rzymskich, Alistair zatrzymał się, żeby obejrzeć wysadzany drogimi kamieniami sztylet. Zastanawiał się przy tym, czy ktoś zauważy jego zniknięcie, jeżeli wymknie się teraz przez oszklone drzwi prowadzące do ogrodu. Miał dość tego przyjęcia, bo markiz i jego żona, bardzo przez niego lubiani, niestety zapraszali na swoje wieczory najstraszliwszych nudziarzy. Alistair czuł, że oszaleje, jeżeli po raz kolejny tego wieczoru usłyszy opowieść o lady Tavistocke, która zdradziła męża z gondolierem. Lub gdy będzie musiał konwersować z następną mizdrzącą się panną, której rodzice postawili jeden cel: masz wyjść za mąż!

A przecież tyle jest innych i naprawdę ciekawych tematów do rozmowy. Chociażby kwestie społeczne, na przykład to, w jak strasznych warunkach żyją mieszkańcy wschodniego Londynu, ciała topielców znajdowane w Tamizie, zamieszki, praca dzieci, a także w ogóle warunki pracy w fabrykach... Chętnie porozmawiałby na jakikolwiek sensowny temat, byle skończyła się ta bezmyślna paplanina.

Nagle usłyszał kwestię wygłaszaną przez jakąś damę:

- ...Winnie, wybac, ale moim zdaniem strasznie to spłycaasz. Sądę, że Szekspir chciał pokazać słabość ludzkiego umysłu, który w skrajnie trudnych sytuacjach nieraz ulega przerażającej destrukcji. To oczywiste, że lady Makbet była szalona. Tylko co było powodem tego szaleństwa? Spóźnione wyrzuty sumienia wywołane mordem, którego z

jej namowy dopuścił się mąż? A może był to wynik zabójczej dla umysłu namiętności, której na imię niepohamowana żądza władzy?

Alistair zmarszczył brwi. Sawantka u Holcombe'ów?

Odwrócił się, żeby sprawdzić, kto mówi i... wpadł na kolejną młodą damę, jak się domyślił, spragnioną jego towarzystwa, z wiadomych rzecz jasna powodów.

- Najmocniej przepraszam... - zaczął.

- Nie szkodzi, panie Devlin - odrzekła młoda dama, oblewając się rumieńcem. - W tak zatłoczonym miejscu trudno się ruszyć, nie wpadając na kogoś.

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się w dziwnie znajomy Alistairowi sposób. Na pewno już byli sobie przedstawieni, bo nie tylko uśmiech był mu znajomy, ale i twarz. Jednak nazwiska za nic nie mógł sobie przypomnieć.

- Dobrze się pani bawi, panno... - Bretton. - Wydęła ponętnie wargi. - Poznaliśmy się dwa tygodnie temu, na przyjęciu u państwa Roehamptonów. Miałam nadzieję, że mnie pan pamięta.

Nie pamiętał jej. Ale pamiętał jej nazwisko.

- Jest pani siostrą panny Victorii Bretton?

- Tak. - Jej uśmiech zgasł, zastąpiony grymasem niechęci, a nawet obrzydzenia. - Zna pan moją siostrę?

- Poznaliśmy się wczoraj wieczorem w teatrze.

- Rozmawiał pan z Victorią? - spytała z naciskiem.

- Tak. Miałem przyjemność zamienić kilka słów z pani siostrą po spektaklu.

- Spektaklu, który, jak sobie przypominam, bardzo się panu spodobał?

Alistair uśmiechnął się. No tak, ten drugi głos natychmiast rozpoznał. Niższy i bez przydechu, nie wyrażał zdenerwowania lub przymilności, nie mizdrzył się.

- Dobry wieczór, panno Bretton. - Gdy się odwrócił, napotkał uśmiech Victorii. - Co za przyjemność widzieć panią ponownie.

- Jak miło, że pan tak mówi. Pan... Devlin, czy tak?

Zawahała się celowo, a on, domyślając się tego, odparł, tłumiąc rozbawienie:

- Pochlebia mi fakt, że pani pamięta.

- Dlaczego miałabym zapomnieć? Rozmawialiśmy nie dalej jak wczoraj.

- Jednak... jakże noc się dłuży temu, kto cierpi - zacytował.

- Wątpię, czy pan cierpiał, panie Devlin. W każdym razie nie tak jak Guiscard. - Miała na myśli bohatera komedii *Blanche i Guiscard* Bernarda Josepha Saurina.

- Nie ma pani jednak pojęcia, jak cierpi ktoś, kogo tak okrutnie odprawiono.

- Pan nie został odprawiony - odparła rozbawiona. - A nawet jeśli, to bez okrucieństwa, tylko z należytym... - Jak miło, Victorio, że przyłączyłaś się do nas - lodowatym tonem przerwała jej siostra. - Kiedy cię ostatnio widziałam, z wielkim zaangażowaniem i widoczną przyjemnością rozmawiałaś z panem Comptonem.

Alistair zmarszczył brwi, po czym spytał z naciskiem:

- Z George'em Comptonem?

- Tak. Victoria prowadziła z tym panem nadzwyczaj ożywioną rozmowę.

- Och, bez przesady, ot, zwykła rozmowa podczas towarzyskiego spotkania - sprostowała Victoria. - Poza tym wcale dobrze się nie bawiłam. Owszem, przykładałam się do konwersacji, bo nalegała na to mama, ale już spełniłam mój salonowy obowiązek i mogę iść do domu.

- A ja nie mam na to ochoty. - Winifred posłała Alistairowi kokieterijne spojrzenie. - Bawię się doskonale podczas rozmowy z panem Devlinem.

- Właśnie widzę. Niestety, mama poleciła, żebyś dotrzymała jej towarzystwa. Papa gra w karty, a dobrze wiesz, że mama podczas dużych zgromadzeń nie lubi być sama.

- Z pewnością ty możesz dotrzymać jej towarzystwa, bo wcale nie musisz iść tak wcześnie do domu.

- Muszę. Obiecałam pomóc Laurence'owi w pewnej pracy, a zależy mu na tym, by została skończona dziś wieczorem. Przykro mi, Winnie - dodała Victoria łagodnie - ale naprawdę muszę już wyjść.

- No dobrze. - Musiała ulec, niemniej spiorunowała siostrę wzrokiem, po czym odwróciła się do Alistaira z przepaszającym uśmiechem. - Przykro mi, że nie możemy dokończyć naszej rozmowy. Mam jednak nadzieję, że zrobimy to podczas następnego spotkania.

- Będę tego oczekiwał z niecierpliwością, panno Winifred. - Była to czysta kurtuzja z jego strony, mimo to panience zabłyśły śliczne oczy. - Czy pani siostra jest zawsze

taka opryskliwa, panno Bretton? - zapytał, gdy Winifred znalazła się już tak daleko, że nie mogła ich usłyszeć.

- Tylko w stosunku do mnie. - Na twarzy Victorii pojawił się smutny uśmiech. - Dla ludzi, z którymi lubi przebywać, potrafi być niezmiernie miła.

- A pani towarzystwa nie lubi?

- Winnie nie do końca mnie akceptuje. Uważa, że jestem zarozumiała. Sądzi też, że mówię, co myślę, kiedy powinnam milczeć. Ponadto uważa, że zbyt wiele czasu spędzam w teatrze z ludźmi, którzy nie są warci mojej uwagi. I jest to opinia, którą podziela moja matka, podobnie jak inne osoby z towarzystwa.

- I nie mylą się - powiedział prosto z mostu Alistair.

- Być może, ale i tak nie powstrzyma mnie to od wizyt w teatrze - oznajmiła stanowczym tonem. - Po prostu lubię tam przebywać. Podczas dobrych przedstawień doceniam piękno języka i zawiłości akcji, a także podziwiam talent aktorek i aktorów. Gdybym znajdowała się w innej życiowej sytuacji, kto wie, czy sama nie zostałąbym aktorką. - W jej spojrzeniu nie było wcale skruchy. - Czy jest to dla pana szokujące?

- Wie pani doskonale, że tak. Większość dam znajduje przyjemność w robótkach i czytaniu. Te zajęcia nie narażają na szwank ich reputacji.

- I uważa pan, że to, co ja robię, naraża na szwank moją?

- Sama pani wie, że tak jest. I wygląda na to, że wcale się pani tym nie przejmuje.

- A w jakim celu miałabym udawać, że jest inaczej?

- Może dla zachowania pozorów?

Victoria roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem, który całkowicie zburzył spokój Alistaira.

- Był czas, kiedy robiłam różne rzeczy dla zachowania pozorów. Jednak wyrosłam z tego. Zapewne nic panu nie wiadomo o tym, że pochodzę z dość niezwyklej rodziny. Otóż naszą rodzinę można by metaforycznie zestawić z lady Tavistocke i jej gondolierem, choć niestety bez Wenecji, gondoli i kanałów. Chodzi o to, że jesteśmy na językach ludzi z towarzystwa, a pan, zanim i pana na nie wezmą, niech lepiej póki czas salwuje się ucieczką.

- Ucieczką?

- No tak. Niech pan ucieka i unika mojego towarzystwa. Przecież już wczoraj pana ostrzegłam.

Skojarzenie, o co jej chodzi, zajęło Alistairowi dobrą chwilę.

- Ma pani na myśli tę uwagę, a w pani rozumieniu ostrzeżenie, że do siebie nie pasujemy?

- To tylko wierzchołek całej prawdy. A zanim pan w nią do końca uwierzy, proszę się dyskretnie rozejrzeć.

Alistair popatrzył w prawo i w lewo i dostrzegł, że całe stado dostojnych matron wpatruje się w niego i pannę Bretton. A pod jego spojrzeniem wszystkie matrony jak na komendę odwróciły wzrok, a pewien hrabia natychmiast podjął przerwana konwersację z żoną.

- Boże drogi... czy tak jest zawsze? - zapytał.

- Czasami nawet gorzej - odrzekła Victoria.

- No to dlaczego pani tu bywa?

- Bo żąda tego ode mnie mama. Chce, żebym jak najszybciej wyszła za mąż, a to dlatego, by zaraz potem można było wydać moją siostrę. Stąd przymusowa konwersacja z panem Comptonem.

- Ależ on ma w domu cztery niezamężne siostry - prychnął Alistair. - Więc jak pani sądzi, jakiego by się pani doczekała powitania?

- Żadnego. Jednak to, że miałabym własny dom, jest wystarczającym powodem, by matka i siostra żądały ode mnie takich starań.

- Popychania w stronę George'a Comptona nie da się niczym usprawiedliwić - powiedział Alistair. - A co do pani wizyt w tym domu, to z pewnością są miejsca, gdzie doznałaby pani życzliwszego przyjęcia.

- W tym domu witają mnie dobrze. Lord Holcombe i mój stryj mieli w zeszłym roku jakieś wspólne interesy, i od tej pory lordostwo traktują nas bardzo serdecznie.

Kiedy unosiła do ust kieliszek, Alistair nie mógł oderwać wzroku od kusząco zarysowanej dolnej wargi.

- Więc pani wuj jest właścicielem teatru Gryf?

- Tak. Czy jest pan tym bardzo zaskoczony?

- Nie, nie... Dziwię się tylko, że pani matka, tak bardzo przeciwna temu, by bywała pani w teatrze, godzi się z tym, że jej brat jest właścicielem teatru.

- Godzi się, ale z wielkim trudem. Zresztą co mogłaby w tej sprawie uczynić? Aha, drobne sprostowanie. Stryj Theo jest bratem mojego ojca, a nie matki.

- Ale nazywa się Templeton.

- Zmienił nazwisko z uwagi na mamę - wyjaśniła Victoria. - W czasach, gdy rodzice się poznali, grał w niewielkim teatrze repertuarowym, a mamę, córkę duchownego, przeraził fakt, że jej przyszły szwagier jest aktorem.

Dlatego stryj, mając nadzieję, że to poprawi ich stosunki, przyjął nazwisko postaci, którą grał na scenie. I rzeczywiście trochę ociepliło się między nimi.

- Więc pani stryj jest aktorem.

- Był - sprostowała Victoria. - Przestał grać wkrótce po ślubie z moją stryjenką.

- Która, jak sędzę, jest również aktorką?

- Tak, ale teraz grywa bardzo rzadko. Głównie zajmuje się reżyserią, a także tym, co ogólnie w teatrze nazywamy produkcją. To wielka szkoda, bo oboje byli wybitnymi aktorami.

Alistair patrzył na Victorię zdeprymowany. Bo oto miał przed sobą wspaniałą młodą kobietę, najstarszą córkę dżentelmena, która o stryju, czarnej owcy w rodzinie, mówi nie tylko bez zażenowania, ale z podziwem.

- Devlin, gdzie ty się do diaska podzie... Och, przepraszam bardzo - sumitował się Collins na widok Victorii.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że państwo rozmawiają.

- Zatem jesteś jedyny na tej sali - powiedział ironicznie Alistair. - Panno Bretton, sędzę, że zna pani lorda Collinsa. - Rzeczywiście, ostatnio często widywałam jego lordowską mość w teatrze - odrzekła z uśmiechem.

- I sędzę, że milord jest wielbicielem panny Chermonde.

Ku złośliwej satysfakcji Alistaira, Collins poczerwieniał.

- Ta dama i ja... rzeczywiście jesteśmy... znajomymi... Tak... - A więc udzielę panu ostrzeżenia, milordzie - powiedziała Victoria. - Ponieważ mój stryj wie o tej... znajomości, musi pan liczyć się z tym, że przywoła pana do porządku, jeżeli kontakty z

panem negatywnie wpłyną na grę panny Chermonde. Stryj od członków trupy wymaga bardzo wiele. Jeżeli któryś z aktorów zaczyna grać gorzej, stara się dociec przyczyny. Powinien pan też wiedzieć, że w latach młodości stryj Theo był znakomitym pięściarzem.

Collins dla odmiany pobladł.

- Doceniam ostrzeżenie, panno Bretton, zapewniam jednak, że zawsze będę traktować pannę Chermonde z wielkim szacunkiem, a także będę ją obsypywał prezentami, które sprawią jej dużo przyjemności.

- W takim razie świetnie. Tylko proszę, niech pan jej nie karmi ostrygami - dodała Victoria. - Poprosi pana o nie, bo je uwielbia, ale reaguje na nie kichaniem, a także rujną jej głos na jakieś półtora dnia.

- Skoro tak, to żadnych ostryg nie będzie - odrzekł chłodno Collins.

- Dziękuję panu. Wybaczcie, panowie, ale muszę już iść. Dobranoc, milordzie. Dobranoc, panie Devlin.

- Dobranoc, panno Bretton. - Alistair skłonił się wytwornie.

Natomiast wściekły Collins tylko skinął głową, a gdy Victoria oddaliła się, rzucił ze złością:

- Co za impertynentka! Mówi mi, co powinienem, a czego nie powinienem robić z moją kochanką! Powinienem był jej powiedzieć, że to nie jej interes!

- Jednak tego nie powiedziałaś. - Alistair uśmiechnął się szeroko. - Jak na ciebie, Bertie, zareagowałaś potulnie jak trusia.

- Nie byłem potulny! - Collins aż poczerwieniał ze złości. - Byłem po prostu uprzejmy. Ale już wiesz, co miałem na myśli, gdy ci o niej mówiłem. O tym, jak panna Bretton się zachowuje i jak traktują ją ludzie.

- Owszem, dostrzegłem, że kilka starych jędz kręci na nią nosem. Skoro jednak nie jest osobą godną przebywania w towarzystwie, to nie powinno jej tutaj być, a przecież Holcombe'owie ją zapraszają.

- Wiesz, że jej stryjem jest Theo Templeton, prawda? Co więcej, jest nie tylko jej stryjem, ale i człowiekiem bardzo bogatym. Nikt nie wie, skąd wzięły się jego pieniądze. Sprzeczne plotki głoszą, że to majątek jego żony lub że Templeton wygrał fortunę w

karty. Tak czy inaczej, prawdziwy z niego krezus, więc nie musi przejmować się tym, co sądzi o nim londyńska socjeta.

- Ciekawe, co mówisz... - Alistair zadumał się na moment. - Nie wiem tylko, co to ma wspólnego z panną Bretton.

- Coś jednak ma. W zeszłym roku, gdy Holcombe popadł w finansowe tarapaty, Templeton wyciągnął go z nich. Wszyscy wprost umierają z ciekawości, dlaczego to zrobił, jednak obaj milczą jak zakłęci. A tylko oni znają prawdę. Jednak od tamtego czasu w obecności lorda Holcombe'a nie można powiedzieć złego słowa ani o Templetonie, ani o nikim z jego rodziny.

- Innymi słowy, dzięki przysłudze Templetona Victoria Bretton jest przyjmowana w towarzystwie. To chcesz powiedzieć, prawda?

- Coś musi być na rzeczy. Wprawdzie rodzice i siostra panny Victorii dbają o konwenanse, lecz zarówno ona, jak i jej stryjostwo absolutnie nie. A bardzo jest związana z Templetonami. Tak jak i oni postępuje niekonwencjonalnie, a zarazem korzysta z ich opieki, a teraz za protektorów ma lordostwo Holcombe'ów. - Przerwał na moment. - Bardzo jej się to przyda, bo ta młoda dama znana jest z tego, że mówi prosto z mostu, a wielu przewiduje, że przyjdzie jej za to odpokutować. Dlatego ciche wsparcie stryja i protekcja Holcombe'a mogą być jej bardzo potrzebne. Ludzie liczą się z fortuną Templetona, a z markizem mało kto odważy się iść na udry.

Alistair wiedział, że Collins pod pewnym względem ma rację. Nieustannie stykał się z lizusami, a przecież był zaledwie synem wicehrabiego. Zasada była taka, że im wyższy szczebel na drabinie społecznej, tym więcej płaszczenia się i unізoności.

Jednak stryj Victorii znajdował się poza tą drabiną. Zarówno on, jak i jego żona byli kiedyś aktorami, co raz na zawsze społecznie ich zdefiniowało. To, że są bardzo bogaci, a także to, że wybawili z kłopotów para królestwa, nic tu nie zmienia. Templeton w najlepszym razie mógł być uważany za nuworysza, a w najgorszym za aktora. I ani jedno, ani drugie nie przynosiło zaszczytu zarówno jemu, jak i jego rodzinie.

- Czy Templeton dużo bywa w towarzystwie? - zapytał Alistair.

- Tyle tylko, ile chce - odparł Collins; - A rzadko chce, bo na bywaniu wcale mu nie zależy.

- A na czym mu zależy?

- Na żonie, na teatrze, na bracie i bratanicy. Wszystko inne jest dla niego diabła warte. W każdym razie tak mi mówiono.

Alistair dawał wiarę jego słowom, bo Collins jako kochanek Signy Chermonde był dobrze poinformowany.

- Wygląda na to, że Templeton to ciekawy człowiek - rzucił w zadumie.

- Ekscentryk, i raczej pozostanmy przy tym określeniu - z jawną niechęcią odparł Collins. - Jednak taki krezus może sobie pozwolić na wszystko, natomiast z Victorią Bretton sprawy mają się inaczej. Jest między młotem a kowadłem. Owszem, ma wsparcie stryjostwa, lecz to wszystko, bo nawet rodzona siostra zwróciła się przeciwko niej.

Alistair wiedział to doskonale. Śliczna Winifred, rozmawiając z siostrą, pokazała, co potrafi. A jeżeli matka popychała Victorię w stronę George'a Comptona, to było oczywiste, że rodzina postanowiła wydać ją za pierwszego, który tym ożenkiem wyrazi zainteresowanie.

A jednak wyglądało na to, że Victoria w ogóle się tym nie przejmowała. Chodziła po salonach z wysoko podniesioną głową, z pełną dystansu pogodą znosząc wrogie spojrzenia. To ona zwróciła mu uwagę na to, jak bardzo niekorzystnie na jego reputację wpłynę fakt, że z nią rozmawia. Co to oznaczało? Czy to, że była całkiem nieczuła na afronty, które ludzie jej czynili? Czy też to, że była jeszcze lepszą aktorką niż powszechnie podziwiana Signy Chermonde?

Victoria miała zwyczaj pisać wczesnym rankiem, zanim cały dom się obudził. O tej porze jej umysł był najbardziej klarowny i w ciągu tych godzin, zwykle przed świtem, wykonywała najlepszą część swojej pracy. Jednak nazajutrz po wieczorze u Holcombe'ów słowa nie spływały swobodnie spod pióra, a ona nie od razu złożyła to na karb tego wszystkiego, co działo się zeszłego wieczoru.

Choć wspomnienie rozmowy z Alistairem Devlinem długo nie pozwalało jej zasnąć, nie chciała uwierzyć, że z powodu tego wspomnienia dopadła ją niemoc twórcza. Przecież nawiedzała ją tylko wtedy, kiedy podnosiła się w niej burza uczuć. A zważywszy na to, że z Alistairem rozmawiała zaledwie dwa razy, z jego powodu mogło dochodzić najwyżej do łagodnego wiatru, a już na pewno nie do burzy!

To prawda, że był czarujący, a także inteligentny. Co do tego nie miała wątpliwości, tyle że choć tych właśnie cech szukała w mężczyznach, to nie szukała ich w Alistairze Devlinie. Stryj wyraził to jasno i bez ogródek: skończyłoby się to złamanym sercem, gdyż pozycja Alistaira w towarzystwie i niechęć jego ojca do teatru niwelowały do zera szansę na związek między nimi.

Dlaczego więc wciąż o nim myślę? - zastanawiała się bezradnie. I dlaczego odszukał ją w teatrze, żeby z nią porozmawiać? Przecież nie zrobiłby tego, gdyby nie był nią zainteresowany...

Było to pytanie, nad którym Victoria łamała sobie głowę godzinę później, jadąc konno Rotten Row. Zrezygnowała z pisania i poprosiła o osiodłanie klaczy, mając nadzieję, że zmiana otoczenia dobrze jej zrobi. Stajenny jechał za nią w sporej odległości, więc mogła spokojnie rozmyślać, a jednak wciąż czuła w głowie pustkę. Nie pojawiały się żadne inteligentne pomysły literackie, a sama przed sobą nie chciała przyznać, co jest tego przyczyną. Czuła jednak, że... - Panno Bretton - usłyszała dobrze już znany głos. - Co za niespodzianka! Nigdy bym nie przypuszczał, że spotkam panią o tak wczesnej porze.

Victoria podniosła wzrok, a jej dłonie odruchowo zacisnęły się na wodzach.

- Pan Devlin. Dla mnie to też niespodzianka. - Mało powiedziane. Był ostatnią osobą, którą chciała teraz spotkać! - Choć z drugiej strony nie rozumiem pana zdziwienia. Przecież od państwa Holcombe'ów wyszłam wcześniej.

- Owszem, jednak większość dam nie lubi jeździć konno po parku w porze, kiedy nikt ich nie może podziwiać.

- To prawda - odparła rozbawiona. - Tyle że akurat ja jeżdżę dla czystej przyjemności, a nie po to, by wystawiać się na spojrzenia ludzi, których sądy wcale mnie nie obchodzą.

- Jednak nikt, kto by panią teraz zobaczył, nie mógłby nie podziwiać pani urody.

Victoria roześmiała się na tę śmiałą uwagę, po czym delikatnie skarciła dandysa:

- A nie sądzi pan, że na takie komplementy jest zbyt wczesny ranek? - Spojrzała przy tym na towarzyszącą mu damę, która miała na sobie suknię w kolorze burgunda i

dosiadała ładnej jabłkowej klaczy. - Napominam przy tym, że nie przedstawił mnie pan swojej towarzyszce.

- Ależ oczywiście. Panno Victorio Bretton, czy wolno mi przedstawić moją kuzynkę, pannę Isabelle Wright?

Kuzynka? Bardzo to zaskoczyło Victorię. Tylko kuzynka? A może... - Witam, panno Bretton - powiedziała dama z młodzieńczym ożywieniem. - Nareszcie się spotykamy. Bardzo się z tego cieszę. U państwa Roehamptonów zostałam przedstawiona pani siostrze. To bardzo miła osoba. Pani wujostwo także tam byli.

Victoria, która nie poszła na to przyjęcie, domyśliła się, że panna Wright nie mówi o stryjostwie Templetonach, tylko o bracie matki i jego żonie, którzy mieszkali w Edynburgu. - Nie wiedziałam, że wujostwo Taitleyowie bawią w Londynie.

- Nie, nie, miałam na myśli tych państwa, którzy mają coś wspólnego z teatrem Gryf. Są z panią spokrewnieni, prawda? Państwo Templetonowie.

Zdumiona faktem, że kuzynka Alistaira Devlina wie, kto jest właścicielem któregośkolwiek teatru, nie mówiąc już nawet o Gryfie, odpowiedziała ostrożnie:

- To mój stryj i stryjenka.

- Tak myślałam. Bardzo się ucieszyłam, mogąc ich poznać, uważam bowiem, że pani stryj wystawia najlepsze sztuki w całym Londynie.

- Posłuchaj, Isabelle, a może byś powiedziała panie Bretton, jaki jest tytuł twojej ulubionej sztuki? - włączył się Alistair z uśmiechem.

- Nie sądzę, że to kogokolwiek zaskoczy. „Wybór damy” Valentine'a Lawe'a - odparła z entuzjazmem. - Kuzyn Alistair mówił mi, że pani też widziała to przedstawienie, panno Bretton.

- To prawda.

- Czy nie sądzi pani, że jest doskonale?

- No cóż, nie jestem pewna, czy powinnam... - Ależ powinna pani o tym mówić! Bo moim zdaniem Valentine Lawe jest najbardziej utalentowanym londyńskim dramaturgiem. I z pewnością możemy się co do tego zgodzić?

Nieco skonsternowana, Victoria ściągnęła wodze. Jakie to dziwne... Dotąd nigdy jej nie pytano o Valentine'a Lawe'a, dlatego nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

- No cóż, wyznam, że moim zdaniem... jest całkiem dobry.

- Całkiem dobry?! Droga panno Bretton, on jest wyjątkowy! - zawołała panna Wright. - Widziałam wszystkie jego sztuki: „Zimową eskapadę”, „Genevieve” i „Ukochanego Penelopy”. Ale „Wybór damy” jest zdecydowanie najlepszy. Poznała pani Valentine'a Lawe'a? Kuzyn Alistair mówi, że na pewno tak, skoro pani stryj wystawia jego utwory na scenie.

- Tak by się mogło zdawać, jednak pan Lawe bardzo strzeże swojej prywatności - odrzekła Victoria, próbując trzymać się jak najbliżej prawdy. - Stryj twierdzi, że nigdy jeszcze nie spotkał dramaturga, który tak o to by dbał.

- Naprawdę? - Panna Wright była wyraźnie rozczarowana. - Dlaczego?

- Pewnie się boi, że go będą niepokoić na ulicy takie egzaltowane entuzjastki jak ty - podkpiwał Alistair.

Rozbawiona Victoria zauważyła, że Isabelle zarumieniła się.

- Nieładnie, kuzynie, że się ze mną droczysz. Ale cóż, na tym polu nigdy się nie zrozumiemy. Wiem, że nie masz pochlebnego zdania o sztuce pana Lawe'a, jak zresztą o twórczości wszystkich pisarzy razem wziętych.

- Przeciwnie - żywo zaoponował Alistair. - Sądzę, że utwory Lawe'a przewyższają wszystkie inne. Widziałem co prawda tylko „Wybór damy”, ale to wystarczy, by stwierdzić, że Lawe jest bardzo utalentowanym pisarzem.

Victoria w skrytości ducha pławiła się w blasku tych pochwał. Żałowała, że nie może wyjawić prawdy i z głębi serca podziękować tym wszystkim, którzy cenili jej dzieła. Zwłaszcza komuś takiemu jak Alistair Devlin.

- Czy on jest przystojny? - spytała panna Wright.

- Kto? - Victoria ocknęła się z zamyślenia.

- Valentine Lawe. Pani stryjenka musiała coś mówić na ten temat.

- Ach... nie... Nigdy stryjenki o to nie spytałam.

- A ja jego portret noszę w wyobraźni - wyznała panna Wright. - Valentine Lawe jest tak wysoki jak kuzyn Alistair, ma równie ciemne włosy, a oczy są błękitne i najpiękniejsze pod słońcem. Gdy na ciebie patrzy, czujesz się, jakby zaglądał ci w głąb duszy.

- Naprawdę? - Victoria nie miała pojęcia, co powiedzieć. Choć jako pisarka była bardzo biegła w imaginacji, jednak nie stworzyła wizerunku swego alter ego. - To bardzo... interesujące.

- I jest zawsze głęboko zadumany, jak przystało na romantycznego bohatera - mówiła dalej panna Wright.

- Bo jego sztuki są pełne humoru, ale on sam jest człowiekiem cichym i zamyślonym. Ubiera się dobrze, ale tylko w czerń i biel. W butonierce nosi czerwoną różę i...

- I brylantowy kolczyk w uchu? - zapytał Alistair. - Czy może złote kółko?

- Przecież Valentine Lawe nie jest piratem, kuzynie!

- Panna Wright wzniosła oczy do nieba. - Jest dramaturgiem. I nie tylko ja usiłuję go sobie wyobrazić. Ellen Standish uważa, że ma jasne włosy, Jenny Harriett że rude, a pani Johnston jest zdania, że w ogóle ich nie ma. Ale pani Johnston lubi łysiejących panów, jej zdaniem tak właśnie wygląda atrakcyjny mężczyzna.

Victoria milczała, a rozmowa z minuty na minutę robiła się coraz bardziej dziwna.

- No cóż - powiedziała w końcu. - Jeżeli będę miała szczęście poznać pana Lawe'a, przekażę mu, co panie sądzą o jego wyglądzie.

- Naprawdę? Zrobi to pani dla mnie?

Panna Wright wyglądał jak ktoś, komu zdradzono sekret wiecznej miłości.

- Z prawdziwą przyjemnością - obiecała Victoria. - Lecz ostrzegam, że nie spodziewam się takiego spotkania w najbliższym czasie.

- W najbliższym czasie czy trochę później, nie robi mi to różnicy! - zawołała panna Wright. - Najważniejsze, że tak czy inaczej powie mi pani, jak on wygląda, a ja dowiem się, czy się nie myliłam. Dziękuję pani bardzo, panno Bretton!

Victoria pochyliła głowę, zadowolona, że wyszła bez szwanku z sytuacji, która mogła się stać bardzo kłopotliwa. Nie lubiła kłamać, lecz czy miała inne wyjście? A już zwłaszcza w obecności Alistaira Devlina nie mogła się przyznać, że jest Valentine'em Lawe'em, skoro podczas poprzednich rozmów nie powiedziała mu prawdy.

Spojrzała na niego. Tak swobodnie siedział w siodle. Pozazdrościła mu spokoju, bo jej serce biło bardzo szybko, a gdy Alistair uśmiechnął się do niej, załopotało w płochu.

Był to uśmiech, o którym nie potrafiła zapomnieć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ten wieczór zastał Victorię w salonie, gdzie siedziała samotnie z ołówkiem i arkuszem papieru. Reszta rodziny wyszła. Rodzice co prawda pytali, czy zechciałyby do nich dołączyć, jednak wymówiła się migreną. Lecz prawda była taka, że pragnęła się znowu do pisania. Niestety, im dłużej wpatrywała się w niezapisaną stronicę, tym większą pustkę czuła w głowie. Czyżby to był już koniec mojej rozkwitającej kariery? - myślała z niepokojem.

By podnieść się na duchu, odłożyła arkusz i ołówek i sięgnęła do kieszeni. Dzisiejszego ranka udało jej się przeczytać w gazecie recenzję sir Michaela Loftusa. Wydarła ją, ukryła przy sobie i czytała już tyle razy, że nieomal знаła ją na pamięć:

„...mieliśmy do czynienia z kolejną błyskotliwą sztuką niezrównanego Valentine'a Lawe'a, i jak dotychczas najlepszą. Wprawnie poprowadzona akcja idzie tutaj w parze z mistrzowsko przedstawionymi charakterami. Trzeba też powiedzieć, że autor w sposób godny podziwu i w godnym sobie stylu dał satyryczną charakterystykę wyższych sfer oraz kleru.

Grana przez doborową obsadę teatru Gryf sztuka jest żywą, zabawną i lekką farsą. Chylę czoła przed Signy Chermonde za rolę Elizabeth Turcott oraz przed Victorem Trumphanim za rolę Elliota Blacka. I po raz kolejny przed autorem sztuki - za jego wybitny talent. Z niecierpliwością też oczekuję kolejnych utworów Valentine'a Lawe'a...” - Chylę czoła przed autorem... za jego talent... - szepnęła Victoria.

Wiedziała doskonale, że sir Michael Loftus rzadko szermował takimi pochwałami, przecież czytała mnóstwo jego recenzji. Na ogół był zdystansowany, a nawet chłodny, i wtedy autor oddychał z ulgą. Potrafił jednak zniszczyć karierę dramaturga za pomocą

bardzo krótkiego tekstu. Albo też, jak w przypadku Valentine'a Lawe'a karierę, i to wielką, zapoczątkować.

- A co to? Nie siedzisz zamknięta w swoim pokoju? Nie piszesz? - zagadnął Laurence, wchodząc do salonu z książką w ręce.

- Mam okropną pustkę w głowie - odrzekła Victoria i wsunęła recenzję do kieszeni.
- Nie potrafię powiedzieć, o czym będzie moja kolejna sztuka. Nie mogę z siebie wykrzesać żadnego pomysłu.

- Nie powinnaś się tym przejmować. Przecież pisanie „Wyboru damy” bardzo cię wyczerpało. Nic więc dziwnego, że na jakiś czas wyszła twoja studnia z pomysłami.

- Niby tak, ale przedtem napisałam trzy inne sztuki i nie miałam aż takich problemów.

- Dlatego, że choć twoje poprzednie sztuki były dobre, brakowało w nich aż takiego natężenia emocji - powiedział Laurence. - W „Wyborze damy” pokazałaś zarówno blaski, jak i cienie pełnego miłości związku, a taki wysiłek twórczy zbiera swoje żniwo. Pamiętasz, co powiedział stryj Theo? Sztuka wymaga pasji, a pasja intensywności, a wszystko to jest bardzo męczące.

- No cóż, mam nadzieję, że taka jest przyczyna mojej niemocy - zgodziła się Victoria, starając się nie odpłynąć myślami w innym kierunku, ku pewnej osobie.

- Gdzie się podziała reszta rodziny? - zapytał Laurence, siadając w fotelu naprzeciwko siostry.

- Są u Hungerfordów na kartach.

- Boże drogi, jakież to musi być ciekawe! - Laurence otworzył książkę. - Mama i ojciec zwykle grywają razem. Mam nadzieję, że podczas gry są bardziej zgodni niż ostatnimi czasy.

- Sądzisz, że mama już się na papę nie gniewa? Nie ma pretensji o to, że stanął po stronie brata i szwagierki, kiedy powinien był wziąć jej stronę? - Victoria pokręciła głową. - Wątpię w to. Wiesz przecież, jaka mama jest pamiętliwa. Sądzę jednak, że to nie jej wina. Po prostu chce, żebyśmy poznała kogoś miłego i wyszła za mąż.

- No to dlaczego tego nie robisz?

- Bo chcę pisać, a mąż mi tego zabroni. Będzie chciał, żebym chodziła z wizytami i wydawała przyjęcia. I siedziała w domu. I nie miała własnego zdania. A już z całą pewnością nie pozwoliłby mi bywać tak często w teatrze.

- Tego nie możesz wiedzieć - powiedział Laurence.

- Mogę. Taki mężczyzna przed ślubem będzie mówił rzeczy miłe dla mojego ucha, ale kiedy już włoży mi na palec obrączkę, zażąda, żebym wykonywała obowiązki żony.

- Jeżeli o mnie chodzi, to sądzę, że posługujesz się pisaniem jako zasłoną dymną - orzekł bez ogródek Laurence. - Myślę, że nie chcesz się zbliżyć do żadnego mężczyzny, bo boisz się zbyt głęboko zakochać. Pamiętam, jak okropnie cierpiałaś, gdy Phillip Chesham wyjechał z Anglii, nie poprosiwszy cię o rękę.

Victoria zarumieniła się. Laurence przypomniał jej dziecinne zadurzenie, o którym bardzo pragnęła zapomnieć. A to ją zabolalo.

- Wcale tak bardzo nie cierpiałam, naprawdę, tylko byłam... - szukała przez moment słowa - ...zaskoczona. Przecież myślałam, że Phillipowi na mnie zależy.

- Ależ zależało, mu, Vicky, tyle że był młody i bardzo chciał zobaczyć świat, a ty dążyłaś do tego, by wieść ustatkowane życie. Ani dla Phillipa, ani dla ciebie nie była to właściwa chwila.

To prawda, przyznała w duchu, jednak dla pełnego obrazu należałoby dodać coś jeszcze. Gdy Phillip Chesham poranił jej serce i sponiewierał dumę, oczywiście bolało, ale największy szwank poniosła twórczość. Victoria na długie miesiące straciła weny, nie napisała w tamtym czasie choćby linijki. Tę lekcję zapamiętała bardzo dobrze i już nigdy więcej nie chciałaby ponownie jej przerabiać.

- Zgadza się, że miłość może podziałać destrukcyjnie na twórczy umysł - oświadczyła. - Powiem nawet więcej. Bywa, że stan zakochania upodabnia się do umysłowej choroby, szczególnie gdy człowiek popuszcza cugle samokontroli. Szczęśliwie mam to za sobą, no i jestem starsza i o wiele mądrzejsza, a do tego moja kariera jest już ugruntowana. - Zadumała się na moment. - Chcę jednak sprawdzić, jak dalece ugruntowałam tę pozycję. A przecież wiem doskonale, że mąż zrobi wszystko, by ograniczyć lub w ogóle zniweczyć moją działalność.

- Wydaje mi się, że mocno przesadzasz. W każdym razie ja nie miałbym nic przeciwko temu, żeby moja żona pisała sztuki teatralne - oznajmił Laurie swobodnym tonem.

- Skoro miałyby to, czy cokolwiek innego, uczynić ją szczęśliwszą, mogłaby robić, co zechce.

- Nawet gdyby była aktorką?

- Co znaczy to pytanie? - Laurence zarumienił się aż po cebulki włosów.

- Laurie, mój drogi, widziałam, jak patrzysz na Signy Chermonde i jak się rumienisz, gdy do ciebie mówi.

- Wcale się nie rumienię!

- Och, mój drogi, przede mną nie musisz zaprzeczać. Nawet teraz jesteś zarumieniony.

- Boże drogi! - Laurence aż jęknął z desperacji. - A byłem pewien, że umiejętnie skrywam swoje uczucia.

- Zapominasz, że jestem twoją siostrą. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. I muszę ci powiedzieć, że z tego nic nie będzie.

- Wiem - przyznał ponuro. - Bo panna Chermonde związała się z tym rozpustnikiem, lordem Collinsem.

- Akurat to nie ma szczególnego znaczenia. Chodzi raczej o to, że mama by ci nie pozwoliła na ożenek z aktorką. Wiesz przecież, co sądzi o biednej stryjence Tandy.

- Wiem to aż za dobrze. - Laurence ciężko potarł twarz. - A skoro mowa o tych, do których nie pasujemy, to Winnie twierdzi, że wczoraj, na wieczorze u Holcombe'ów, zagarnęłaś dla siebie pana Devlina.

- Zagarnęłam? Nic podobnego! - odrzekła ostro Victoria, czując, że policzki jej płoną. - Winnie się dąsa, bo przerwałam jej rozmowę z tym dżentelmenem i kazałam iść do mamy. Sądzę, że jeszcze bardziej by się zezłościła, gdyby dziś rano zobaczyła mnie z nim w Hyde Parku.

- Ciebie z nim? A on był sam?

- Nie. Był ze swoją ładną i dużo młodszą kuzynką.

- Jesteś pewna, że to była kuzynka?

- Przez chwilę myślałam, że to jego kochanka, jednak gdy usłyszałam, jak rozmawiają, przekonałam się, że nie ma między nimi nic, co by na to wskazywało. A na dodatek ta młoda dama okropnie w kimś się zadurzyła. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie zgadniesz, kto jest obiektem jej westchnień.

- Masz rację, nie zgadnę.

- Wyobraź sobie, że Valentine Lawe.

- Powiedziała ci to?

- Tak! I muszę przyznać, że bardzo dziwnie się czułam, rozmawiając z nią o nim, jakby był realną osobą. Zostałam poinformowana, że ma czerwoną różę w butonierce, nosi się na biało i czarno, ma ciemne włosy i niebieskie oczy, które nie dają się z niczym porównać... Gdybym nie wiedziała, że tak nie jest, przysięgłabym, że opisuje ciebie!

- Niestety, brak mi talentu i czaru, by sprostać temu opisowi - powiedział Laurence. - Rozumiem, że nie zachęcałaś jej do tego, by postarała się poznać naszego autora?

- Robiłam, co mogłam, żeby ją do tego zniechęcić. Powstrzymałam się tylko od stwierdzenia, że ten człowiek to czysta fikcja.

- A co innego mogłaś zrobić? Matka by się wściekła, gdybyś powiedziała pannie Wright prawdę, zwłaszcza w obecności Devlina. Mówi o nim bez przerwy od chwili, gdy stryjence Tandy wymknęło się, że rozmawialiście ze sobą w teatrze. - Uśmiechnął się szeroko. - Devlin musiał być zdumiony, spotykając cię w Hyde Parku o tak wczesnej porze. Wymienialiście uprzejmości?

- Tak, oczywiście, jednak przez większość czasu słuchałam paplaniny kuzynki. Sądzę, że pan Devlin był równie jak ja ubawiony jej fascynacją naszym dramaturgiem.

- No to macie ze sobą coś wspólnego.

- Owszem, ale tylko to nas łączy - oznajmiła Victoria, czując, że policzki ma rozpalone. - Bo tak w ogóle pan Devlin i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego.

- Niekoniecznie. Nie wszyscy małżonkowie mają jednakowe upodobania - powiedział Laurence. - Nie trzeba daleko szukać, pomyśl tylko o naszych rodzicach.

- Tylko dlatego, że papie nie zależy na pozycji w tak zwanym wielkim świecie, natomiast dla pana Devlina z pewnością jest to bardzo ważne. Poza tym jestem pewna, że

pan Devlin ma swoje kluby, swoje kręgi i jest zaangażowany w politykę. A także folguje swoim zachciankom, jak większość dżentelmenów z jego sfery. Wcześniej czy później nastanie ten dzień, kiedy odziedziczy tytuł lordowski, więc musi starać się, żeby jego nazwisko było nieskalane...

Następnego dnia o godzinie wpół do trzeciej sfrustrowany i zły Alistair Devlin zatrzasnął zegarek. Poleciał agentowi handlu nieruchomościami pojawić się w Gunninghill House o drugiej, a ten spóźnił się już pół godziny. Jeżeli nie chce sprzedać tego domu, to powinien był po prostu o tym powiedzieć! - pieklił się w duchu.

- Dzień dobry panu! - Drobny człowieczek z torbą pod pachą prawie biegł w jego stronę. - Jestem Hedley Brown. Przepraszam bardzo za spóźnienie. Zatrzymał mnie poprzedni klient. Całkiem zapomniałem, że ma przyjść.

- Skoro pan tu już jest, nie mówmy o tym. Sądzę, że ma pan klucz przy sobie?

- Tak, oczywiście, sir, mam go tutaj. - Agent sięgnął do torby i wyjął klucz, po czym wsunął go do dziurki. - Szukałem go przez dobrą chwilę. Nie interesowaliśmy się za bardzo tym starym domem. - Kiedy klucz się nie przekręcił, wyjął go gwałtownie, oczyścił trochę z rdzy i ponowił próbę. - Sądzę, że doprowadzenie do tego, żeby się przekręcał gładko, będzie wymagało nieco pracy. No... już. Możemy wchodzić. - Popchnął drzwi, które się wreszcie otworzyły i ich oczom ukazał się duży pusty hol. - Owszem, wymaga nieco nakładów, ale tak czy inaczej jest to piękny dom, a cena sprawia, że staje się jeszcze bardziej atrakcyjny dla... każdego celu, na jaki chce go pan przeznaczyć.

Alistair przekroczył próg i rozejrzał się po ciemnym holu. Bez wątpienia agent uważał, że przeznacza ten dom dla kochanki, choć Bóg raczył wiedzieć, dlaczego miałyby tak daleko zakwaterować kobietę, z którą będzie się spotykał w nocy.

- Proszę mnie oprowadzić, panie Brown. Chcę obejrzeć resztę pomieszczeń.

- Oczywiście, sir.

Zaczęli zwiedzanie od parteru, gdzie znajdowała się ciemna i niezbyt ładna jadalnia, a także pokój śniadaniowy oraz pokój, który kiedyś mógł być biblioteką. Na pierwszym piętrze Hedley Brown pokazał Alistairowi kilka dużych pokoi, których okna wychodziły bądź na ulicę, bądź na zarośnięty ogród. Na drugim piętrze znajdowały się na-

tomiast sypialnie, każda z garderobą, i były tak duże, że każda mogła pomieścić kilka łóżek. A jeszcze wyżej mieściły się pokoje dla służby oraz strych. Natomiast znajdująca się w podziemiu kuchnia okazała się zaskakująco duża i dobrze rozplanowana.

Obejrzenie całego domu zajęło Alistairowi niewiele ponad kwadrans, a jeszcze mniej podjęcie decyzji. Dom był literalnie taki, jakiego potrzebował. Przestronny, a choć okna miał nieco zbyt małe, to pokoje były na tyle wysokie, że po umeblowaniu nie wyda się zagracony. W ogrodzie będzie można uprawiać warzywa, pomyślał Alistair, a łąka świetnie się nadaje na cele rekreacyjne.

- Kupuję - powiedział.

- Ale... nie mówiliśmy jeszcze o cenie. - Zdumiony agent wpatrywał się w Alistaira.

- Nie ma potrzeby. Powiedziałem panu, ile jestem gotów przeznaczyć na ten dom, i poleciłem znaleźć coś w tych granicach. Gdy dostałem od pana list w tej sprawie, sądziłem, że wziął pan to pod uwagę.

- No tak, ale...

- Zatem nie ma o czym dyskutować - powiedział Alistair. - Niech mi pan tylko powie, kiedy mogę objąć dom w posiadanie.

- No cóż, skoro wszystko odpowiada pańskim warunkom, może pan to zrobić w każdej chwili, wedle życzenia.

- Doskonale. Przyniósł pan ze sobą dokumenty?

- Hm... nie. - Policzki pana Browna poczerwieniały. - Nie miałem pojęcia, że tak szybko dobijemy targu.

- Zatem spotkamy się w pańskim biurze. Punktualnie za dwie godziny. Proszę przygotować papiery. - Nie czekając na odpowiedź, podążył do swojego powozu.

Alistaira zawsze bardzo dziwiło, gdy ktoś z prostej transakcji robił wielkie biurokratyczne przedsięwzięcie trwające całe popołudnie. Tak czy inaczej, najważniejsze było to, że dom będzie idealnie służył jego celowi, choć doprowadzenie go do odpowiedniego stanu będzie wymagało sporo nakładów i pracy. Jednak nie przejmował się tym, bo koszty remontu wkalkulował w kosztorys całości.

Tak, Gunninghill House doskonale mi odpowiada, uznał w duchu, po raz ostatni patrząc na kamienny budynek. Było tu wszystko, czego potrzebowały dzieci, dlatego wybaczał wszelkie uchybienia i spóźnienia temu poczciwcowi Brownowi.

Victoria, choć wołała teatr, wybierała się także od czasu do czasu do opery. Miała tyle szczęścia, że słyszała wielką włoską sopranistkę Angelicę Catalani. Zdarzyło się to kilka lat temu, a ona zapamiętała, że było to jedno z niewielu przedstawień, podczas których publiczność zachowywała się poprawnie. Nawet dandysi siedzieli cicho i słuchali śpiewu wspaniałej operowej diwy.

Dziś wieczorem Victoria wybierała się z Laurence'em na *Tankreda* Rossiniego, a potem, po spektaklu, na karty do jednego z przyjaciół. Wiele słyszała o Fanny Corri, która miała wykonywać główną partię, i spodziewała się że ten wieczór w Teatrze Królewskim będzie dla nich obojga miłym urozmaicheniem.

Nie spodziewała się natomiast zobaczyć Alistaira Devlina i kuzynki, którzy siedzieli w towarzystwie jakiejś pary w jednej z najlepszych łóż.

- Gdybym nie wiedział, że tak nie jest, przysięgłbym, że ten człowiek cię śledzi - powiedział cicho Laurence.

- Więc dobrze, że wiesz, jaka jest prawda. - Victoria zerknęła na scenę. Nie chciała, by ktoś pomyślał, że wpatruje się w Alistaira.

Wkrótce zaczęło się przedstawienie. Panna Corri była świetna w głównej roli kobiecej, roli Amenaide, a mezzosopranistka śpiewająca rolę Tankreda miała głos wprost cudowny. Tylko śpiewak wykonujący rolę Orbazzana zdecydowanie odstawał wokalnym kunsztem od swoich partnerek.

- Wydaje mi się, że śpiewał w zastępstwie - powiedział Laurence, gdy po zakończeniu przedstawienia wychodzili z łoży. - Zdecydowanie nie dorównywał poziomem pozostałym wykonawcom. Ale pannę Corri naprawdę warto było usłyszeć. Z pewnością przed jej drzwiami ustawi się kolejka. I ciekaw jestem, czy w tej kolejce znajdzie się Devlin. Bo krążą plotki, że szuka nowej kochanki.

Żadne z nich nie traktowało rozmów na takie tematy za coś niezwykłego czy niestosownego, gdyż od dziecka mieli styczność z teatrem, gdzie obyczaje były swobodne, a miłość i seks zlewały się w jedno.

I jest to kolejny powód, pomyślała Victoria, dla którego unikają mnie mężczyźni w rodzaju Alistaira Devlina.

Jednak myśl o tym, że ubiega się o względy diwy operowej, mocno ją zmieszała. Owszem, wszyscy wiedzieli, że dobrze urodzeni dżentelmeni szukają kochanek wśród aktorek, pieśniarek i tancerek, a jednak wolała nie myśleć o Alistairze jako jednym z tych, którzy wykorzystują takie kobiety.

Niedobrze się stało, że spotkała go, gdy tylko znalazła się w holu.

- Dobry wieczór, panno Bretton - powitał ją.

- Dobry wieczór - odrzekła, starając się mówić tonem obojętnym. - Podobało się panu przedstawienie?

- W sposób umiarkowany. Nie jestem miłośnikiem opery, jednak do wizyty w Teatrze Królewskim nakłonili mnie siostra i szwagier, namawiając równocześnie, żebym przyprowadził kuzynkę Isabelle Wright. - Przedstawił siostrę i szwagra, a młoda kuzynka przywitała się z Victorią jak ze starą znajomą.

- Raczej średnie wykonanie. Zgodzi się pani, panno Bretton? - zagadnął archidiakon.

- Co do tenora, to oczywiście zgadzam się, natomiast w mojej ocenie panna Corri była doskonała - powiedziała Victoria, dziękując nie po raz pierwszy losowi, że pisze pod pseudonimem. W ostatniej sztuce w sposób satyryczny przedstawiła postać archidiakona, a choć nie miała na myśli nikogo konkretnego, sądziła, że szwagier Alistaira, gdyby obejrzał sztukę, bardzo by się obraził. - Aż tak doskonała, że dorównuje samej Angelice Catalani. Ma piękny głos o zadziwiającej skali.

Pani Baltham uniosła nieco brwi, po czym rzekła:

- Wydaje się pani znać na takich sprawach. Jest pani miłośniczką opery?

- Oczywiście! - włączyła się panna Wright z całą naiwnością młodości. - Stryj panny Bretton jest właścicielem teatru Gryf, a ja jestem pewna, że panna Bretton wie wszystko o operze i teatrze.

Cóż, nie była to odpowiednia rekomendacja. Victoria przekonała się o tym, gdyż pani Baltham rozdymała nozdrza, jakby dotarł do nich właśnie nieprzyjemny zapach.

- Naprawdę? Nic o tym nie wiedziałam.

- Nie jest to rzecz powszechnie znana - wtrącił Laurence.

- I jestem pewien, że lepiej państwo zrobią, trzymając to w tajemnicy - powiedział chłodno archidiakon. - Chodź, Isabelle, wracamy do domu.

Nie mógł bardziej wyraźnie dać do zrozumienia, że nie życzy sobie tej znajomości. Oddalił się wraz z żoną, a biedna panna Wright poszła potulnie za nimi.

Victoria pełna złości wbiła wzrok w podłogę.

- No cóż, sprowadzę powóz - powiedział Laurence, bo nic lepszego nie mógł zrobić w tak niezręcznej sytuacji. - Victorio, idziemy?

- Chwileczkę, panno Bretton - powiedział spokojnie Alistair. - Proszę zaczekać.

- Dogonię cię za chwilę - powiedziała do brata, kiwając głową.

Laurence skłonił się i oddalił. Gdy tylko zostali sami, Alistair spojrzał na Victorię z niekłamaną troską.

- Naprawdę przykro mi z powodu tego, co zaszło. Nie mieli prawa mówić do pani w ten sposób.

- To nie pan, panie Devlin, powinien przeproszać - gniewnie odparła Victoria. - To oczywiste, że pana siostra i szwagier nie przyjęli wiadomości o moich związkach z teatrem tak entuzjastycznie jak panna Wright.

- Cóż, w takich sprawach dzielają opinię mojego ojca.

- To po co przyszli do opery? Czy opera nie jest jedną z odmian sztuki teatralnej?

- Zawsze tak sądziłem, jednak archidiakon uważa, że artyści operowi obdarzeni są talentem, który stawia ich znacznie wyżej niż zwykłych aktorów. To pogląd bezsensowny. Przepraszam za niego, bo zrobił przykrość pani i pani bratu.

- To nie pana wina, panie Devlin. A mnie nie pierwszy raz skrytykowano za rodzinne powiązania. Nie pierwszy i na pewno nie ostatni.

- Ale pani ani nie jest aktorką, ani w ogóle nie ma pani nic wspólnego z tym zawodem. Po prostu lubi pani teatr, podobnie jak wielu innych ludzi, a w tym nie ma nic złego.

Victoria odwróciła wzrok. Widząc troskę w oczach Alistaira, czuła się bardzo zmieszana. Z trudem też odgrywała przed nim osobę szczerą, która nic nie ma do ukrycia. Oszukiwanie panny Wright mogła usprawiedliwić, ale teraz czuła się okropnie.

- Nie moją jest rzeczą krytykować przekonania pańskiej siostry i szwagra - powiedziała cicho. - Mam jednak nadzieję, że nie pozwoli pan, by ich przesady zakłóciły radość i przyjemność, jaką z teatru czerpie panna Wright.

- Isabelle z pewnością w przyszłości wyrobi sobie zdanie na rozliczne i bardzo nawet trudne oraz kontrowersyjne sprawy, jednak dopóki gości w domu mojego ojca, znajduje się pod wpływem jego poglądów - powiedział powoli Alistair. - A muszę pani powiedzieć, że o teatrze myśli jak najgorzej.

- Jednak Isabelle chodzi do teatru.

- Rodzice bardzo jej pobbłazają i prosili, żeby pozwalano jej robić, co chce. Mojemu ojcu to się nie podoba. Uważa, że jest uparta i zadufana w sobie.

- Tak. - Na twarzy Victorii pojawił się uśmiech. - Upór spodobał mi się w niej od pierwszej chwili. A panu jestem wdzięczna za te wyjaśnienia.

- Byłoby mi przykro, gdyby pani uznała, że odczucia i poglądy archidiakona choćby w minimalnym stopniu są zbieżne z moimi - oświadczył Alistair. - Więcej, potraktowałbym to jako krzywdzącą niesprawiedliwość. Patrzę na panią... zupełnie inaczej. - Skłonił się, po czym oddalił, doganiając krewnych.

- Podobnie jak ja na pana, panie Devlin - szepnęła do siebie.

Jaka szkoda, że przepaść między nami stała się jeszcze większa...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na drugi dzień rano Victoria przyjechała do teatru, żeby porozmawiać ze stryjem. Gdy weszła na widownię, na scenie znajdowały się tylko dwie osoby z obsady - panna Catherine Jones, która miała wystąpić w zastępstwie Signy Chermonde, oraz aktorka grająca matkę Elizabeth Turcott.

- Ma zadatki na wielką aktorkę - powiedział stryj Theo, przysiadając się do Victorii. - Przewiduję, że doskonale sobie poradzi.

- A czy wolno mi spytać, gdzie będzie dziś wieczorem Signy, czyli nasza znakomitość?

- W łóżku, jak podejrzewam - odrzekł stryj, patrząc na scenę. - I powstaje pytanie: w czym.

Victoria wiedziała, że nie powinna się śmiać. Gdyby była podobna do matki lub siostry, przyjęłaby ten komentarz z zawstydzeniem, jednak jej związek z teatrem dawno pozbawił ją fałszywej skromności i sprawił, że potrafiła docenić humor stryja.

- Ostrzegłam lorda Collinsa, jak bardzo ryzykuje, jeżeli z jego winy ucierpi gra Signy - powiedziała.

- A on, jak dotąd, brał twoje ostrzeżenie pod uwagę, bo z jego powodu Signy jedynie spóźniała się na próby. A co do gry, to od czasu, gdy została jego kochanką, gra nawet lepiej. Bóg jeden wie, jak będzie grała, kiedy ją rzuci.

- Sądzisz, że to nastąpi?

- No cóż, mężczyźni pokroju Collinsa nie traktują takich związków poważnie. Gdy kochanka ich znudzi, biorą sobie następną. Przewiduję, że Signy, gdy zostanie porzucona, nie będzie mogła grać w niczym prócz najbardziej żalonych melodramatów. Będę musiał na taką okoliczność mieć pod ręką taką sztukę. - Uśmiechnął się szeroko. - Tymczasem zadowala mnie panna Jones. Bardzo dobrze gra Elizabeth.

- To prawda - poparła go szczerze, a potem westchnęła.

Na co stryj zareagował natychmiast:

- Co się stało?

- Nic.

- Nieprawda, coś się stało. Bo wzdychasz w ten sposób tylko wtedy, kiedy coś cię gryzie. Czy twoja matka znowu na nas narzekała?

- Nie - zaprzeczyła z bladym uśmiechem. - Nie ma to nic wspólnego z tobą ani z ciocią Tandy.

- Więc o co chodzi?

- Tamtego ranka, na drugi dzień po premierze, powiedziałeś, stryju... że istnieje nikła szansa na to, by pan Devlin zdecydował się na bliższe kontakty... na związek ze mną - zaczęła powoli. - Ale co cię skłoniło do wypowiedzenia takiej opinii?

- Czy pytasz dlatego, że coś do niego czujesz i w związku z tym masz nadzieję na taki związek?

- Nie - odrzekła Victoria, czując, że policzki jej płoną. Co za paradoks, że nie zawstydzila się, gdy była mowa o kochankach, a wzmianka o romantycznym związku z Alistairem spowiła ją krwistym rumieńcem. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że pan Devlin pochodzi z wyższej niż ja sfery, ale moim zdaniem jest człowiekiem bardzo interesującym. Dowcipnym i inteligentnym. I niezmiernie czarującym.

- No tak... czarującym... to u niego rodzinne. Jego dziadek był najbardziej czarującym człowiekiem, jakiego w życiu znałem - powiedział stryj Theo. - Choć z drugiej strony potrafił też być okropnym nudziarzem. A jego wnuk idzie w jego ślady. - Usiadł wygodniej i położył rękę na oparciu fotela Victorii. - Czy od dnia, kiedy się poznaliście, często widzisz Devlina?

- Nie, skądże. Bo niby jakim sposobem? Rozmawiałam z nim podczas wieczoru u Holcombe'ów, a także podczas konnej przejażdżki w Hyde Parku. Ostatnio widziałam go w Teatrze Królewskim. Wybraliśmy się z Laurence'em na *Tankreda* i spotkaliśmy pana Devlina z kuzynką, a także z siostrą i szwagrem, którzy okazali się absolutnie nieczarujący.

- Zgadza się z twoją opinią. Miałem okazję poznać archidiakona oraz jego małżonkę. Ich zdaniem teatr to prawdziwa jaskinia rozpusty i kuźnia wszelkich ludzkich słabości.

- Tak. Dał mi to jasno do zrozumienia - powiedziała Victoria. - Popełniłam błąd, wypowiadając się na temat poziomu śpiewaków, a kiedy panna Wright powiedziała, że

znam się na teatrze i operze, bo jestem spokrewniona z tobą, szanowny archidiakon i jego żona dali mi absolutnie jasno do zrozumienia, że nie chcą kontynuować tej znajomości.

- Wcale mnie to nie dziwi. Nikt z tej rodziny nie myśli dobrze o teatrze. - Stryj zawahał się przez chwilę, a potem zapytał: - Czy ktoś opowiedział ci historię starszego brata Devlina? Ma na imię Hugh.

- Nawet nie wiedziałam, że ma brata - odparła zaskoczona Victoria.

- Już go nie ma. Hugh zmarł kilka lat temu w tragicznych okolicznościach. - Theo zadumał się na moment. - Był wspaniałym człowiekiem. Przystojny, towarzyski, nawet bardziej czarujący niż ojciec i brat. Zakochał się jednak w pewnej aktorce, a gdy ojciec odmówił zezwolenia na ślub, uciekli do Szkocji i tam się pobrali.

- Boże drogi! A jak ona się nazywała?

- Sally Tamblin. Raczej nie mogłaś o niej słyszeć, bo nie grała zbyt długo w teatrach, ale była niebywale piękną młodą kobietą i wielu dżentelmenów do niej wzdychało. Jednak dla niej istniał tylko Hugh.

- Hugh Devlin - wyszeptała Victoria.

- Tak... Kochali się do szaleństwa, dlatego uciekli i się pobrali. Jednak nie zakończyło się to szczęśliwie. W kilka lat później Hugh dostał gorączki i zmarł, a Sally została sama z córeczką. I choć przed śmiercią Hugh pisał do ojca z prośbą o opiekę nad nimi, Kempton odmówił, oznajmiając, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

- Co za okrucieństwo!

- Kempton to człowiek dumny - powiedział stryj. - Wydziedziczył starszego syna, gdy ten uciekł do Szkocji, a kiedy Sally z córką zapukały do jego drzwi, prosząc o pomoc, odprawił je, twierdząc, że nie są jego krewnymi. Obwinił Sally o to, że syn przyniósł hańbę rodzinie, a swój gniew skierował przeciwko wszystkim aktorkom i aktorom. Dlatego do dziś nie pojawia się w żadnym teatrze. Z tego też powodu - dodał stryj z westchnieniem - nigdy nie zaakceptuje związku młodszego syna z kobietą, która ma bliskie powiązania z teatrem.

- Bliskie powiązania - powtórzyła Victoria. - To znaczy takie jak moje z tobą i ciocią Tandy?

- Na to mi wygląda, kochanie.

- Nie miałam o tym pojęcia.

- Nic dziwnego, bo już nikt o tym nie mówi. Ale skoro zapytałaś, uznałem, że muszę powiedzieć prawdę. Vicky, tak bardzo nie chcę, żebyś cierpiała.

- Wątpię, czy doszłoby do tego. - Próbowала przywołać na twarz przekonujący uśmiech. - Stryju, nawet pomijając uczucia lorda Kemptona, są bardzo niewielkie szanse na to, że coś się rozwinie między nami. Pan Devlin jest człowiekiem, który nade wszystko wymaga szczerości i prawdomówności, a ja od czasu, jak się poznaliśmy, bezustannie go okłamywałam.

- Dlaczego tak mówisz? - Stryj ściągnął ciemne brwi.

- Ponieważ nie wie, że Valentine Lawe i ja to ta sama osoba, a przecież nie mogę wyznać mu prawdy, bo obiecałam mamie, że nie zdradzę nikomu tej tajemnicy. - Victoria patrzyła na scenę, ale oczami wyobraźni widziała Alistaira. - Więc nikt mi nie musi uświadamiać, że dla kobiety takiej jak ja nie ma przyszłości z człowiekiem jego pokroju.

Istniało bardzo niewiele powodów, dla których dżentelmen mógł przebywać w pobliżu teatru Gryf we wtorkowe przedpołudnie, a jeszcze mniej powodów do tego mogła mieć dama. Dlatego Alistair był bardzo zaskoczony, gdy zobaczył wychodzącą z teatru Victorię. I to samą, nie w towarzystwie brata czy choćby pokojówki.

- Panno Bretton! - zawołał, zatrzymując faeton. - Dzień dobry.

- Och, pan Devlin! - Victoria na jego widok starała się ukryć aż za dobrze widoczny lęk. - Co za niespodzianka.

- W istocie. - Oczywiście Alistair zdawał sobie sprawę, że choć Victoria wygląda jak dama spacerująca Bond Street, to fakt, że nie znajdują się nawet w pobliżu tej wystawnej ulicy, musi wywołać pytania. - Czy wolno spytać, dokąd pani idzie?

- Do domu. Właśnie miałam wezwać fiakra.

- Może zatem pozwoli się pani podwieźć?

- Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu.

- To żaden kłopot - odparł zgodnie z prawdą. - Z tym że będę musiał zatrzymać się po drodze. Jeżeli jednak pani zgodzi się zaczekać, zaraz potem odwiozę panią do domu.

Wahała się przez chwilę, jednak nie widząc powodu, dla którego miałyby wybierać publiczny transport, gdy może skorzystać z prywatnego, kiwnęła głową, po czym zeszła po schodach, zatrzymała się przy faetonie i powiedziała z uśmiechem:

- Dziękuję. To bardzo uprzejme z pana strony. Alistair pomógł jej wsiąść i ruszyli w drogę.

- Byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem, że wychodzi pani z teatru o tej porze - powiedział Alistair. - Przyszła pani, żeby się zobaczyć ze stryjem?

- Tak, musiałam z nim porozmawiać. - Utkwiła wzrok we własnych rękach. - O... kostiumie.

- O kostiumie?

- Tak, a to w związku z balem maskowym u lordostwa Drake'ów. Z pewnością pana też zaproszono? - Podniosła wzrok na Alistaira.

- Oczywiście. A także resztę mojej rodziny.

- Mówi pan takim tonem... jakby pan nie miał ochoty iść.

- Szczerze mówiąc, nie lubię się przebierać i udawać kogoś, kim nie jestem - wyznał szczerze. - Nie mam w sobie nic z aktora. Ponieważ jednak jest to pierwszy w życiu bal maskowy Isabelle, musiałem się zgodzić, by jej towarzyszyć. No, nie tylko po to. Najważniejsze, bym przedstawił jej syna lorda Drake'a, sir Roberta.

- Słyszałam o lordzie Robercie od siostry. - Winifred miała pewne nadzieje związane z tym kawalerem. - Sądzi pan, że panna Wright go polubi?

- Nie mam pojęcia. Zwykle nie zabawiam się w swata, ale sądzę, że mają ze sobą coś wspólnego. Poza tym dla Isabelle to niezła partia.

- Pana kuzynka jest wspaniałą młodą kobietą - powiedziała Victoria.

- Z całą pewnością... - Przymknął na moment oczy. - Spontaniczna, rozpieszczona przez żywiołowy temperament młoda dama. Rodzina kompletnie nie wie, co z nią począć - stwierdził bez ogródek. - Moi krewni uważają, że zbyt bezceremonialnie mówi o tym, co jej się nie podoba, za to stanowczo zbyt entuzjastycznie o tym, co jej się podoba i lubi.

- Zbyt entuzjastycznie? Jak wtedy, kiedy mówiła o Valentinie Lawie?

- W istocie. - Spojrzał na Victorię z ukosa. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego kobiety mdleją z zachwyty z powodu takich mężczyzn. Proszę tylko pomyśleć, jak zakończyła

się historia lady Caroline Lamb, nieszczęsnej kochanki lorda Byrona - dodał cicho, a potem, odetchnąwszy głębiej, zapytał: - Co to za zapach, te pani perfumy?

- To... - Victoria zarumieniła się. - To specjalna mieszanka z perfumerii przy Clifford Street. Stryjenka zaprowadziła mnie tam za mojej pierwszej bytności w Londynie.

- Jeżeli mówimy o znanej mi perfumerii, to skomponowane na specjalne zamówienie perfumy muszą naprawdę sporo kosztować.

- Tak, ale ma się gwarancję, że żadna inna kobieta w Londynie nie ma takich samych perfum - wyjaśniła obronnym tonem. - Stryjenka Tandy uwielbia taką ekskluzywność.

- Pani stryjenka - powiedział z uśmiechem Alistair - jest, jak sędzę, osobą niezwykle oryginalną.

- Podziwiam jej talent aktorski i dar mówienia wszystkiego wprost.

- Czyli cechy, które, jak widzę, posiada też jej bratanica.

- Skąd się to bierze, panie Devlin?

- Nie rozumiem... Niby co, panno Bretton? - spytał, gdy w milczeniu wpatrywała się w niego uważnie.

- Tak, to ciekawe. Znamy się krótko i bardzo powierzchownie, a jednak jest pan przekonany, że zna mnie aż tak dobrze, by wypowiadać tego rodzaju opinie.

- Są kobiety, które łatwo scharakteryzować jedynie na podstawie powierzchownej znajomości. Panno Bretton, to prawda, niewiele ze sobą rozmawialiśmy, jednak te nasze krótkie konwersacje pozwoliły mi wyrobić sobie opinię na temat pani charakteru. Podczas wieczoru u Holcombe'ów mówiła pani wprost i bez owijania w bawełnę, przez co wiele ujawniła pani o sobie.

- A zatem w pana obecności będę musiała bacznie zważać na to, co powiem, a najlepiej w ogóle powinnam milczeć.

- Och, proszę nie milczeć. - Uśmiechnął się lekko, odwracając się ku niej. - Przyznaję też, że pani słowa bardzo mnie ucieszyły, bo dają mi nadzieję, że znów się spotkamy.

Victoria zarumieniła się, ale nie tylko, bowiem Alistair zauważył również wyraz cierpienia na jej twarzy.

- Gdy tylko się poznaliśmy, powiedziałam panu, że dobrze pan robi, unikając mnie, panie Devlin - oznajmiła. - I od tamtej pory nic się nie zmieniło.

- Dostałem tego szczęścia, że poglądy mojego szwagra mało mnie obchodzą - rzucił z ironią. - Poza tym przywykłem do tego, że wiele osób z wyższych sfer wykazuje się godną pożałowania małostkowością. Nader chętnie osądzają innych, nie mając ku temu podstaw. Gdy zobaczą żebraka na ulicy, dostrzegają jedynie, że jest biedny, natomiast w ogóle ich nie interesuje, jakim jest człowiekiem.

- Nic dodać, nic ująć, panie Devlin, a jednak właśnie tak jestem traktowana, i to nie tylko z powodu koneksji rodzinnych. - Jej uśmiech był pełen rezygnacji. - Po prostu jestem zbyt bezpośrednia, zawsze mówię wprost, a tego prawie nikt nie lubi. Jestem pewna, że większość dam, z którymi utrzymuję towarzyskie kontakty, byłaby przerażona, wiedząc, że ich zachowanie służy mi jako materiał do... - Victoria przerwała nagle i zarumieniła się jeszcze bardziej. - One grają, bo ich celem jest małżeństwo...

- A pani widzi ważniejsze sprawy?

- Moim celem jest wieść szczęśliwe i spełnione życie.

- I nie sądzi pani, że takie właśnie życie zapewni pani małżeństwo?

- Sądzę, że małżeństwo z właściwym mężczyzną mogłoby mnie uszczęśliwić - powiedziała ostrożnie Victoria. - Ale jest coś, i to niejedno, co mogłoby mi zapewnić większą przyjemność i dać większą satysfakcję. Obawiam się jednak, że gdybym to ujawniła, prawie wszyscy mężczyźni potraktowaliby to z dezaprobatą, a nawet zgorzeleniem.

- Na przykład?

- Swoboda i niezależność.

- Intryguje mnie pani, panno Bretton - oznajmił w niejkiej zadumie. - I to od chwili, gdy się poznaliśmy.

- Intryguję pana tylko dlatego, że nie jestem taka jak damy, z którymi pan styka się na co dzień, panie Devlin. Natura ludzka już taka jest. Sądzę jednak, że już dość rozmawialiśmy o mnie...

Alistair wzruszył ramionami. Nie miał ochoty mówić o sobie, kiedy tak bardzo interesowała go ona.

- Jestem dziedzicem ojcowskiego tytułu, dlatego załatwiam sprawy związane z majątkiem.

- Czyżby pański ojciec nie zatrudniał plenipotentą?

- Zatrudniał, ale rozstali się w zeszłym roku. Gdy ojciec odkrył moje umiejętności w tym zakresie, zachęcił mnie, bym je rozwijał...

- Nie sądzę jednak, by od świtu do nocy ślęczał pan nad księgami rachunkowymi i sprawozdaniami. Musi pan mieć czas na te wszystkie zajęcia, które preferują młodzi ludzie z pana sfery.

- Z mojej sfery? - powtórzył rozbawiony. - Co to właściwie znaczy? Że spędzam czas na lenistwie i rozpuście? - Mówił lekkim tonem i zdziwiło go, że panna Bretton tego tonu nie podchwytuje.

- Nic nie wiem o rozpuście, panie Devlin - odparła z powagą. - Ale trochę poznałam mężczyzn, z którymi pan się przyjaźni.

- Poznała pani mężczyzn, z którymi się przyjaźnię? To znaczy z kim?

- Ot, choćby pan Bentley-Hyde i lord Shufton. I oczywiście pański przyjaciel lord Collins.

- Nie lubi pani lorda Collinsa?

- Nie mogę powiedzieć ani że go lubię, ani że go nie lubię - odparła tonem, który mógł sugerować, że nie jest do końca szczerą. - Z tego co wiem, nie zajmuje się niczym pożytecznym i marnuje mnóstwo czasu w domach gry i rozpusty.

- I w towarzystwie kobiet w rodzaju Signy Chermonde - dokończył Alistair, zastanawiając się, czy związek Collinsa z tą aktorką ma coś wspólnego z rezerwą Victorii.

- Obecnie. Bo pod koniec sezonu bez wątpienia będzie miał już inną kochankę. Słyszałam, że jest zmienny w uczuciach.

- A pani sądzi, że niczym się od niego nie różnię?

- Nie znam pana na tyle dobrze, żeby to ocenić.

- I nie znając mnie dobrze, sądzi pani, że jestem niewiele lepszy od Collinsa, który jest rozpustnikiem i utracjuszem.

- Tego nie powiedziałam - zaproponowała pośpiesznie. - Proszę nie mówić za mnie, panie Devlin.

- Rozumiem... Więc w pani oczach moje życie rysuje się następująco: sprawdzam księgi i wizytuję ojcowskie posiadłości, ale poza tym nie mam nic istotnego do roboty, po prostu nic wartościowego. Czy tak?

- Jeżeli robi pan coś wartościowego, to bardzo chciałabym o tym usłyszeć.

Jeżeli robi pan coś wartościowego... Alistair zacisnął usta. I pomyśleć, że zamierzał powiedzieć jej o pani Hutchins i dzieciach, a nawet zawieźć ją do nich i opowiedzieć, jak zamierza urządzić sierociniec. Dzięki Bogu, we właściwym momencie powiedziała, co o nim myśli.

- Żałuję, panno Bretton, że ma pani tak złą opinię na mój temat - powiedział w końcu. - Jest dla mnie jasne, że w pani oczach nie jestem więcej wart niż żebrak błagający na ulicy o jałmużnę.

- Ależ nie! To nieprawda!

- Nieprawda? Sądzi pani, że jestem bogatym nierobem, który marnuje czas na pustych rozrywkach. A prawda jest taka, że nic nie wie pani o moim życiu ani o tym, jakim jestem człowiekiem. - Rozejrzał się wokół. - W którym domu pani mieszka?

Zauważył, że Victoria rozgląda się zaskoczona, jakby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, gdzie są.

- Przecież miał pan po drodze coś załatwić... Miałem, ale nie mogłbym odbyć tej rozmowy w pani obecności, więc musiałbym zostawić panią na ulicy. A tego nie chciałem. - Wiedział, że wyraża się niejasno, nic więc dziwnego, że Victoria wyglądała na osobę zdezorientowaną.

- Czy przeszkodziłam panu w wizycie w domu gry lub burdelu, panie Devlin?

Ta insynuacja, wypowiedziana tonem jakby od niechcienia, spadła na niego jak potężny cios, uraziło dumę i godność. Jednak zapał się w sobie i nie dał jej tego poznać po sobie.

- Z mojego doświadczenia wynika, że niewielka jest między takimi wizytami różnica. Domy gry i burdele zapewniają przyjemność bez zobowiązań. Czyli taką, jaką najbardziej lubią dżentelmeni mojego pokroju - powiedział ironicznie.

- Więc nie zaprzecza pan? - wyszeptała Victoria.

- To oczywiste, że z góry ustaliła pani, jakim jestem człowiekiem. Nie zaprzeczam więc, by pani nie rozczarować.

- Proszę tutaj się zatrzymać - powiedziała krótko. - Dalej pójde pieszko. Mam nadzieję, że nie zatrzymałam pana zbyt długo przed... dotarciem do celu.

- W istocie. Dama, do której zmierzam, jeżeli zajdzie taka potrzeba, będzie na mnie czekała cały dzień.

Victoria dosłownie zeszywniała, co upewniło go, że odebrała te słowa zgodnie z jego zamiarem.

- Zatem musi być pan bardzo szczęśliwy. Wsiądę sama.

- Ależ nonsens. - Alistair wyskoczył i wyciągnął do niej rękę. - Dama nie może sama wsiadać z faetonu.

Była to prawda. Potrzebowała jego pomocy, jednak gdy tylko stanęła na chodniku, cofnęła się.

- Dziękuję, panu. Był to nader pouczający poranek.

- Nie tylko dla pani, ale i dla mnie, panno Bretton - zapewnił, dotykając kapelusza.

Alistair, kiedy już dotarł na miejsce, był w fatalnym humorze. Znajdował się w jednej z uboższych dzielnic miasta. Nie było tu ozdobnych ogrodzeń ani mosiężnych tabliczek przybitych do świeżo pomalowanych drzwi. Były natomiast domy z szarego kamienia stojące wzdłuż wąskich uliczek i zamieszkiwane przez ludzi, których najważniejszym zadaniem było przeżyć.

Zatrzymał powóz przed jednym z takich domów i popatrzył na szesnastoletniego chłopca, który stał oparty o ścianę.

- Panie Tanner - zawołał do niego - pan będzie tak dobry i spojrzysz na moją własność? Oto zapłata za fatygę. - Rzucił w kierunku chłopaka srebrną monetę.

„Pan” Tanner schwycił ją w locie.

- Tak, proszę pana. Przypilnuję pańskiego powozu, może być pan spokojny.

Alistair zeskoczył z kozła i ruszył w kierunku frontowych drzwi. Dobrze, że nie przywiózł tu Victorii. Skoro widziała w nim łotra z piekła rodem, to niech tak będzie, a on nie zamierza się tym przejmować.

Pani Hutchins zgodnie z umową czekała na niego. Była osobą ciepłą i serdeczną o krągłej twarzy, pełnej figurze i rumianych policzkach, a także o energii sześciu kobiet. Była sporo po trzydziestce, może nawet dobiegła już czterdziestki. Choć owdowiała przed pięciu laty, wciąż nosiła skromną złotą obrączkę. Pokój, do którego zaprowadziła Alistaira, był przytulny i pełen światła.

- Jeżeli da mi pan minutkę, nastawię czajnik, sir. Nie byłam pewna, o której się pana spodziewać.

- Proszę się mną nie przejmować. I bez tego ma pani mnóstwo zajęć. A jak się mają bliźniaczki, Margaret i Molly?

- Nie tak dobrze, jak bym pragnęła - odparła zatroskana. - Zgodnie z pana poleceniem wezwałam lekarza, ale nie dał wielkich nadziei. Tu chodzi o płuca. Te dzieci nie mają szans na wyzdrowienie.

To prawda, pomyślał ze smutkiem Alistair, dziewczynki nie wyzdrowieją nigdy, bo zbyt długo pracowały w fabryce. Obecnie miały jedenaście lat, a do pracy poszły w szóstym roku życia. Rodzice i starszy brat zginęli w pożarze fabryki, a one po rodzinnym pogrzebie zostały przywiezione do Londynu przez wuja, człowieka litościwego i o dobrym sercu. Niestety stryjenka nie chciała mieć z sierotami nic wspólnego i wyrzuciła je na ulicę. Ot tak, po prostu. Chore i zagubione dziewczynki błąkały się po mieście, aż wreszcie zajęli się nimi wynajęci przez Alistaira ludzie, którzy oddali je pod opiekę pani Hutchins. Niestety dla takich dzieci niewiele już można było zrobić. Okazać serce, zapewnić dach nad głową i strawę, a na koniec pozwolić godnie umrzeć, to wszystko.

- A co z Teddym? - zapytał Alistair, mając nadzieję, że tym razem usłyszy lepsze wieści.

- Szczęśliwie już trochę mniej go boli. To dzielny malec, prawie się nie skarży - powiedziała pani Hutchins. - Lekarz zostawił balsam na jego oparzenia.

Ośmioletni Teddy Erskine był kominiarczykiem, a jego przypadek nie był wcale najgorszy, choć wystarczająco zły. Gdy trafił do pani Hutchins, był tak bardzo wy-

chudzony, że mógłby sobą ilustrować wyrażenie: „sama skóra i kości”. A także był tak bardzo przerażony, że bał się wszystkiego i wszystkich wokół. Ale co się dziwić, skoro życie potraktowało go okrutnie.

Alistair westchnął ciężko nad dolą malca, po czym wstał.

- Ile dzieci zostało? - zapytał.

- Dziesięcioro - odrzekła pani Hutchins. - Dwanaścioro odesłałam z panem Scottem, jak pan polecił.

- I dopilnowała pani, żeby nie rozdzielać żadnego rodzeństwa?

- Oczywiście, proszę pana. I mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że posłałam Edwarda White'a razem z Dawkinsami. Pomyślałam że skoro ta trójka trzymała się razem, tak będzie najlepiej.

Alistair uśmiechnął się na taką troskę, po czym powiedział:

- Pani zna dzieci najlepiej i najlepiej pani wie, co jest dla nich dobre. A jak się ma Jenny?

- Martwię się o nią. - Gwałtownie spochmurniała. - Dotąd nie odezwała się ani słowem, przepłakuje całe noce.

- Przy pani na pewno czuje się bezpieczna. Po tak strasznym przeżyciu trudno się podnieść z dnia na dzień. Złapali człowieka, który to zrobił?

- Tak. - W jej oczach była bezbrzeżna rozpacz. - Dwa dni temu ojciec Jenny oddał się w ręce policji.

- Boże miłosierny! Ojciec?!

- Był bardzo pijany, zresztą jak każdej nocy, ale tym razem musiał wypić więcej niż zwykle. Ktoś widział, jak wytacza się z tawerny. Kiedy dotarł do domu, zaczął się wyżywać na żonie. Matka kazała Jenny uciekać, bo bała się, że i na nią się rzuci.

Była to okropna historia, jednak Alistair słyszał takich bardzo wiele. Nędza uruchamiała w mężczyznach najgorsze instynkty. Ludzie, którzy na trzeźwo zachowywali się przyzwoicie, pod wpływem alkoholu zmieniali się nie do poznania.

- Przeprowadzka do nowego domu nastąpi, gdy tylko skończy się remont, bo na razie nie nadaje się do zamieszkania - poinformował Alistair. - Dzieci będą tam miały słońce i świeże powietrze, które na pewno wszystkim dobrze zrobi.

- No cóż, świeże powietrze z pewnością dobrze podziała na humor Margaret i Molly. Jednak nie na ich płuca - powiedziała pani Hutchins. - Upłynie też sporo czasu, zanim Jenny dojdzie do siebie. W nowym domu dzieciom będzie z pewnością lepiej niż tutaj. Owszem, są tu bezpieczne, ale ta ciasnota... Czy może pan już powiedzieć, kiedy nas czeka przeprowadzka?

- Formalności związane z kupnem już są sfinalizowane, a remont zacznie się wkrótce, jednak do zrobienia jest naprawdę dużo. Będę panią informował o postępie prac.

- Czy mogę już coś powiedzieć dzieciom?

- Sam nie wiem... Oczekiwanie na coś dobrego doda im optymizmu, ale z drugiej strony czas się wtedy strasznie dłuży. Będą panią zamęczać pytaniami.

- Och, wytrzymam, zapewniam - powiedziała z uśmiechem. - A poważnie mówiąc, będę mogła im powtarzać, że ich życie wkrótce zmieni się na lepsze, a to doda im sił. - Znow się uśmiechnęła. - Bóg pana zesłał na te ulice i zaułki pełne przemocy, nędzy i rozpacz. Jest pan dobrym człowiekiem, panie Devlin. Nigdy nie spotkałam lepszego.

Alistair skwitował to ciepłym uśmiechem, po czym poszli po wąskich schodach na górę, do dzieci. Teraz, kiedy wiejski dom został już kupiony, on także nie mógł się doczekać przeprowadzki dziesięciorga sierot. Wiedział, że dzieci potrzebują przestrzeni do biegania i zabaw, a łąka jest wprost wymarzonym miejscem. Dzięki jego funduszom Teddy i pozostałe dzieci odzyskają prawo do dzieciństwa.

To było jego najważniejsze zadanie, temu się poświęcił, natomiast Victoria Bretton niech sobie myśli o nim, co jej się żywnie podoba. On bowiem wie swoje. To znaczy wie, że nie przypomina w niczym Collinsa, Shuftona i Bentleyya-Hyde'a. Nie martwi się przecież tylko o swoje przyjemności i nie spędza czasu na pijaństwie, w jaskiniach hazardu czy z kurtyzanami w drogich burdelach.

W tej pracy zawsze najtrudniejsze były decyzje, którym dzieciom pomóc, a którym nie. Musi je podejmować, gdyż potrzeby są ogromne. Osieroconych i porzuconych dzieci jest tak wiele, że cały jego majątek nie wystarczyłby, by wszystkim pomóc. Musi więc robić tyle, ile można zrobić, mając do pomocy nieocenioną panią Hutchins.

A Victoria Bretton, choć to irytujące, niech sobie myśli, co chce, powtórzył w duchu, wchodząc do bawialni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pani Bretton miała zwyczaj składać wizyty między jedenastą a pierwszą, więc Victoria się nie zdziwiła, gdy zastała w salonie stryja.

- Pomyślałem, że o tej porze w domu będzie spokój - powiedział, gdy wprowadzała go do pokoju, w którym pisała. - Nie lubię zakłócać nikomu rutynowego porządku dnia.

Victoria uśmiechnęła się tylko. Wiedziała przecież, że nie chodzi o żaden porządek dnia, tylko o to, żeby nie przeszkadzać matce... czy też nie prowokować jej do kłótni. Nie powiedziała tego jednak. Nie chciała mu mówić, że wybrał na swoją wizytę najlepszą porę, gdyż musiała porozmawiać z kimś życzliwym. Po ostrej wymianie zdań z Alistairem czuła się okropnie.

- Właśnie dzwoniłam po herbatę. Napijesz się, stryju?

- Z rozkoszą, moja droga. - Theo usiadł w fotelu stojącym naprzeciwko biurka. - Zatem jak ci idzie walka ze słowami?

- Nie za dobrze. Miałam kilka pomysłów, jednak gdy siadam do pisania, w głowie pojawia się pustka, a wszystko, co wymyśliłam, wydaje się chybione.

- No cóż, w takim razie może uda mi się pobudzić twoją wenę twórczą, gdy ci powiem, że dostałem list od sir Michaela Loftusa.

- List? - Victoria wstrzymała oddech.

- Tak. Został wysłany dziś rano. - Sięgnął do kieszeni. - Pomyślałem, że pewnie wolisz przeczytać go sama.

Wzięła arkusik eleganckiego papieru, rozłożyła go drżącymi rękami i zaczęła czytać:

„Drogi Theodore!

Wybacz, że zwracam się do Ciebie tak familiarnie, ale sprawa przynajmniej na razie jest poufnej natury i wymaga obopólnego zaufania, którym, jak wiesz, darzę Ciebie, i liczę na to samo z Twojej strony.

Jak łatwo mogłeś zauważyć, jestem wielkim miłośnikiem twórczości Valentine'a Lawe'a, który jednak tak starannie ukrył się pod pseudonimem, że jak dotąd niweczył do zera możliwość bezpośredniej rozmowy, a Ty służyłeś za pośrednika w naszych jakże iluzorycznych kontaktach. Przedstawiam więc Tobie pewną propozycję.

Otóż zwrócił się do mnie pewien szanowany dżentelmen, który ma bliskie związki z Drury Lane i wyraził chęć rozmowy z panem Lawe'em na temat kolejnego utworu. Oczywiście wiem doskonale, że to ty wystawiłeś wszystkie cztery dotąd powstałe sztuki Lawe'a oraz że taki układ odpowiada wam obu. Jednakże, ponieważ talent Valentine'a Lawe'a jest niezaprzeczalny, może warto pomyśleć o tym, by jedno z jego dzieł wystawiono na scenie teatru, który ma licencję zezwalającą na granie poważniejszych sztuk, opisujących ludzką naturę i otaczający nas świat bez konieczności przywdziewania kostiumu komedii czy farsy.

Przechodząc do konkretów, musielibyśmy spotkać się w tym celu we trzech i omówić to z panem Lawe'em osobiście. Jestem pewien, że pan Lawe uzna tę propozycję za interesującą. Wierzę, że przekażesz mu moją prośbę. Oczekując na odpowiedź, pozostaję z szacunkiem..." - Sir Michael Loftus - dokończyła Victoria szeptem. - Chce widzieć moją sztukę wystawioną na deskach Drury Lane?

- Jeśli nikt nie sfalszował tego listu, to na to wygląda - odrzekł z uśmiechem stryj Theo. - Kochanie, to bardzo poważna propozycja. Musisz odpowiedzieć na pytanie, czy tego chcesz.

- Nie jestem pewna - Victoria opadła na fotel. - To wielki zaszczyt... zwrócić uwagę kogoś takiego jak sir Michael... i prawdopodobnie pan Elliston... to... przyprawia o drżenie...

- Z radości czy z przerażenia? Bo oczywiście wiesz, co to oznacza?

Tak, wiedziała. Jeśli się zgodzi, będzie musiała się spotkać i odbyć rozmowę z jednym z najbardziej wpływowych w angielskim teatrze ludzi, który na dodatek wierzy, że Valentine Lawe jest mężczyzną.

I że to może stać się nowym początkiem w jej karierze... albo błyskawicznie tę karierę zakończyć.

- Jestem świadoma wszelkich trudności i zagrożeń, stryju, jednak nie mogę zaprzeczyć, że bardzo mi to pochlebia.

- Oczywiście! Decydując się na współpracę z Drury Lane, musiałybyś napisać utwór, o jakim marzysz. To znaczy poważny dramat. I jestem pewien, że zaczęłyby ci ponownie przychodzić do głowy pomysły. Entuzjazmu sir Michaela nie wolno zlekceważyć.

Victoria kiwnęła głową. Stryj miał rację. Okazja była wspaniała.

- Jak sądzisz, stryju, co sir Michael powie, gdy się dowie, że Valentine Lawe to kobieta?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Choć ton jego listu mógłby sugerować coś innego, nie jesteśmy przyjaciółmi, tylko darzącymi się szacunkiem znajomymi. Jeśli jednak tak samo jak ja uważa, że najważniejsza jest sztuka, nie będzie to miało znaczenia.

- A co będzie, jeżeli sir Michael zdradzi moją tożsamość? Co będzie, jeżeli zechce ponadto, żebym brała udział w wystawieniu kolejnej sztuki i nie będzie chciał ukrywać mojego nazwiska tak jak ty, stryjenka Tandy i cała nasza rodzina?

- Moglibyśmy zwrócić się do niego z prośbą, żeby zachował milczenie - powiedział po namyśle stryj Theo. - Problem jednak w tym, że może się na to nie zgodzić, bo uzna, że ujawnienie prawdziwej tożsamości Valentine'a Lawe'a to nic złego. Kobiety pisują dla sceny od lat i najczęściej nie ukrywają się za pseudonimem.

- Jednak moje sztuki są w znacznym stopniu satyryczne. Wykpiwam w nich tych ludzi z wyższych sfer, którzy moim zdaniem na to zasługują. Zresztą nie tylko moim - przyznała Victoria. - Gdyby wyszło na jaw, że to ja jestem autorką tych sztuk, ludzie traktowałiby mnie inaczej.

- Tylko niektórzy.

- Poza tym oboje wiemy, jak mama by na to zareagowała. Żyje w wiecznym strachu, że tożsamość Valentine'a Lawe'a się wyda.

- Wszystko to musimy wziąć pod uwagę, zanim podejmiesz decyzję o spotkaniu z sir Michaelem - stwierdził stryj Theo. - Przyjęcie jego propozycji miałyby zarówno dobre, jak i złe strony.

- Jeżeli jednak odmówię, to... co on będzie miał do powiedzenia o moich kolejnych utworach? - zapytała Victoria. - Może się przecież poczuć jak odrzucony kochanek, a jego pochwały zamienią się w krytykę. Może też uznać, że go zlekceważyłam.

- Nie, nie, tego raczej nie musisz się obawiać. Myślę, że sir Michael pogodzi się z tym, że odpowiada ci współpraca z Gryfem i nie zamierzasz niczego zmieniać. Tak sądzę, choć nie mogę mówić za niego...

Victoria usiadła wygodniej. Dlaczego życie musi przynosić takie kłopoty? Najpierw skomplikowały się kontakty z Alistairem, a teraz coś, co wydawało się cudowne, stało się nagle ogromnym ciężarem.

- Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć... - Więc nie mów nic, kochanie - poradził stryj. - Odpiszę sir Michaelowi, że nie mam jeszcze odpowiedzi, bo Valentine Lawe podróżuje po Europie.

- Nie zdziwi go to? Przecież moja najnowsza sztuka dopiero co weszła na afisz.

- Dlaczego miałby się zdziwić? Lawe jest osobą twórczą, a także ekscentrykiem ukrywającym się za pseudonimem. Incognito zjawił się na premierze, zobaczył, że sztuka odniosła sukces i uciekł z Londynu...

- Tak, oczywiście... Ale jest coś jeszcze. Z pewnością sir Michael oczekuje, że przekażesz mu list ode mnie, prawda?

- Też tak myślę, ale nie musimy się z tym śpieszyć. Będę się trzymał wersji, że sir Lawe bardzo potrzebuje odpoczynku, oderwania się na jakiś czas od Londynu, rodziny, znajomych, a przede wszystkim od teatru. Po prostu tak twórczy umysł jak twój musi się zregenerować... To właśnie powiem sir Michaelowi, a ty zyskasz czas do namysłu, co mu odpisać lub powiedzieć podczas spotkania. Victoria wstała i objęła go.

- Dziękuję, stryju. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nade mną nie czuwał.

- Nie zapominaj, moja droga, że twoje interesy są także moimi. Jeżeli Valentine Lawe przestanie pisać, będę musiał szukać innego autora.

Roześmiała się i stryj wyszedł zadowolony.

Victoria zobaczyła się z Alistairem dopiero w kilka dni później, choć przez cały ten czas wciąż o nim myślała. Rozpamiętywała ich ostatnie spotkanie, dręczyła ją też myśl, że wcześniej czy później będzie musiała powiedzieć mu prawdę. Nic więc dziwnego, że

nie bardzo miała ochotę iść na przyjęcie w ogrodach posiadłości lordostwa Hinchamów, na które, to było pewne, i on także został zaproszony.

- Powiedz sama, Victorio, czyż to nie jest najcudowniejsze miejsce na ziemi? - zapytała siostra, gdy spacerowały po malowniczych ogrodach.

- Och, nie wątpię - odrzekła Victoria. - Ponieważ jednak lordostwo nie mają już syna poszukującego żony, jest mało prawdopodobne, by twoje życzenie się spełniło.

- Po prostu niemożliwe, wiem. - Winifred posmutniała, a kąciki jej ust opadły. - Gdybym zadebiutowała rok wcześniej, mogłabym zwrócić uwagę lorda Clarksona. Jednak niestety w chwili mojego debiutu już ogłosił zaręczyny z panną Shutters.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo. Jest mnóstwo innych kawalerów do wzięcia - pocieszyła ją Victoria, która była dziś w pojednawczym nastroju. - Mama mówiła, że zrobiłaś duże wrażenie na panu Fultonie. Z pewnością inni dżentelmeni też pragną się wkraść w twoje łaski.

- Żałuję, że jednym z nich nie jest pan Devlin. - Winifred spojrzała w stronę trawnika, gdzie Alistair spacerował z kuzynką. - Niestety wygląda na to, że bardziej niż mną interesuje się tobą.

- Mogło tak być jakiś czas temu. - Victoria poczuła, że policzki jej płoną. - Jednak teraz... wątpię, by tak było.

- Dlaczego?

- Bo mu powiedziałam, że lepiej zrobi, jeżeli poszuka gdzie indziej.

- Jeżeli poszuka... gdzie indziej?! - Winifred aż zabrakło tchu. - Dlaczego powiedziałaś coś tak głupiego?

- Bo tak wygląda prawda. Ani on, ani jego rodzina nie potrafią zaakceptować ani mojej skłonności do mówienia, co myślę - oznajmiła Victoria - ani tego, co robię.

- Więc przestań to robić - powiedziała Winifred, tak jakby rozwiązanie problemu było aż tak proste. - Która kobieta przy zdrowych zmysłach nie chciałaby wyjść za takiego człowieka? Jest przystojny i czarujący i... - Odziedziczy po ojcu tytuł. No tak... - Victoria zatrzymała się, bo zafrapował ją malowniczy kamienny mostek nad krętym strumieniem. - Jednak to nie oznacza, że jest dla mnie właściwą partią.

- No cóż, wiem tylko tyle, że na twoim miejscu robiłabym wszystko, by go sobą zainteresować. Mama byłaby zachwycona, gdybyś wyszła za kogoś takiego. Mogłaby ci nawet wybaczyć związki z teatrem.

- Zapewne tak... - Victoria zapatrzyła się przed siebie. Nie było sensu tłumaczyć siostrze, że nawet gdyby matka wybaczyła, to nigdy nie wybaczyłby tego ojciec Alistaira.

- Victorio, chyba nas zauważył - powiedziała Winifred. - Zdaje się, że ta młoda dama go tu prowadzi. - Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. - Czy to nie panna Wright?

- Tak, to ona.

- Wygląda na to, że pan Devlin spędza mnóstwo czasu w jej towarzystwie. Sądysz, że łączy ich romantyczne uczucie?

- Ależ nie - odparła rozbawiona Victoria. - Spotkałam ich pewnego ranka w Hyde Parku i mogę cię zapewnić, że są po prostu kuzynostwem.

- Jak to się dzieje - z westchnieniem powiedziała Winifred - że ty wciąż przypadkiem spotykasz pana Devlina, a ja, choć tak pilnie udzielam się towarzysko, spotkałam go tylko dwa razy?

- W Londynie jest znacznie więcej okazji niż bale i poranne wizyty, Winnie. Mówiłam ci już tyle razy, żebyś odświeżyła umiejętności jeździeckie. Dżentelmeni pokroju pana Devlina lubią konną jazdę.

- Ale ja nie lubię koni. - Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Są duże i śmierdzą, a nawet gryzą.

- Och, kiedyś skubnął cię kucyk, a przecież znane są z tego, że łatwo się złoścą. Ale łagodna młoda klacz byłaby w sam raz dla ciebie. Pomyśl o tym, Winnie. Dzień dobry, panno Wright - zwróciła się do Isabelle.

- Dzień dobry, panno Bretton! Czy to nie cudowny dzień na towarzyskie zebranie na świeżym powietrzu?

- Rzeczywiście, cudowny - zgodziła się Victoria i mimo wewnętrznego oporu, spojrzała na jej towarzysza.

- Dzień dobry, panno Bretton. Panno Winifred... Jak miło panie widzieć ponownie. Słowa Alistaira były uprzejme, jednak Victoria wyczuła w nich powściągliwość.

- Panno Bretton, po prostu muszę z panią dziś porozmawiać. Czy wie pani, że Alistair obiecał zabrać mnie jutro do teatru na „Wybór damy”?

- Przecież widziała już pani tę sztukę.

- To prawda, ale moi przyjaciele są przekonani, że na widowni będzie Valentine Lawe.

- Naprawdę? - Victoria miała nadzieję, że nie wygląda na zbyt zaskoczoną.

- Chodzi o siódemkę. To magiczna liczba. Pan Lawe w początkowych scenach sztuki mówi o tym kilkakrotnie. Elliot Black oznajmia Elizabeth Turcott, że będzie czekał na jej odpowiedź siedem dni i że przyjdzie o godzinie siódmej siódmego dnia.

- Więc sądzi pani, że... że to jest jakiś szyfr? - zapytała Victoria.

- Nie inaczej! Dlatego Alistair zgodził się mnie zabrać do teatru, choć nie jest tym pomysłem zachwycony. Może panie mogłyby się do nas przyłączyć - nalegała panna Wright.

- Dziękuję. - Winifred pobladła. - Byłoby to... bardzo interesujące... oczywiście... - mówiła niepewnie - ale jestem już zaproszona na kolację u państwa Rourke'ów.

- Jaka szkoda!

- Szkoda, prawda? - powiedziała Winifred, zadziwiając Victorię, gdyż wyglądała tak, jakby naprawdę żałowała. - Jestem jednak pewna, że Victoria i Laurence do państwa dołączą.

- Dziękuję. To bardzo miła propozycja z pani strony - powiedziała po chwili namysłu. - Jednak nie chciałabym, żeby o zacieśnieniu naszej znajomości dowiedzieli się pani kuzynostwo.

- Ależ nie powinna się pani nimi przejmować! - zawołała panna Wright. - Nic mnie nie obchodzi, co sobie myślą. Nie obchodzi to też Alistaira. Powiedział to im w karecie... wtedy... po spotkaniu z panią w operze.

- Naprawdę? - zapytała ze zdumieniem Victoria.

- Isabelle... - próbował jej przerwać Alistair.

- Oczywiście! Stwierdził, że nie mieli prawa wyrażać się o pani w ten sposób, a jeżeli o niego chodzi, to będzie rozmawiał i utrzymywał stosunki z kim zechce...

- Isabelle, naprawdę mówisz zbyt wiele - z westchnieniem napomniał ją Alistair. - Muszę skarcić twoją byłą guwernantkę, że cię tego nie oduczyła. I... sądzę, panno Bretton, że powinna pani pójść z nami.

Victoria nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

- Dziękuję, panie Devlin. Zapytam brata, czy jest wolny, a jeżeli tak, to chętnie do państwa dołączymy. A może pozwolą państwo się zaprosić do łóż mojego stryja?

- Byłoby bardzo miło. Mam też nadzieję, że pani przyjdzie nawet wtedy, gdy pani brat będzie zajęty.

Victoria poczuła przyspieszone bicie serca. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, odezwała się Winifred:

- Przepraszam pana, ale sądzę, że tamten dżentelmen próbuje zwrócić na siebie pańską uwagę.

Victoria spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła, że bacznie im się przygląda jakiś mężczyzna. Stał na tarasie, a gdy wszyscy obrócili się ku niemu, pomachał ręką.

- Doskonale - powiedział Alistair z uśmiechem. - Miałem nadzieję, że przyjdzie.

- Zna pan tego dżentelmena? - zapytała Victoria.

- To lord Valbourg, z którym studiowałem w Oksfordzie. Przez ostatnich sześć lat mieszkał w Ameryce, gdzie zbił tam niezłą fortunę - odparł Alistair. - W zeszłym tygodniu wpadliśmy na siebie w klubie.

- Biedny lord Valbourg - dodała panna Wright. - Jego matka, lady Alderbury, bardzo choruje. W zeszłym tygodniu, przy kartach, wspomniała o tym pani Shepherd. To z tego powodu milord wrócił do Anglii. No i po to, oczywiście, żeby znaleźć żonę.

- Nie jest żonaty? - spytała pośpiesznie Winifred.

- Zbyt był zajęty zbijaniem majątku, żeby się ożenić - powiedział Alistair. - Wiele przy tym podróżował, a to nie zostawia wiele czasu na zaloty. Valbourg - zwrócił się do lorda, gdy ten się zbliżył. - Jak to dobrze, że znalazłeś czas, żeby się tu pojawić.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Wątpię, czy lady Hincham twoje spóźnienie zauważyła. Panno Bretton, panno Winifred, pozwólcie sobie przedstawić mego przyjaciela, lorda Valbourga.

Był przystojnym mężczyzną nieco mocniej zbudowanym niż Alistair i wyższym od niego ze dwa cale. Miał modnie obcięte ciemne włosy i szczerzy serdeczny uśmiech.

- Panno Bretton, panno Winifred, proszę wybaczyć, że przerwałem państwu konwersację.

- Nie ma za co przepraszać. Pan Devlin powiedział nam, że jesteście panowie starymi przyjaciółmi.

- Tak, od czasów studiów w Oksfordzie.

- I wrócił pan ostatnio z Ameryki? - zapytała Winifred, której zielone oczy zabłysły.

- Tak, ale zamierzam ustatkować się i znowu żyć tak, jak na angielskiego dżentelmena przystało.

- Zrobił już dobry początek, kupując dom przy Berkeley Square - poinformował Alistair.

- Berkeley Square - powtórzyła Victoria, patrząc na siostrę. - Jakie to przyjemne miejsce.

- Owszem, nawet bardzo przyjemne. Choć dom pilnie domaga się remontu - powiedział lord Valbourg.

- Może my mogłybyśmy się do czegoś przydać? - odezwała się Victoria. - Mama pewnie wie, gdzie można kupić najlepsze materiały obiciowe, a Winifred jest obdarzona wyjątkowym smakiem. Potrafi wspaniale dobrać kolory i udekorować mieszkanie.

- Potrafię? Tak uważasz? - Winifred aż zamrugnęła ze zdumienia.

- Oczywiście. W zeszłym roku pomagała mamie urządzić kilka pokoi w naszym domu w hrabstwie Kent. Ma doskonałe oko.

- Naprawdę? - Milord spojrzał z podziwem na rumieniącą się młodszą pannę Bretton. - Byłoby oczywiście wspaniale... Choć nie chciałbym trudzić...

- To żaden trud - zapewniła go pośpiesznie Winifred. - Będę szczęśliwa, mogąc pomóc.

- Zatem odwiedzę panią wkrótce, żeby się umówić na zakupy. Dev, czy jutro rano zobaczymy się u Jacksona?

- Tak, na pewno tam będę.

- Świetnie. Porozmawiamy więc o twoich zamiarach. Powiesz, jak mogę ci pomóc. Do widzenia paniom, panno Bretton, panno Wright, panno Winifred.

- Do widzenia, milordzie - odrzekła Winifred z kokieteryjnym błyskiem w oku, po czym zarumieniona zwróciła się do Victorii: - Może pójde i sprawdzę, czy mama czegoś nie potrzebuje?

Victoria nie sprzeciwiła się, bo wiedziała, że Winifred chce pobiec do matki i zwierzyć się, że poznała właśnie przystojnego lorda Valbourga.

- My też już chyba musimy iść, kuzynie - powiedziała panna Wright tonem wcale nieentuzjastycznym. - Twoja siostra od dziesięciu minut piorunuje nas wzrokiem.

Victoria spojrzała w stronę wysokiego drzewa, w którego cieniu siedział archidia-
kon z żoną, która wpatrywała się w nich jadowitym wzrokiem. Oczywiście, pomyślała
cierpko.

- Zatem życzę państwu miłego popołudnia - powiedziała.

- Panno Bretton, dziękuję za propozycję pomocy. - Alistair skłonił się. Jestem pe-
wien, że lord Valbourg będzie za nią bardzo wdzięczny.

Ich oczy spotkały się na moment. Choć trwało to bardzo krótko, Victoria była za-
skoczona intensywnością spojrzenia Devlina i zaczęła się zastanawiać, on co teraz o niej
myśli.

Reszta popołudnia upłynęła dość nudno. Victoria wmawiała sobie, że czuje się tak,
ponieważ chce już wrócić do pracy. Wiedziała jednak, że przyczyna jest inna, a miano-
wicie poczuła nudę i pustkę, gdy Alistair opuścił towarzystwo. Gdy go nie było w pobli-
żu, świat wydawał się znacznie mniej interesujący, dlatego Victoria zamiast jak kiedyś
unikać spotkań towarzyskich, raczej ich szukała. Zwłaszcza takich, na które mógł być
zaproszony Alistair. Lubiała go słuchać i uwielbiała obserwować wyraz jego twarzy,
zwłaszcza gdy mówił o czymś, co go pasjonowało. Na przykład o nieznanym jej projek-
cie, o którym wspominał milord. Lord Valbourg nie podał żadnych szczegółów, jednak
Victoria już na samą wzmiankę o tajemniczym przedsięwzięciu zauważyła błysk w oku
Alistaira. Zamierzała go o to wypytać, choć nie mogła liczyć na to, że z niego wyciągnie
jakieś bliższe szczegóły.

- Ależ mój drogi, to, że nasza córka poznała milorda, jest naprawdę szczęśliwym wydarzeniem - odparła małżonka podczas kolacji. - Lord Valbourg jest synem markiza Alderbury. Byłby dla Winifred wspaniałym mężem. Znacznie lepszym niż pan Fulton.

- Oczywiście, moja droga. Wiem to doskonale, a do tego usłyszałem na jego temat tak wiele pochwał, że nie wierzę, by sobie na nie nie zasłużył. Jednak na miłość boską, czy nie możemy mówić o czymś innym?

Skarcona połowica powstrzymała się od dalszych uwag i rozmowa zeszła na inne tematy.

- A tak przy okazji, lady Hincham powiedziała mi dziś, że lady Kempton ma nadzieję na ożenek swego syna z córką lorda Geldona.

- Z lady Sarah Millingham? - Laurence zmarszczył brwi. - A czy nie jest dla Devlina za młoda?

- Owszem, jest bardzo młoda, a na dodatek lekkomyślna i płocha. Właśnie dlatego lord Geldon chce ją wydać za pana Devlina. Sądzi, że poskromi temperament córki.

- Ale zdecydowanie mniej znakomita dla niego - zauważył Laurence. - Devlin nie wygląda mi na człowieka, któremu można urządzać życie.

Victoria podzielała opinię brata. Na myśl, że Alistair naprawdę może planować małżeństwo z lady Sarah Millingham, poczuła bolesny skurcz serca. Sama ponosiła winę za to, że zniechęcała go do siebie. Czyniła tak jednak tylko dlatego, że ich związek jest absolutnie niemożliwy.

- Wiem tylko tyle, że musimy robić wszystko, by podtrzymywać znajomość Winifred z lordem Valbourgiem - oznajmiła matka. - A to oznacza, Victorio, że musisz bardzo uważać na to, co mówisz i gdzie jesteś widywana. Nie chcę, byś odebrała jej szansę na związek z innym dżentelmenem.

- Zapewniam cię, mamó, że tego nie zrobię. - Znużona tą rozmową Victoria wstała od stołu. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale pragnę równie mocno jak ty, by Winifred wyszła za mąż i ułożyła sobie życie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Okazało się, że Laurence bardzo chce towarzyszyć siostrze w teatrze podczas siódmego przedstawienia jej sztuki. Wieść o tym, że panna Wright jest przekonana, że na widowni znajdzie się Valentine Lawe, bardzo pobudziła jego ciekawość.

By ustrzec się choćby cienia skandalu, nie weszła do teatru, jak to miała w zwyczaju, drzwiami prowadzącymi za kulisy, tylko głównym wejściem wraz z całą publicznością. Kilka osób skinęło jej głową, lecz nie spotkało jej entuzjastyczne powitanie, które chwilę wcześniej było udziałem panny Wright.

- Tak się cieszę, że pani przyszła! - powiedziała panna Wright. - Wiem, że jest pani równie podekscytowana jak ja. Być może zobaczy pani w końcu pana Valentine'a Lawe'a!

- Dlatego właśnie tu przyszłam. Dobry wieczór panu - zwróciła się do Alistaira.

- Dobry wieczór, panno Bretton. Czy pani brat się nie pojawi?

- Ależ tak, tylko nieco później, bo spotkał jednego ze swoich profesorów i zatrzymał się, by porozmawiać.

Sadowiąc się w fotelu, Victoria zerknęła na Alistaira. Ależ on jest przystojny! - pomyślała. Doskonale się prezentował w czarnym fraku i wspaniałej haftowanej srebrnej kamizelce. Dzięki czarnym spodniom wydawał się wyższy niż w rzeczywistości, a fular miał zawiązany tyleż elegancko, co swobodnie. Włosy były świeżo przycięte, a głos... o tak, ten głos był głosem zdolnym poruszyć tłumy.

Victoria spojrzała na rząd przeciwległych niższych łóż i zobaczyła młodą damę, która wpatrywała się nie tyle w nich, ile w Alistaira.

- Założę się, że jest ciekawa, w którym towarzystwie tu się zjawiłeś, kuzynie - powiedziała panna Wright z szelmowskim uśmieszkiem. - Zna ją pani, panno Bretton?

- Nie, nie znam - odrzekła Victoria, patrząc na kurtynę, za którą, jak doskonale wiedziała, ustawiano ostatnie rekwizyty. - A raczej znam jedynie ze słyszenia.

- Jest całkiem miła, zupełnie jednak nie rozumiem, dlaczego niektórzy sądzą, że byłaby dobrą żoną dla Alistaira.

- Isabelle, mówisz o sprawach, o których mówić nie powinnaś - upomniał ją natychmiast.

- Naprawdę? - Zamrugła wymownie. - Przepraszam. Myślałam, że to rzecz powszechnie znana.

- Rzecz powszechnie wiadoma czy nie, nie jest to temat do rozmowy w takich okolicznościach.

- W takich okolicznościach? Jesteśmy tu, by obejrzeć sztukę, a panna Bretton, doskonale wie, co się o tobie mówi.

- Dobry wieczór wszystkim - powiedział Laurence, który właśnie zjawił się w łoży.

- Wreszcie jesteś, jak dobrze. - Victoria chwyciła go za ramię. - Pamiętasz kuzynkę pana Devlina?

- Oczywiście. Dobry wieczór, panno Wright.

- Dobry wieczór. - Jej policzki płonęły. - Jak miło pana widzieć ponownie.

- Pański uniżony sługa, milordzie - zwrócił się Laurence do Alistaira, po czym usiadł w fotelu na prawo od siostry, od której na lewo siedział Alistair. - No, no. Kolejny komplet na widowni.

- Sądzi pan, że znajduje się na sali? - zapytała rozentuzjasmowana panna Wright.

- Jeżeli jest, to nikt z nas tego się nie dowie - oznajmił Alistair. - Chyba że pan Lawe wstanie i przyzna się do tego.

- Nie sądzę, by to zrobił - powiedział Laurence. - Z ukrywania się uczynił prawdziwą sztukę.

- Dlaczego to robi? Co ma do ukrycia? - zapytała panna Wright. - Dlaczego ktoś tak uzdolniony ukrywa swoją tożsamość? Gdybym była tak utalentowana jak on, wstałabym i zachęciła publiczność do bicia braw.

- Może jako dziecko uległ wypadkowi i został oszepecony - snuł domysły Alistair. - Lub urodził się bez cienia urody, więc nie chce, by go oglądano. A może brał udział w wojnie, został ranny i ma okropne blizny na twarzy, albo...

- Albo jest po prostu nieśmiały - wpadła kuzynowi w słowo panna Wright. - I źle by się czuł, gdyby musiał się kłaniać klaszczącej publiczności. A pan, panie Bretton, co na ten temat sądzi? - zwróciła się do Laurence'a.

- Ja? - Zaskoczyło go to pytanie.

- No cóż, z pewnością ma pan na ten temat swoje zdanie.

- Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wiem, że jest znakomitym pisarzem, a o innych rzeczach nie myślę.

- A pani, panno Bretton? - zapytał Alistair. - Co pani sądzi? Jest pani dzisiaj taka milcząca...

- Milczę, bo spekulowanie na ten temat jest kompletną stratą czasu. - Otworzyła wachlarz, unikając wzrokiem Alistaira.

- Och, proszę spojrzeć! Jest już pani stryj! - zawołała panna Wright. - Przedstawienie zacznie się za chwilę.

Victoria odetchnęła z ulgą, bo mogła już się skupić na scenie. Rozmowa o Valentinie Lawie bardzo ją rozdrażniła. Przekonywała siebie w duchu, że nie ma powodu czuć się nieswojo, bo Alistair nie może znać tożsamości dramaturga. Lecz choć miała pewność, że jego pytanie było całkiem niewinne, oszukując go, czuła się okropnie. Jeżeli miałyby ujawnić prawdę, to najlepiej byłoby to zrobić teraz, jednak powstrzymywała ją obawa przed konsekwencjami. Zaryzykowałyby nie tylko własną reputację, ale także przyszłość Winifred.

Przedstawienie „Wyboru damy” było nawet zabawniejsze niż podczas premiery. Signy spisywała się wspaniale, odegrała miłość do Elliota bardziej przekonująco niż w którymkolwiek z poprzednich przedstawień. A partnerujący jej Victor także dał z siebie wszystko, podobnie jak reszta obsady. Nic więc dziwnego, że końcowe oklaski trwały bardzo długo.

Victoria była bardzo podekscytowana. I pomyśleć, mówiła sobie w duchu, że moje słowa wywołują taki efekt. Ten sukces uderzał jej do głowy niczym szampan. Gdyby potrzebowała dowodu na to, że wybrała właściwą życiową drogę, to właśnie go znalazła.

Jeden jedyny raz podczas przedstawienia wymieniła spojrzenia z Laurence'em. Brat patrzył na nią z widoczną dumą.

- Och Boże, jakie to było wspaniale - powiedziała panna Wright, gdy wychodzili z łoży. - Nawet lepsze niż za pierwszym razem. Prawda, kuzynie?

- Zrobiło na mnie wielkie wrażenie - zgodził się Alistair. - Pani stryj, panno Bretton, zasługuje na uznanie. Sądzę też, że panna Chermonde grała dziś wspaniale.

- Jestem pewna, że chciałyby usłyszeć tę pochwałę bezpośrednio z pańskich ust - odrzekła Victoria i natychmiast uświadomiła sobie, że popełniła okropny błąd.

Laurence i Alistair popatrzyli na nią dziwnym wzrokiem, jednak zachwyt panny Wright był oczywisty:

- To znaczy... że moglibyśmy pójść za kulisy i porozmawiać z panną Chermonde i z panem Trumphanim?

- Tak, to możliwe, jednak decyzję oczywiście musi podjąć pan Devlin - powiedziała z wahaniem Victoria.

Alistair patrzył na nią przez chwilę, wyraźnie się zastanawiając. Victoria, która spodziewała się grzecznej w słowach, ale tak naprawdę gniewnej odmowy, odetchnęła z ulgą, gdy oznajmił:

- Pani propozycja jest wielkoduszna, panno Bretton. Sądzę jednak, że nie jest to dobry pomysł. Moja siostra i szwagier nie byłiby zadowoleni, gdyby dotarło do nich, że Isabelle ma coś wspólnego... z takimi ludźmi.

Owszem, Victoria poczuła ulgę, jednak z drugiej strony aż się w niej zagotowało. Archidiakon, jego żona i wszyscy im podobni nie byłiby zadowoleni! Bo przecież akto- rzy i aktorki to nie jest towarzystwo dla takich person jak Alistair Devlin i Isabelle Wri- ght!

- Tak, oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Pomyślałam tylko...

- Nie są tu potrzebne żadne przeprosiny - powiedział łagodnie Alistair. - Wiem, że miała pani dobre intencje. Isabelle byłaby zachwycona, gdyby poszła za kulisy. Niestety mógłby ją ktoś tam zobaczyć, a to zaszkodziłoby jej reputacji.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Victoria, lecz zagryzła wargę.

- Moglibyśmy jednak złożyć wyrazy szacunku stryjowi - zasugerował Laurence. - Nasz stryj obraca się przecież w bardzo dobrym towarzystwie.

Victoria podniosła wzrok i zobaczyła, że Alistair patrzy na nią, a wyraz jego oczu jest taki, jakiego dotychczas nie znała.

- Nie sądzę, by mogło mieć to niepożądane konsekwencje - powiedział. - Choć byłoby lepiej, gdyby do spotkania doszło w westybulu.

- Zgoda. Pójdę więc i odszukam stryja - zaoferował Laurence. - I poproszę go, żeby się z nami spotkał u stóp wielkich schodów.

- Och tak, byłoby cudownie! - zawołała panna Wright, klaszcząc w dłonie. - Państwa stryj będzie mógł potwierdzić, że naprawdę widziałam dziś w teatrze Valentine'a Lawe'a.

- Widziała go pani? Gdzie? - zapytała pobladła Victoria.

- W pierwszym rzędzie łoży. Zauważyłam go, kiedy wchodził. Poruszał się bardzo powoli i dystyngowanie. I ubrany był na czarno i biał.

- Jak większość mężczyzn w teatrze - zauważył Alistair.

- Tak, ale gdy się odwrócił, zobaczyłam, że ma w butonierce czerwoną różę! Widziałam też, że niektórzy aktorzy spoglądają w jego kierunku. To musiał być Lawe!

- Świetnie. Zastanawiajcie się nad tym dalej, a ja pójdę porozmawiać z lordem Gaveringiem - powiedział Alistair.

- A ja poszukam stryja - dodał Laurence, patrząc znacząco na siostrę. - Chyba wiem, gdzie powinien być.

- Może usiadzimy i tu poczekamy na powrót naszych panów? - zapytała Victoria.

- Tak, oczywiście.

- Więc dobrze się pani bawi w Londynie, panno Wright? - z uśmiechem zagadnęła po chwili Victoria.

- Bawię się doskonale, panno Bretton. Kuzyn Alistair jest dla mnie bardzo dobry. Zabiera mnie wszędzie, na zwiedzanie miasta i na spotkania z różnymi ludźmi. W Londynie wciąż jestem zajęta, a wrażenia z pobytu mam wspaniałe. Gdy wrócę do domu, będę się czuła osamotniona.

- Dobrze się pani mieszka z lordostwem Kemptonami? - zapytała jak gdyby nigdy nic Victoria.

- Och, lordostwo są oczywiście bardzo mili... - Panna Wright zarumieniła się. - I wiem, że chcą mojego dobra...

- Ale?

- Ale są raczej nudni - wyznała szczerze. - Oczywiście jest to z ich strony niezamierzone, a mówiąc tak, jestem niewdzięczna... ale chodzi o to, że są zawsze tacy...

- Poprawni? - podpowiedziała Victoria.

- Właśnie! Lord Kempton jest bardzo surowy, a kuzynka Julia i jej mąż jeszcze bardziej. Choć pewnie dlatego, że archidiakon i jego żona szczególnie muszą dbać o konwenanse.

- To prawda - przyznała niechętnie Victoria. - I dlatego właśnie pan Devlin tak się stara, żeby pani tu, w teatrze, nie zrobiła czegoś niewłaściwego.

- Tak, oczywiście. A jednak bardzo bym chciała pójść za kulisy i spotkać się z aktorami - wyznała panna Wright.

- Jeżeli kuzyn Alistair może przestawać z sierotami, nie widzę powodu, dla którego ja nie mogłabym...

- Z sierotami? - spytała zdumiona Victoria.

- O Boże, nie powinnam o tym mówić. Ale cóż, już się wygadałam. Poza tym nie rozumiem, dlaczego Alistair nie chce, żeby ktoś o tym wiedział. Przecież nie robi nic złego.

- Ale co on takiego robi? - zapytała Victoria.

- Nie znam zbyt wielu szczegółów, jednak któregoś wieczoru słyszałam, jak rozmawiał o tym z lordem Valbourgiem. Sądzę, że kupił dom i zamierza w nim urządzić sierociniec. Zdaje się, że ma też już inny, w Londynie, który służy temu samemu. Ale jest za mały. Kupił więc większy i zamierza go wyremontować. Lord Valbourg mu w tym pomoże.

- Nie miałam o tym pojęcia - powiedziała Victoria, próbując wyobrazić sobie Alistaira jako filantropa. Zamiast trwonić majątek na kurtyzany i hazard, przeznaczają pieniądze na pomoc dzieciom, które życie zmusiło do egzystowania na ulicy! I pomyśleć, że oskarżyła go o egoizm! - Nigdy bym nie pomyślała...

- Właściwie nic o tym nie mówi - dodała panna Wright.

- Nie jestem nawet pewna, czy wujostwo o tym wie. I nie sądzę, że wpadliby w zachwyty, gdyby się dowiedzieli.

Victoria, słysząc o tym, natychmiast zastanowiła się, czy Alistair właśnie tam zmierzał, gdy przypadkiem spotkali się przed teatrem. Czy właśnie w sierocińcu miał się zatrzymać, odwożąc ją do domu? Niestety, to pytanie musiało zostać bez odpowiedzi.

- No, no, Devlin, znowu się spotykamy - powiedział stryj Theo. - Jestem zaskoczony, widząc tu pana po raz drugi.

- Gdyby kilka tygodni temu ktoś mi powiedział, że pójdę do jakiegokolwiek teatru po raz drugi na tę samą sztukę, odrzekłbym, że zwariowałem - stwierdził Alistair z uśmiechem.

- Przyszedłem tu dlatego, że kuzynka nalegała, jednak obejrzałem spektakl z wielką przyjemnością. Wszyscy aktorzy spisali się nawet lepiej niż podczas premiery.

- Jestem zachwycony, słysząc z pańskich ust taką pochwałę. A pani, panno Wright, dobrze się pani bawiła?

- Doskonale! Zwłaszcza gdy uświadomiłam sobie, że Valentine Lawe znajduje się wśród widzów!

- I nie przyszedł się przywitać? - zdziwił się Theo bez mrugnięcia okiem, zadziwiając Victorię aktorskim kunsztem. - A to gbur! Gdzie go pani widziała?

- W pierwszym rzędzie łoży. Drugiej od lewej - odrzekła panna Wright. - Wyglądał na człowieka bardzo poważnego. I miał w klapie czerwoną różę.

- Czerwoną różę? - Stryj zmarszczył brwi, a zaraz potem wybuchnął śmiechem. - Droga panno Wright, muszę panią rozczarować. To nie był Valentine Lawe.

- To nie on?

- Był to sir Michael Loftus, krytyk.

- Sir Michael? - Tym razem to Victoria była zdziwiona.

- Słyszałam, że on nigdy nie przychodzi na tę samą sztukę więcej niż jeden raz.

- Też tak myślałem, ale wiem z całą pewnością, że dzisiaj był na przedstawieniu i że siedział właśnie w tej łoży.

- Jestem strasznie rozczarowana - poskarżyła się panna Wright. - Bo byłam pewna, ale to absolutnie pewna, że to Valentine Lawe.

- To nic, kuzynko. Jesteś rozczarowana, ale miałaś przynajmniej okazję zobaczyć jeszcze raz sztukę - powiedział Alistair. - Uważam, że przed wyjazdem z Londynu na

pewno będziesz miała okazję poznać pana Valentine'a Lawe'a. - Spojrzał na Victorię. - Jeżeli taka możliwość istnieje, to jestem przekonany, że panna Bretton będzie wiedziała, jak do tego doprowadzić.

Victoria nie dostrzegła reakcji pozostałych osób, bo jakże miała dostrzec cokolwiek po takich słowach Alistaira? Świadczyły one bowiem dobitnie, że domyślił się, że Valentine Lawe i ona to jedna i ta sama osoba.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nic więc dziwnego, że tę noc Victoria miała okropną. Był już prawie świt, a ona wciąż wpatrywała się w sufit, zastanawiając się, w jaki sposób Alistair odgadł jej sekret. Czy powiedziała coś, czym się zdradziła?

Chyba musiało jej się coś wymknąć, bowiem spojrzenie Alistaira i z pozoru mimowolna uwaga, którą wypowiedział, były zbyt znaczące, by je zignorować.

Victoria potrzebowała rozmowy z kimś, kto zeszłego wieczoru był w teatrze. Czekala więc, aż brat zje śniadanie, gdyż zamierzała zaprosić go na spacer. Na szczęście poranek był ciepły, więc Laurence chętnie zgodził się jej towarzyszyć.

- Co cię dręczy, Victorio? - zapytał po kilku minutach pogawędki o niczym, a jego słowa świadczyły, że bezbłędnie wyczuwał siostrę.

- Muszę ci zadać pewne pytanie, Laurie. Byłeś z nami, gdy stryj Theo powiedział panie Wright, że to nie Valentine Lawe był w przeciwległej łoży, tylko sir Michael Loftus, prawda?

- Zgadza się. Ale o co chodzi?

- O to, że kilka minut później pan Devlin powiedział coś, czego nie mogę zapamiętać.

- Że kocha cię bez pamięci?

- Nie opowiadaj głupstw! - Oblała się rumieńcem. - On nigdy nic takiego mi nie powie! Chodzi o coś całkiem innego. Gdy panna Wright wyraziła rozczarowanie tym, że Valentine'a Lawe'a nie było wśród publiczności, pan Devlin powiedział, żeby się nie

martwiła, bo jest pewien, że jeszcze przed wyjazdem z Londynu będzie miała okazję go poznać...

- Owszem, tak było. Ale co z tego wynika? - spytał obojętnym tonem.

- Nie rozumiesz? Dał mi do zrozumienia, że poznał moją tajemnicę. Devlin wie, że Valentine Lawe i ja to jedna i ta sama osoba! Nie sądzisz, że właśnie o to mu chodziło?

- Nie, wcale tak nie sędzę. Znam prostsze i bardziej wiarygodne wyjaśnienie. Jesteś bratanicą Theodore'a Templetona. Chyba że powiedziałaś coś, co...

- Nie, nic takiego nie powiedziałam. Przypomniałam sobie każde słowo, które padło w naszych rozmowach, i nie dostrzegłam żadnego, które by mnie mogło zdradzić.

- Więc nie masz się o co martwić.

- Dlaczego zatem mam takie poczucie winy? - spytała cicho.

- Bo nie chcesz okłamywać Devlina. Masz poczucie winy, bo go oszukujesz, a także boisz się, że jeżeli prawda wyjdzie na jaw, zaczniesz źle o tobie myśleć. Rozumiem, jak duże to ma znaczenie, jeżeli odwzajemniasz jego uczucia.

- Nie mów głupstw, Laurence. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Naprawdę? - Rozejrzał się wokół. - Widzisz tego dżentelmena, który się do nas zbliża?

- Tak, oczywiście. Jakiś pan w średnim wieku.

- Czy przejmiesz się jego opinią, jeżeli powie, że masz okropny kapelusz?

- Oczywiście, że nie! - Victoria zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- Bo go nie znam.

- Dlatego też nie obchodzą cię jego opinie. Gdyby jednak na jego miejscu był Alistair Devlin, wątpię, by twoja odpowiedź była taka sama.

- Oczywiście, że byłaby taka sama! - odparła buńczucznie, rumieniąc się jednak. - Nie obchodzi mnie, co pan Devlin sądzi o moim wyglądzie.

- Nie obchodzi cię to?

- Nie - szła w zaparte, widząc, że Laurence patrzy na nią z rozbawieniem. - No przecież... nie ma ku temu żadnego powodu... - Kobieta nie potrzebuje specjalnego powodu, tylko chce wyglądać atrakcyjnie w oczach mężczyzny, który jej się podoba - po-

wiedział Laurence. - A Devlin, jak sądzę, podoba ci się na tyle, że przejmujesz się tym, co on myśli. - Przerwał na moment. - Natomiast ja myślę, że w tej chwili powinnaś skupić się na propozycji sir Michaela Loftusa. Wiesz dobrze, czego chce, a ty wkrótce będziesz musiała dać mu odpowiedź.

Miał rację, powinna szybko podjąć decyzję zarówno w sprawie sztuki dla Drury Lane, jak i w sprawie ujawnienia swojej tożsamości. Owszem, propozycja świadczyła o tym, że jej talent został doceniony, jednak spotkanie z sir Michaeliem będzie miało określone konsekwencje. Stryj Theo, przekazując informację o zagranicznych wояażach Lawe'a, wprawdzie zyskał dla niej trochę czasu, jednak nie mogła w nieskończoność podróżować.

Następnego dnia przed południem zadowolony Alistair opuścił biuro pośrednika handlu nieruchomościami. Dokumenty zostały podpisane, opłaty wniesione, a umowa kupna znalazła się w jego rękach.

Miał też wspólnika. Gdy Alistair opowiedział o swoich planach, Valbourg zaproponował pomoc. Pieniądze nie stanowiły dla żadnego z nich problemu, jednak Alistair poczynił już spore inwestycje, natomiast Valbourg dysponował wolną gotówką. Kiedy Alistair zaznajomił go z listą przyszłych wydatków, z chęcią użyczył funduszy na rozruch przedsięwzięcia.

Tak, było to w sumie bardzo dobre przedpołudnie, doszedł do wniosku Alistair. Jedynym przykrym momentem okazała się rozmowa z ojcem przy śniadaniu, a dotyczyła małżeństwa z lady Sarah Millingham. Alistair nie chciał tego małżeństwa, co jasno i dobitnie uświadomił ojcu. Po pierwsze on i lady Sarah nie mają ze sobą nic wspólnego. A po drugie, ta panna jest zbyt młoda. Alistair nie chciał zenić się z podlotkiem. Chciał za żonę kobietę, która ma własne zdanie na najważniejsze tematy i dorównuje mu poziomem umysłowym. A umysł lady Sarah był tak pusty jak rozumek motylka.

Takie małżeństwo nie dałoby mu też żadnej stabilizacji. Żona, której musiałby wciąż pilnować, była ostatnim, czego potrzebował.

Taka żona każdego dnia doprowadzałaby go do szału, a w konsekwencji - do obłądu.

Było jeszcze coś, i to coś bardzo ważnego. Już darzył uczuciem inną kobietę. Nie wiedział o tym oczywiście nikt, nawet dama, do której należało jego serce. No bo jak mogłaby to wiedzieć, skoro sam dopiero bardzo niedawno zdał sobie z tego sprawę? Tak, Victoria Bretton nie wiedziała o jego uczuciu, jednak to, co czuł do niej, uniemożliwiało mu nawet myśl o małżeństwie z inną.

Z początku pociągała go tylko jej uroda, ale szybko się przekonał, że najwspanialsze skarby ta młoda dama skrywa w sobie. Posiadała niewątpliwy intelekt, do tego Alistair podziwiał, że porusza się z podniesioną głową, wprost emanuje dumą, ignoruje zaś to, co mówią o niej ludzie. Wyczuł też w niej wielką inklinację do czynienia tego, co dobre. Victoria potrafiła być zabawna, prostolinijna, kochająca i szczerą.

Jednak ku jego wielkiemu żalowi od samego początku twardo trzymała go na dystans, bo była przekonana, że absolutnie nie pasują do siebie. Jego wysoka pozycja społeczna i jej zamiłowanie do teatru będą zawsze stanowić między nimi barierę. A na dodatek miała o nim nie najlepsze zdanie, była przekonana, że marnuje czas na puste rozrywki, więc nie jest wart jej uwagi.

Dlatego postanowił udowodnić jej, że jest inaczej, i sądził, że najlepiej będzie w tym celu poznać ją z panią Hutchins i dziećmi.

By utrzymać swoje przedsięwzięcie w tajemnicy, rozmawiał o nim tylko z tymi osobami, z którymi musiał. Z powodów finansowych powiedział ojcu o kupnie domu, lecz nie zdradził mu, w jakim celu go nabył, bo wtedy ojciec by mu doradził:

- Wynajmij ludzi. Wszystko zrobią za ciebie, a ty musisz pamiętać, że dżentelmen nie obcuje z ubóstwem, żeby nie brudzić sobie rąk.

Alistair wiedział, że wielu bogaczy nie chce przeznaczać najmniejszej nawet części swego majątku na pomoc biednym i chorym, i to nawet wtedy, gdy chodziło o dzieci. Lecz on miał szczytniejsze ideały. Od dawna imponowała mu działalność Thomasa Corama, dżentelmena, który ufundował szpital dla dzieci ze społecznych dołów. Uważał też, że obecnie Anglia bardziej niż kiedykolwiek dotąd potrzebowała takich instytucji. Wiedział przy tym że jeżeli ci, którzy mają odpowiednie środki, nie włączą się do pomocy, zginie wielu niewinnych ludzi. On miał i czas, i pieniądze. I czynił to z ochotą.

Poza tym istniał jeszcze inny i głębszy powód jego działań. Alistair był świadkiem, jak ośmioletnia dziewczynka celowo wchodzi na jezdnię pod nadjeżdżający powóz. Dzień, w którym to się stało, odmienił jego życie.

Nie było czasu na żadną reakcję ani z jego strony, ani ze strony stangreta. Powóz z turkotem przejechał po martwym ciele nieszczęsnego dziecka, które zostało stratowane przez pierwszego konia. Dziewczynka poniosła śmierć na miejscu, a powóz nawet się nie zatrzymał. Alistair wątpił, by ci, którzy nim jechali, zdawali sobie sprawę z tego co się wydarzyło. I poprzysiągł sobie, że będzie robił wszystko, co w jego mocy, by poprawić los takich dzieci.

Był ciekaw, co powiedziałyby Victoria Bretton, gdyby poznała jego cele i działalność. Czy spojrzęłyby na niego innym okiem? Czy pomyślałyby o nim lepiej i przychylniej przyjmowałyby jego zaloty?

Gdy tak rozmyślał, jakby za sprawą czarów Victoria zjawiała się przed nim na ulicy. Szła z bratem, a jej śmiech dobiegł uszu Alistaira. Ubrana na zielono, wyglądała tak świeżo jak wiosna.

Kiedy go zobaczyła, jej śmiech ucichł, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Wprawdzie szybko znikły, jednak Alistair pomyślał, że samo ich pojawienie się daje mu nadzieję.

Niestety, napięcie powstałe po rozmowie, którą odbyli tamtego przedpołudnia, gdy odwiózł ją do domu z teatru, wciąż dało się odczuć. Zmalało jednak nieco po spotkaniu w ogrodach lady Hincham, a Alistair miał nadzieję, że po wizycie w teatrze rozwieje się zupełnie. Dlatego właśnie tak bardzo nalegał, żeby Victoria przyszła na siódme przedstawienie.

Jednak zaraz po rozmowie ze stryjem Victorii u stóp wielkich schodów stało się dla niego jasne, że panna Bretton wciąż jest podminowana. Wyglądała jak ktoś, kto otrzymał niepokojące wieści, i szybko wraz z bratem udała się do domu.

- Cóż za przyjemna niespodzianka - powiedział, zatrzymując faeton. - Dzień dobry państwu!

- Dzień dobry panu - odrzekł Laurence. Victoria tylko się uśmiechnęła, ale Alistair zauważył, że jej dłoń wsunięta pod ramię brata zacisnęła się na jego rękawie. - Wygląda pan na bardzo zadowolonego.

- Rzeczywiście, miałem bardzo pracowity poranek, który przyniósł dobre efekty. I zamierzam właśnie podzielić się znakomitą nowiną z kimś, kto bardzo się z niej ucieszy.

- Czy wolno zapytać, o jakie interesy chodzi? - zagadnęła Victoria.

- Wolno zapytać, panno Bretton, ale ja, zamiast pani odpowiedzieć, chciałbym pani pokazać to, z czego jestem taki zadowolony.

- Nie jestem pewna, w jaki sposób pokazuje się komuś dobrą wiadomość.

- To zależy od natury tej wiadomości. Jeżeli jednak pani mi na to pozwoli, sądzę, że będzie pani miała przyjemną niespodziankę.

Wyraźnie ją zaciekawił, a Alistair wiedział, że bardzo niewiele kobiet potrafi się temu oprzeć.

- Nie przeczę, że bardzo mnie pan zainteresował...

- Pan, panie Bretton, jest również zaproszony - powiedział Alistair, bo tak postąpić należało, w innym razie byłby to afront.

Na szczęście Laurence nie zamierzał z nimi jechać. Po chwili ruszyli do sierocińca. Alistair był bardzo ciekaw jak na jego przedsięwzięcie zareaguje Victoria.

Milczała, gdy jechali coraz węższymi ulicami. Dom znajdował się na północny wschód od rejonu, w którym był teatr Gryf, w części miasta, której Victoria nie знаła. Brakowało tu pięknych sklepów oraz innych atrakcji mogących przyciągnąć młodą damę goszczącą w Londynie, jednak dla celów Alistaira lokalizacja była doskonała. Nabył dom kilka lat temu, i jeszcze przed paroma miesiącami odpowiadał jego potrzebom, jednak gdy liczba dzieci wzrosła, okazał się za mały. Dlatego kupił większy.

Wziął wreszcie ostatni zakręt i zatrzymał się, a w chwilę potem, jakby na komendę, którą stanowił tur kot kół powozu, pojawił się Thomas. Alistair, rzuciwszy chłopakowi monetę, pomógł wysiąść Victorii.

- Zanim wejdziemy - powiedział - muszę coś pani powiedzieć. Jeśli poczuje się pani nieswojo lub zapragnie wyjść, wystarczy mi o tym powiedzieć. Musiałem dzisiaj odwiedzić to miejsce. Chciałem też, żeby pani towarzyszyła mi w tym.

- Dlaczego?

W jego głowie pojawił się tuzin odpowiedzi, ale wybrał najbardziej szczerą:

- Ponieważ pani zdanie jest dla mnie ważne.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, jednak po chwili namysłu kiwnęła głową i powiedziała:

- No to chodźmy, panie Devlin, bo jestem bardzo ciekawa, o co w tym wszystkim chodzi.

Alistair przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Gdy weszli do środka, w holu zastali Jenny. Jej twarzyczkę okalały długie blond włosy. Widząc Victorię, dziewczynka odetchnęła głęboko i bez słowa uciekła w głąb domu. Pobiegnęła długim korytarzem i zniknęła za drzwiami u jego końca.

- Kto to był? - zapytała Victoria.

- To Jenny - odrzekł Alistair i zadzwonił małym, stojącym na stoliku srebrnym dzwonkiem. - Ona nie mówi. W każdym razie od chwili, gdy tu przybyła, nie wypowiedziała ani słowa.

- Czy ktoś ją skrzywdził?

- Nie w sensie fizycznym. Lekarz mówi, że jej struny głosowe są w porządku. Chodzi o to, że była świadkiem... - Alistair przerwał, nie mając pewności, ile powinien ujawnić.

- Była świadkiem czego?

- Potwornej zbrodni. Dostała się tutaj, bo tam, gdzie się znajdowała, nie byłaby bezpieczna.

- Czy są tu inne dzieci, którym los nie sprzyjał? - Patrzyła na drzwi, za którymi zniknęła dziewczynka.

- Tak. Okoliczności ich życia były różne, jednak cel, dla którego tu przybyły, jest ten sam. Są tu po to, żeby wrócić do zdrowia - powiedział Alistair.

- Sir, bardzo pana przepraszam - powiedziała, wycierając ręce w fartuch. - Słyszałam dzwonek, ale nie mogłam zostawić Molly. Miała okropny atak kaszlu. Posłałam Teddy'ego po lekarza.

Alistair poczuł wielki smutek.

- Chodźmy do niej. - Zauważył, że pani Hutchins spogląda na Victorię. - Panno Bretton, to jest pani Hutchins, która opiekuje się dziećmi.

- Bardzo mi miło panią poznać. - Podała pani Hutchins rękę.

- Proszę nas zaprowadzić do Molly.

- Mam nadzieję, że nie przerazi pani widok krwi, panienko - powiedziała pani Hutchins, ruszając przodem.

- Nie jestem strachliwa. I zawsze to ja byłam tą siostrą, która spadała z drzewa.

Gospodyni uśmiechnęła się blado, po czym skomentowała:

- To, co pani zobaczy, jest bardziej przerażające niż dziecięce wspinaczki po drzewach. Proszę uważać na spódnice.

Molly leżała w wąskim łóżeczku ustawionym blisko kominka. Twarz miała bladą, a przód koszuli nocnej zakrwawiony. W pokoju znajdowały się też splamione krwią ręczniki, które pani Hutchins szybko pozbierała. Siostra Molly, Margaret, stała w pobliżu, patrząc na bliźniaczkę z przerażeniem.

Ku zaskoczeniu Alistaira, Victoria podeszła wprost do łóżeczka.

- Moje biedactwo - powiedziała cicho i pochyliła się, a jej spódnice rozpostarły się na podłodze niczym zielona łąka. - Witaj, Molly. Mam na imię Victoria. Słyszysz mnie?

Chora miała oczy półprzymknięte, wpatrywała się jednak w twarz Victorii. Kiwnęła głową. Victoria podniosła wzrok i uśmiechnęła się do drugiej dziewczynki.

- Czy to twoja siostra?

- Ma na imię Margaret, panienko - szepnęła pani Hutchins.

- Witaj, Margaret.

Dziewczynka nie odpowiedziała, jednak Victoria nie spodziewała się tego. Zwróciła się ponownie ku Molly i łagodnym ruchem odgarnęła jej włosy z czoła. A potem ujęła dłoń dziewczynki i roztarła ją delikatnie.

- Chorujesz ostatnio, tak, Molly? Niedługo przyjdzie pan doktor i sprawi, że poczujesz się lepiej.

Molly kiwnęła głową i zamknęła oczy.

Alistair przełknął ślinę. Obawiał się, że Molly nie pożyje długo, podobnie zresztą jak jej siostra Margaret. Uszczerbek na zdrowiu spowodowany kilkuletnią pracą w fa-

bryce był tak wielki, że nawet najlepsi lekarze czuli się bezradni, a świadomość, że przedwczesnej śmierci tych dwóch dziewczynek można było zapobiec, wzbudzała w nim taki gniew, jakiego nawet sam po sobie się nie spodziewał.

Po chwili do pokoju weszła czwórka dzieci zbitych w gromadkę. Alistair znał każde z nich z imienia, a one znały jego. Nie miały jednak pojęcia, kim jest pani pochylona nad łóżeczkiem Molly.

- Czy ona wyzdrowieje? - zapytało największe z dzieci.

- Posłaliśmy po pana doktora - odparł Alistair - który, jeśli będziemy mieli szczęście, wkrótce się tutaj pojawi. Posłuchaj, Thomas, zabierz Ruth i Alice na górę, a potem zawołaj wszystkie dzieci, dobrze? Jest coś, co chcę wam powiedzieć.

- Tak, Thomas, idźcie już - powiedziała pani Hutchins.

- Gdzie jest Robert?

- Na górze, w pokoju szkolnym - odpowiedział Peter.

- Z Davidem i Beth.

- Dobrze, znajdź ich i powiedz, że pan Devlin chce z nimi pomówić.

Alistair, widząc lęk w oczach dzieci, natychmiast dodał:

- Powiedz im, że mam dobre wieści. Dla was wszystkich.

Dzieci natychmiast zniknęły, a tupot ich nóg na schodach świadczył, że pobiegly przekazać dobre wiadomości. Alistair zauważył, że Victoria obserwuje go z wyrazem twarzy, jakiego nigdy dotąd u niej nie widział.

- Może i państwo poszliby już na górę? - zasugerowała pani Hutchins. - Ja zostanę z Molly, poczekam na lekarza. Nie chcę zostawiać jej samej.

- Dobrze. Ale będę chciał, żeby pani też tam przyszła i usłyszała dobre wieści - powiedział Alistair. - Bo dotyczą one nas wszystkich.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nas wszystkich...

Powiedział to tak, jakby sam był jednym z tych dzieci, pomyślała Victoria, a przecież prawda była inna. Dzieci były sierotami albo półsierotami, a znalazły się tutaj, bo żyły w koszmarnych warunkach. Bóg jeden wie, z jakich powodów znalazły się tutaj, w tym bezpiecznym porcie. Tak, w bezpiecznym porcie, bo ten dom nim był, przyznała w duchu, wyciągając rękę do Margaret. Był bezpiecznym portem pośród pełnego groźnych sztormów świata.

Margaret spojrzała na dłoń Victorii, a potem powoli wsunęła w nią swoją. Już wie, że nie zrobi jej nic złego. Spojrzała na jej siostrę, mijając łóżeczko, i na krótką chwilę położyła drugą dłoń na jej policzku.

Oczy Molly otworzyły się, a na jej twarzy pojawił się blady uśmiech, który wprost złamał serce Victorii. W jej oczach zakręciły się łzy, a gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że Alistair i pani Hutchins patrzą na nią uważnie. Jej matka na myśl, że mogłaby płakać nad sierotą, byłaby oburzona, a sama w ogóle była niezdolna do takiego płaczu. Jednak nie należy płakać przy dzieciach, pomyślała Victoria. To one mają do tego prawo, a nie ona, bogata dama z wyższych sfer.

- No to chodźmy, Margaret, chodźmy do reszty dzieci - powiedziała.

Margaret posłusznie pokiwała głową. Alistair zamienił z panią Hutchins kilka słów, a potem poszedł przodem, wspinając się po stromych i wąskich schodach.

Victoria dostosowała tempo do Margaret, a gdy usłyszała, że dziewczynka ciężko oddycha, zwolniła jeszcze bardziej. Oczywiście było, że również jej płuca zostały zaatakowane przez chorobę, choć być może nie w tym samym stopniu co płuca Molly. Gdy weszli do pokoju w którym zebrały się pozostałe dzieci, Victoria z trudem powstrzymała płacz.

Było ich siedmioro, w wieku od lat czterech do około dziesięciu. Wszystkie chude, z zapadniętymi policzkami i kośćmi sterczącymi w miejscach, w których kości sterczeć nie powinny. Wszystkim im brakowało pewności siebie. Wyglądały na bardzo przestraszone, ale ubrania miały całe i twarze umyte.

Alistair Devlin czuł się wśród nich jak u siebie. Jedna z dziewczynek, maleńka Alice, podeszła do niego, gdy ją zawołał, a wyraz jej twarzy świadczył, że mu bezgranicznie ufa.

- Przyniósł nam pan coś dzisiaj?

- Przyniosłem dobre wiadomości - odrzekł Alistair łagodnie. - Ale zanim wam je wyjawię, chcę, żebyście się przywitały z panną Bretton, która przyszła tu do was z wizytą.

Dzieci patrzyły na Victorię podejrzliwie i z lękiem a ona, choć byłoby to naturalne, nie porównywała ich z wychuchanymi dziećmi z bogatych domów. Mali bezdomni nie-szczęśnicy mieli powody, by nie ufać dorosłym.

Pani Hutchins dołączyła do nich dopiero pół godziny później. Przyniosła na rękach Molly i przeprosiła za zwłokę, wyjaśniając Alistairowi, że chciała być przy dziewczynce podczas wizyty doktora, który zaaplikował środek przeciwbólowy, wskutek czego Molly uspokoiła się, a Margaret przestała się tak bardzo denerwować, nawet zapytała względnie spokojnym głosem, czy ona wyzdrowieje?

Victoria zauważyła, że Alistair i pani Hutchins wymienili spojrzenia, a z ich wyrazu twarzy wywnioskowała, że odpowiedź nie daje nadziei.

- Robimy dla niej, co tylko możliwe, moje dziecko - zapewniła pani Hutchins. - Postąpiłaś bardzo mądrze, mówiąc nam, że Molly ma trudności z oddychaniem. Zawsze tak rób.

- Zawsze tak zrobię, proszę pani. - Margaret, która stała u boku siostry, wyglądała nad wiek dojrzała.

- Dobrze - pochwalił ją Alistair. - A teraz zawołałem was wszystkich tutaj, bo mam dla was dobre nowiny. Przeprowadzicie się do nowego domu. Dużego domu na wsi, gdzie będziecie mieli mnóstwo miejsca w środku, a na zewnątrz łąkę do zabawy.

- I wszyscy tam pojedziemy? - zapytał jeden z chłopców, malec o zdesperowanym wyrazie twarzy. - Nie rozdzieli nas pan po różnych miejscach, tak jak przedtem?

- Nie, Peter, nie zamierzam tego robić - powiedział Alistair z wyraźnym żalem. - Musiałem odesłać tamte dzieci, bo było was tutaj za dużo i pani Hutchins nie mogła się

wami należycie zaopiekować. Ale poszły do bardzo dobrego domu, gdzie będą miały doskonałą opiekę jak wy w tym nowym.

- No to kiedy jedziemy? - zapytał Thomas.

- Mam nadzieję, że wkrótce - odrzekł Alistair, nie chcąc wyznaczać dokładnej daty.

- W nowym domu jest remont, a jak się skończy, zamieszkacie tam.

- Możemy pomóc - pisał David.

- Tak, możecie. - Alistair uśmiechnął się. - Ty, Thomas i Peter będziecie mieli pewne prace do wykonania.

- A ja? - zapytał najmniejszy chłopiec. - Ja też mogę pracować, pod warunkiem że nie spuścicie mnie do komina.

- Ty, mój drogi, nigdy już nawet nie będziesz się wspinał na komin - odrzekła z żarem pani Hutchins. - Jestem pewna, że pan Devlin znajdzie dla ciebie zajęcie na świeżym powietrzu.

- Oczywiście, Teddy. Będziemy musieli skopać ogród, więc będziesz tego pilnował. A dziewczynki mogą uszyć zasłony i pomagać w kuchni - mówił dalej Alistair. - Oczywiście cały czas będziecie mieli lekcje. A później przyjadą jeszcze inne dzieci. Nie będzie ich zbyt dużo, bo nie chcemy, żeby było wam tak ciasno jak tutaj. Ale dom jest duży.

Victoria bacznie obserwowała dzieci. Było jasne, że żadne z nich nie nawykło do tego, by ktoś się z nimi pieścił czy pobłażał im. Dlatego wieść, że wkrótce zamieszkają w nowym domu, będą przebywać na świeżym powietrzu i będą miały łąkę do zabawy, musiała im się wydać istnym cudem.

Gdy jej ręki dotknęła czyjaś dłoń, Victoria odwróciła się i zobaczyła, że obok stoi Margaret. Dziewczynka nie uśmiechała się, ale w jej oczach malowało się tak bezgraniczne zaufanie, że poczuła ściskanie w gardle.

- Tak, Margaret? O co chodzi?

- Molly pytała, panienko, czy pani mogłaby jej poczytać.

Victoria spojrzała pytająco na Alistaira. Nie miała pojęcia, czego on sobie życzy i do jakiego stopnia ona może się włączyć w życie tych dzieci. Gdy jednak zobaczyła, że się uśmiecha i kiwa głową, uświadomiła sobie, że całe napięcie między nimi znikło.

- Oczywiście, że jej poczytam. I tobie też, jeżeli będziesz chciała posłuchać - powiedziała.

Niczym za sprawą magii od razu znalazła się książka, a kiedy starsi chłopcy zeszli na dół, Victoria usiadła, żeby poczytać Molly i Margaret Townsend, a także Ruth i Alice Harkness, Beth Lyton i Teddy'emu Erskine'owi. Tylko Jenny Smith trzymała się z daleka, a wyraz jej oczu mógł przyprawić osobę wrażliwą o ból serca.

Tak musi się czuć kobieta, która ma własne dzieci, uświadomiła sobie Victoria. Było to dziwne uczucie, bo dotąd nie myślała o macierzyństwie. Posiadanie dzieci wiązało się w sposób naturalny z zamążpójściem. Ponieważ jednak do tej pory nie chciała wyjść za mąż, nie zaprzętała sobie tym głowy. Teraz jednak, głaszcząc jedwabiste włosy Alice i patrząc w jej ufne oczy, uświadomiła sobie, że chce mieć własne dziecko. Dziecko kochane i rozpieszczane, któremu da wszystko, czego te dzieci dostać nie mogą.

Wizyta w sierocińcu zakończyła się nazbyt szybko. Na odchodnym Victoria obiecała Margaret i Molly, że wróci i znowu im poczyta.

Dopiero gdy z Alistairem siedzieli w faetonie i ruszyli w drogę na Green Street, zdecydowała się zadać nurtujące ją pytania:

- Co stało się Jenny? Co ona zobaczyła? Alistair nie miał ochoty poruszać tego tematu.

- Ojciec Jenny pije - wyjaśnił jednak z ciężkim westchnieniem. - A gdy wypije zbyt wiele, staje się agresywnym brutalem. Tak strasznie skatował matkę Jenny, że zmarła... A Jenny była w tym samym pokoju.

- Boże drogi! - zawołała Victoria. - Nic więc dziwnego, że zaniemówiła. Bo przecież ja, osoba dorosła, nie jestem w stanie nawet sobie tego wyobrazić.

- Nie tylko pani. Przekracza to możliwości każdego, kto pochodzi z naszej sfery. Jesteśmy ludźmi, których droga życia ściele się różami. Nie mamy pojęcia, co to głód czy chłód. Nigdy nie drżeliśmy o życie własne czy o życie naszych bliskich.

- A jak to się stało, że te dzieci znalazły się pod pana opieką?

- Za pośrednictwem pani Hutchins, którą ludzie z tej okolicy dobrze znają. Wiedzą też, czym ona się zajmuje i z kim jest związana. Działamy wspólnymi siłami i choć nie możemy pomóc wszystkim dzieciom, robimy, co w naszej mocy.

- A ten dom, który pan kupił, będzie nowym domem dla tych dzieci... Wspomniał pan, że zjawią się też inne.

- Można tam w dobrych warunkach zakwaterować dwadzieścioro pięcioro - powiedział Alistair. - Jednak przy większej liczbie będzie nam znowu ciasno. Pani Hutchins jest gotowa opiekować się każdym potrzebującym dzieckiem, wie jednak, ile to wymaga pracy. Dlatego zaangażowałem już kucharkę i ogrodnika, a także korepetytora dla chłopców oraz guwernantkę dla dziewczynek. Pani Hutchins, jeżeli poczuje taką potrzebę, będzie mogła zatrudnić jeszcze innych pracowników. Ten dom nie będzie luksusowy - dodał Alistair - ale zapewni dzieciom odpowiednie warunki i bezpieczeństwo. Miejmy nadzieję, że będą szczęśliwe.

Victoria rozejrzała się po bogatej dzielnicy, w której się znaleźli, i zobaczyła to wszystko, czego te dzieci nigdy nie miały: bezpieczeństwo, spokojne i dostatnie życie.

- Robi pan coś wspaniałego, panie Devlin - powiedziała miękko. - Daje pan tym dzieciom szansę, by dorosły w zdrowiu, daje im pan perspektywy na przyszłość, czego bez pańskiej pomocy nigdy by nie dostały.

- Tylko niektórym - odparł ze smutkiem. - Bo wątpię, by Margaret i Molly dożyły dwudziestu lat. Chorują na płuca, uszkodzenia są u nich nieodwracalne. Więc jeżeli o nie chodzi, to mogę jedynie zapewnić im miejsce, w którym w miarę wygodnie dożyją swoich dni. Co do Jenny, to jej rany są natury emocjonalnej. Jenny nigdy nie zapomni tego, co widziała, jednak należy mieć nadzieję, że z czasem dojmujące cierpienie ustąpi i będzie mogła żyć w miarę normalnie.

- I nie umrzeć taką śmiercią jak matka - podchwyciła Victoria. - A właśnie to by jej groziło, gdyby została z ojcem.

Przez chwilę jechali w milczeniu pogrążeni w zadumie.

- Dziękuję pani, że pojechała tam pani ze mną - odezwał się Alistair, gdy skręcali w Green Street. - Wiem, że było to dla pani trudne doświadczenie, ale muszę wyznać, że zaimponowała mi pani swoim opanowaniem. Pani dobroć była... podarunkiem dla tych dzieci. Patrzyłem na Margaret, gdy pani czytała. Ona już panią uwielbia.

- Miłość przychodzi jej z łatwością - powiedziała wzruszona Victoria. - Jak zresztą im wszystkim. Nawet chłopcom, chociaż udają, że są twardzi.

- Tak - potwierdził Alistair z uśmiechem. - A pani Hutchins darzy ich wszystkich miłością bezwarunkową.

Lepszej osoby do tej pracy nie mógłbym znaleźć. Po prostu nie wiem, co bym bez niej zrobił.

Gdyby pani Hutchins była młodsza o dwadzieścia lat, Victoria byłaby zazdrosna o ten serdeczny ton. Uśmiechnęła się jednak, wiedząc, że Alistair w ten sposób wyraża wdzięczność wobec pani Hutchins za jej pracę i oddanie.

- Nie sądzę, by musiał pan sobie radzić bez niej. Jest tak samo zaangażowana w to przedsięwzięcie jak pan i tylko śmierć mogłaby ją rozłączyć z tymi dziećmi.

- Możliwe - Alistair zatrzymał powóz. - Z tym że każdy ma prawo do własnego życia, panno Bretton. Pani Hutchins była kiedyś mężatką i może jeszcze spotkać człowieka, za którego zechce wyjść. I co ja wtedy pocznę?

- Sądząc po charakterze pani Hutchins, będzie pan wtedy miał dwie osoby do opieki nad dziećmi - odparła z uśmiechem. - Bo wątpię, by wyszła za kogoś, kto nie chciałby dzielić jej życia. Pani Hutchins opieki nad dziećmi nie uważa za pracę. Ona te dzieci kocha, a poświęcając się im, wyraża swoją miłość i oddanie. Czy może istnieć lepszy powód takiej działalności?

- Nie widzę lepszego powodu - przyznał Alistair, patrząc na Victorię z wielką czułością. A potem kciukiem otarł kącik jej ust. - Okruszek - powiedział - z placka owocowego pani Hutchins.

Victoria zarumieniła się, ale się nie cofnęła. Zapragnęła zamknąć oczy i pochylić się w jego stronę, chłonąc serdeczność tego gestu. A kiedy wierzchem dłoni przeciągnął po jej policzku, miała ochotę zamruczeć jak kociątko. Znajdowali się jednak w miejscu publicznym, a ona wiedziała, że zachowując się tak, ryzykuje nie tylko swoje serce.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Wiem. - Podobnie jak ona, nie miał ochoty się rozstać. Tyle dzisiaj razem przeżyli, a te przeżycia sprawiły, że znikła dzieląca ich bariera. - Nie powiem nikomu, gdzie dzisiaj byliśmy - zapewnił. - Wątpię, by pani rodzicom to się spodobało. Ale bardzo się cieszę, że zgodziła się pani tam pojechać.

- Ja też, panie Devlin. Bardzo się z tego cieszę. Naprawdę.

Wizyta w sierocińcu definitywnie zmieniła uczucia Victorii do Alistaira. Nie uważała go już za egoistę, którego interesują jedynie własne przyjemności. Był tak od tego daleki, jak to tylko możliwe. Gdyby dożyła nawet stu lat, do końca życia nie zapomniałaby, jak się uśmiechał do Molly Townsend. Życie, jakie sama wiodła, wydało się nagle Victorii banalne i niepotrzebne. Pisała sztuki wystawiane na scenie. Fikcyjne historyjki, które wyszydzały wady przedstawicieli wyższych sfer, w żaden sposób nie przyczyniały się do pomnożenia społecznego dobra.

A w żadnym razie do poprawy losu takich dzieci, jakie trafiły pod opiekę Alistaira.

Choć z drugiej strony, wszystkie dzieci kochają teatr. Victoria doskonale pamiętała, że kiedy była mała, wprost uwielbiała przedstawienia kukielkowe. Zwłaszcza komiczne, podczas których można było się zaśmiewać. Wiedziała, że żadne z podopiecznych pani Hutchins nie było nigdy w teatrze. Te dzieci egzystowały w świecie, w którym dorośli popełniali okropne zbrodnie, a życie było ciężkie i okrutne.

- O co chodzi, Vicky? - zapytał Laurence, wchodząc do salonu kilka dni później. - Jesteś taka smutna i zamyślona.

- Rzeczywiście - przyznała Victoria. - Nie mogę zapomnieć o tym, co zobaczyłam w sierocińcu.

- Wciąż nie przestaję się dziwić, że Devlin cię tam zawiózł - powiedział Laurence, biorąc do ręki poranną gazetę. - Nie w takie miejsce dżentelmen zabiera damę na przejażdżkę.

- To prawda, jednak ja bardzo się z tego cieszę. Ten sierociniec, te dzieci znaczą dla niego bardzo wiele.

- A także świadczy o jego uczuciach dla ciebie.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała spłoszona Victoria.

- Zależy mu na tym, byś wiedziała, czym się zajmuje, co dowodzi, że zależy mu na twojej opinii w tej sprawie. Chce wiedzieć, że to, co robi, spotyka się z twoją aprobatą. Mam mówić dalej?

- Ale on i tak by to robił bez względu na moją aprobatę czy też jej brak.

- Owszem, jednak nie zadałby sobie trudu, żeby pokazać ci sierociniec, gdyby nie sądził, że będzie to miało wpływ na to, co jest między wami.

- A co z tym, co ja robię, Laurie? - zagadnęła cicho Victoria. - Jeżeli pan Devlin zadaje sobie trud, żeby mi pokazać, czym się zajmuje, to czy ja nie powinnam powiedzieć mu, kim jestem?

- Tylko pod warunkiem, że darzysz go uczuciem. Bo jeżeli nie, to nie ma to sensu. - Laurence przyjrzał się siostrze uważnie. - Czy darzysz pana Devlina uczuciem, Vicky?

Victoria zagryzła wargę. Tak, darzyła Alistaira uczuciem, jednak sądząc, że nic z tego nie będzie, starała się trzymać na dystans. Rodzina Alistaira była zbyt dobrze skoli-gacona, należała do najwyższych sfer. Już samo to stanowiło poważną przeszkodę, jednak najgorszy był fakt, że jego brat uciekł i ożenił się z aktorką, przez co zmarł w ubóstwie i pohańbieniu. Z pewnością więc rodzina nie będzie zadowolona, gdy się dowie, że ten okropny Valentine Lawe, autor zjadliwych satyr na arystokrację, tak naprawdę jest kobietą, do której ich syn uderza w konkury.

A sam Alistair? Jak się poczuje, gdy prawda wyjdzie na jaw? Przecież ponad wszystko ceni szczerość. Victoria wiedziała od Winifred, która usłyszała o tym podczas jakiegoś wieczoru muzycznego, że zalecał się do lady Frances Shaftsbury, lecz szybko się to skończyło, gdy się okazało, że lady Frances go okłamuje.

Więc jeżeli naprawdę darzy uczuciem Victorię, to z pewnością nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że go oszukiwała. A zatem czy nie lepiej wyjawić mu prawdę już teraz, zanim wzajemne uczucia się zintensyfikują? I zanim dojdzie do spotkania między nią a sir Michaellem Loftusem. Bo gdy sir Michael dowie się prawdy, nie będzie żadnej gwarancji, że jej nie ujawni.

Dlatego należało postawić na szczerość. Jeżeli szczerość i prawda sprawią, że Alistair się od niej odsunie, będzie przynajmniej mogła chodzić z podniesioną głową, wiedząc, że postąpiła, jak należy.

Zatem następne pytanie brzmiało: kiedy? Tego wieczoru miał się odbyć bal maskowy u lordostwa Drake'ów, na który była zaproszona. Postanowiła, że na balu poprosi go o wizytę, a jutro wyzna mu całą prawdę. I zorientuje się, jak bardzo jej dotychczasowe kłamstwa zaszkodziły jego uczuciu.

Wydając bal maskowy, lordostwo Drake'owie udekorowali wspianą rezydencję w sposób, który odzwierciedlał temat wieczoru. Nalegali przy tym, żeby goście pojawili się

w kostiumach. Dla wielu uczestników balu przygotowanie kostiumu było trudnym zadaniem, ale nie dla Victorii. Jej stryj był właścicielem teatru, a stryjenka znakomicie szyła, więc miała gdzie szukać pomocy. Również i tym razem jej kostium był po prostu niezwykły. Z jednej ze swoich podróży do Wenecji stryj Theo przywiózł całą kolekcję cudownych ubiorów, z których większość pochodziła z siedemnastego wieku i uszyta została ze wspaniałych materiałów w kolorach szafiru, szmaragdu, rubinu i ametystu.

Victoria wybrała niezwykłą kreację ze złocistej starej mory z dodatkami w postaci pięknego nakrycia głowy i maski. Stryjenka Tandy zrobiła konieczne poprawki, a gdy suknia była gotowa, Victoria poczuła zachwyt pomieszany z niepokojem. Na co dzień nosiła lekkie muślinowe sukienki, więc musiała się do dopasowanej ciężkiej sukni przyzwyczaić. Dla podkreślenia cienkiej talii i rozłożystości spódnicy włożyła gorset, a to spowodowało wypchnięcie piersi tak wysoko, że poczuła się zawstydzona. I postanowiła przez cały wieczór przysłaniać dekolt rozłożonym wachlarzem.

Natomiast Winifred zaskoczyła wszystkich kostiumem bogini łowów, Diany. Jej suknia, choć udrapowana na jednym ramieniu, okazała się na tyle skromna, że nie mogła spowodować żadnego skandalu. Włosy, ułożone w złociste loki, wyglądały przepięknie.

Siostry nie zdziwiły się na wieść, że rodzice postanowili nie iść na bal. Matka, podobnie jak teatru, nie lubiła maskarad, a na przebieranki córek patrzyła krytycznie. Wpadła w jeszcze gorszy humor, gdy zobaczyła Laurence'a, który pojawił się na dole w czarnym fraku i białej koszuli z koronkowym żabotem oraz koronkowymi mankietami, a do tego miał czarne buty z cholewami, czarną maskę zasłaniającą oczy i nos oraz czerwoną różę w butonierce.

Victoria popatrzyła na niego z niedowierzaniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Po prostu nie mogę uwierzyć! - Nie wiedziała, czy powinna być zszokowana, czy raczej zachwycona. - Widzę, że wzięłeś sobie do serca słowa panny Wright!

- No właśnie. - Uśmiechnął się szeroko Laurence.

- Nie rozumiem - wtrąciła się Winifred, przyglądając się mu uważnie. - Więc niby kim masz być?

- Nie domyślasz się? - zapytał. - Sądziłem, że róża mnie zdradzi. Jest przecież jak jego podpis.

- Czyj podpis? - Winifred zmarszczyła brwi.

- Valentine'a Lawe'a.

- Valentine'a Lawe'a?! - Matka pobladła. - Laurence, czyś ty zwariował? Nie możesz w takim przebraniu wyjść do ludzi.

- Dlaczego? Przecież nikt nie widział Lawe'a, więc równie dobrze to może być nie jego strój.

- Nie chodzi mi o wygląd czy strój - powiedziała pani Bretton. - Chodzi o to, że nie powinniśmy nawet przypominać, że on w ogóle istnieje.

- Ależ istnieje, mamó - odrzekł Laurence. - Istnieje w sercach swoich wielbicieli. Jest legendą. Ponadto fakt, że się ukrywa, wzbudził ogromne zainteresowanie jego osobą. A ja, ubierając się tak, chciałem po prostu z tego zażartować.

- Ale twój strój pochodzi raczej z zeszłego niż obecnego wieku - stwierdziła Winifred. - Dżentelmeni od dziesiątków lat nie noszą koronkowych żabotów.

- Wiem o tym. Pomyślałem jednak, że strój może być nieco ekscentryczny.

- Laurence, zachowujesz się tak jakoś... całkiem jak nie ty - powiedziała zatroskana matka.

- To prawda. - Uśmiechnął się z hultajskim wdziękiem. - I właśnie dlatego tak się przebrałem. Ot tak. Dla odmiany.

Victoria patrzyła na brata rozbawiona. Nie dało się zaprzeczyć, że staromodny strój pasował do niego znacznie bardziej niż niemodne ubrania, które nosił na co dzień. Zrezygnował nawet z okularów i zrobił sobie swobodniejszą fryzurę.

- A ja myślę, że to jest igranie z ogniem - kategorycznie stwierdziła Winifred. - Ludzie będą cię wytykali palcami.

- Nie mów głupstw - odrzekł Laurence. - Poza tym to przecież maskarada, więc wszyscy goście mają być w kostiumach. Spójrz na siebie. Przebrałaś się za rzymską boginię. A tak nawiasem mówiąc, skąd wzięłaś ten łuk?

- Od brata pani Jackson. Pani Jackson zapytała go, czy mogę go pożyczyć na ten wieczór.

- I wyszło bardzo realistycznie. Tylko uważaj, żebyś komuś nie wybiła oka - powiedział Laurence, omijając ją z daleka. - Na szczęście nie pożyczył ci strzał. A tak przy

okazji, Vicky, wyglądasz wspaniale. Czy to jedna z tych sukien, które stryj Theo przywiózł z Wenecji?

- Tak. Piękna, prawda?

- Jest zachwycająca, podobnie jak ty... A w masce wyglądasz bardzo tajemniczo.

Założę się, że wcale bym cię nie poznał.

- To dobrze, bo przecież o to chodzi - powiedziała Victoria, odkładając maskę.

- Nie podoba mi się to - powiedziała pani Bretton, gdy jej dzieci skierowały się ku drzwiom. - Prowokujesz kłopoty, Laurence. Wspomnisz moje słowa!

- Nonsens, mamó. To tylko przebieranka. Co złego może się zdarzyć?

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Alistair postanowił, że ostatni raz ulega namowom Isabelle. Lubił maskarady tak samo jak teatr, czyli wcale, z tym że w teatrze przynajmniej nie musiał grać.

- Sądzę, że doskonale wyglądasz jako Prospero - zapewniła go kuzynka, gdy wmieszali się w tłum zamaskowanych gości. - Bardzo tajemniczy i potężny. I świetnie to współgra z moją Mirandą.

Tylko odchrząknął. Siostra sugerowała, żeby przebrał się za Marka Antoniusza, jednak odrzucił ten pomysł, a gdy się dowiedział, że Isabelle przebierze się za bohaterkę szekspirowskiej *Burzy*, postanowił ubrać się w przypominający togę kostium Prospera.

- Cieszę się, że ci się tutaj podoba - powiedział, gdy obok nich przeszedł wywijający mieczem gladiator. - Bo nie chciałbym, żebyś się rozczarowała. Jest to przecież twój pierwszy bal maskowy.

- Jakie to ekscytujące, prawda? - zachwycała się Isabelle. - Spójrz tylko na te wspaniałe kostiumy.

Obserwując przechodzącego niepewnym krokiem, wyraźnie podpitego Nerona, Alistair niezupełnie się z nią zgadzał. Lecz nie przybył tu tylko dla rozrywki, więc nie-pochlebne uwagi zachował dla siebie. Już miał powiedzieć coś miłego, gdy Isabelle chwyciła go za ramię.

- Boże drogi! To on! - wyszeptała bez tchu.

- Kto? - zapytał Alistair, podążając za jej spojrzeniem.

- Valentine Lawe! Spójrz tam! Stoi obok damy w pięknej weneckiej sukni. To on! To musi być on!

Alistair odszukał wzrokiem tę parę. Isabelle podobał się dżentelmen, a jego zachwyty wzbudziła dama, bo prezentowała się wspaniale. Jej kostium był zachwycający: bogata, złocista suknia ozdobiona koronkami, o śmiało wyciętym dekolcie i wyraźnie zaznaczonej talii. Upięte wysoko włosy ozdabiałały pióra i klejnoty, a twarz w trzech czwartych kryła się za białą maską, w której wycięto otwory na oczy i nozdrza. Innymi słowy, dama wyglądała tak, jakby przed chwilą wysiadła z siedemnastowiecznej gondoli.

Jednak dopiero gdy para ruszyła w ich kierunku, na twarzy Alistaira pojawił się uśmiech, bo tylko jedna znana mu kobieta potrafiła kroczyć tak pewnie i z taką gracją.

- Obawiam się, kuzynko, że się rozczarujesz - szepnął do ucha Isabelle. - Bo ten dżentelmen, który do nas idzie, to nie jest Valentine Lawe.

- Nie? - W jej głosie dało się wychwycić wyraźne rozczarowanie. - Więc kim on jest?

- Musisz przekonać się sama. Zgodzisz się ze mną, kiedy on wypowie choćby jedno słowo.

- A jednak obstaję przy swoim - zdecydowanie odparła Isabelle.

Podczas gdy rozentuzjasmowana kuzynka czekała na romantycznego dramaturga, Alistair nie odrywał oczu od Victorii. Nie mógł się mylić. Jej chód zdradzał wszystko. We wspaniałej weneckiej sukni Victoria cudownie by się prezentowała na scenie. Spokój i pewność siebie zapewniłyby jej aprobatę publiczności, a wygląd wzbudziłby pożądanie w sercu każdego mężczyzny na widowni. I każdy zapałałby do niej miłością równą jego miłości.

- Dobry wieczór - odezwał się, gdy znaleźli się tak blisko, że można było nawiązać rozmowę. - Czy pani, milady, przybyła tu kareta czy gondolą?

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu, gdy odparła:

- Niestety, mój dobry Prospero, w Anglii jest zbyt mało kanałów, by można było podróżować gondolą. Widzę jednak, że ty, panie, opuściłeś zaczarowaną wyspę, by wraz z piękną córką dołączyć do nas, zwykłych śmiertelników.

Alistair uklonił się nisko. Powinien był wiedzieć, że Victoria zna postacie z jednej z najpopularniejszych sztuk Szekspira.

- Wygląda na to, moja droga, że nas rozpoznano - zwrócił się do kuzynki. - I choć wiemy, że tego wieczoru w Wenecji nie błyszczy najjaśniejsza gwiazda, nie mamy pewności co do tożsamości dżentelmena, który towarzyszy weneckiej damie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to jeden z najlepszych angielskich dramaturgów postanowił zaszczycić nas swoją obecnością.

Dżentelmen roześmiał się, a jego niebieskie oczy zabłysły pod maską.

- I nie pomyliłby się pan, sir, gdyż jestem znakomitym Valentine'em Lawe'em.

- W rzeczywistości? Czy tylko na niby? - zapytała podekscytowana Isabelle.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, droga Mirando, bo zepsułbym całą zabawę - odrzekł Laurence. - Podczas maskarady do końca balu obowiązuje tajemnica.

- Chodzi też o to, by ludzie czuli się trochę nieswojo - dodała Victoria, poruszając wachlarzem. - Nie wiem, jak państwo wytrzymują w maskach, ale mnie jest bardzo gorąco.

- Zatem, milady, proponuję spacer po ogrodach - powiedział Alistair. - Wieczorne powietrze podziiała na panią jak balsam. Nadmienię też, że spacer w towarzystwie posuniętego już w latach i znanego z cnót wszelakich ojca Mirandy nie będzie niczym zdrożnym. Jak zresztą mniemam, w ogrodach jest mnóstwo ludzi tak samo jak my spragnionych krótkiego odpoczynku.

- Zgoda, drogi Prospero - odrzekła Victoria.

- Panie Lawe - zwrócił się Alistair do rzekomego dramaturga - czy mógłbym szanownego pana prosić o dotrzymanie towarzystwa Mirandzie?

- Będę zachwycony.

- To doskonale. Wkrótce zwrócę panu pańską piękną towarzyszkę.

Jak można się było spodziewać, w ogrodzie aż roiło się od zamaskowanych arlekinów i tajemniczych dam. Wszyscy śmiali się, flirtowali i doskonale się bawili. Alistair, ku swemu rozbawieniu, zobaczył swego przyjaciela, lorda Valbourga, który w przebraniu pirata bawił rozmową młodą pastereczkę.

- Ten dżentelmen bardzo udatnie wcielił się w pirata, a dama jest czarującą pasterką - powiedziała cicho Victoria. - Czy to nie fantastyczne, że ubiór tak wpływa na wygląd człowieka? - Podniosła głowę, patrząc Alistairowi w oczy. - Na przykład ja wyglądam na siedemnastowieczną Wenecjanekę, a pan jest potężnym czarodziejem.

- Nie jestem czarodziejem, piękna damo - odrzekł Alistair, rozglądając się za spokojnym miejscem, gdzie mogliby usiąść i porozmawiać. - Gdybym nim był, zastosowałbym czary, żeby wszyscy ci ludzie znikli, a my byśmy zostali sami w tym pełnym cudownych zapachów ogrodzie.

- Och, Prospero, przecież byłoby to niezgodne z konwenansem.

- Cóż mogą mnie obchodzić konwenanse, skoro tajemnica jest hasłem tego wieczoru? Maskarada polega na tym, że człowiek na kilka czarownych godzin staje się kimś innym. Żonaty mężczyzna może flirtować z cudzą żoną i nikt się w tym nie zorientuje.

- Z wyjątkiem tej damy i żony tego mężczyzny. - Na twarzy Victorii pojawił się uśmiech. - Więc i my w tej chwili coś odgrywamy?

- Aż do północy, kiedy zdejmemy maski i będziemy znowu sobą. A do tego czasu cieszymy się chwilową anonimowością, czy też rzekomą anonimowością, i mówmy o tym, o czym nie moglibyśmy mówić bez masek.

- A zatem, Prospero, słucham, co pan mi powie?

- Jedynie to, że rzuciła pani na mnie urok. - Alistair wiedział, co ryzykuje, mówiąc te słowa, jednak poddając się magii tej nocy i widząc, jak rozbawiona jest Victoria, podjął ryzyko. - I to już w pierwszej chwili, kiedy tylko panią zobaczyłem.

Victoria odwróciła głowę, poruszając wachlarzem, a jej uśmiech stał się nagle smutny.

- Dobrze byś postąpił, panie, zachowując te komplementy dla siebie. Bo w tym przebraniu nie pasuję do ciebie ani odrobinę lepiej niż w normalnym stroju.

- Inaczej to widzę. Poza tym choć nie wiem, kim jesteś, pani, w tej chwili, to przecież wiem, kim byłaś wczoraj i kim będziesz jutro.

- Mylisz się, panie, przynajmniej po części. Uznałam, milordzie, że pewne rzeczy trzeba wyjaśnić, dlatego muszę powiedzieć, że to, co pan wie o mnie, nie jest tym wszystkim, co wiedzieć należy.

- Nie rozumiem...

- Błagam, niech pan dziś o to nie pyta. Nie chcę spłoszyć magii tego wieczoru... magii tej nocy, sekretów... - I niewypowiedzianych tęsknot - dokończył Alistair, po czym chwycił jej dłoń i uniósł do ust. - Najchętniej wyczarowałbym gondolę, która powiozłaby nas w głąb nocy. Cytowałbym wiersze, by panią zabawić, i sięgnął nieba, by ofiarować pani naszyjnik z gwiazd. - Musnął wargami jej dłoń. - I mówiłbym rzeczy, których nie powinienem mówić, mając nadzieję, że pani odpowie mi tym samym. A jutro wysłuchałbym pani, wiedząc, że to, czego się dowiem, nie zmieni uczuć, które do pani żywię.

- I tu się pan myli - odrzekła ze smutkiem Victoria.

- Oszustwo już nastąpiło, a ja obawiam się, że pan, usłyszawszy prawdę, nie będzie patrzył na mnie tak, jak patrzy pan teraz.

- Nie widzę żadnego oszustwa, piękna damo. Od samego początku była pani ze mną szczerą. Powiedziała mi pani, że między nami nic być nie może, a ja nie przyjąłem tego do wiadomości. Jednak wysłucham tego, co ma pani do powiedzenia, z nadzieją, że pani potem wysłucha tego, co ja chcę powiedzieć pani.

- Panie Devlin... - Alistair - poprawił ją szeptem.

- Panie Devlin - powtórzyła Victoria, zamykając oczy.

- Błagam, niech pan mnie wysłucha... - Nie chcę słuchać.

- Przysunął się bliżej. - Chcę... tego - wyszeptał i pocałował ją.

Victoria była już w życiu całowana. Raz przez niezdarnego chłopca w trakcie dziecięcej zabawy, a drugi raz przez starszego kolegę podczas gwiazdkowego przedstawienia. Nigdy jednak nikt nie całował jej w ten sposób. Nikt nigdy, całując ją, nie sprawił, że czuła się tak, jakby miała za chwilę stracić zmysły. Żar ust Alistaira sprawił, że przestała myśleć i przejmować się tym, że będzie mu musiała powiedzieć zabójczą prawdę, która zrujnuje ich stosunki.

Wiedziała tylko jedno: że zakochuje się w Alistairze Devlinie coraz bardziej, a to, co miało się zdarzyć jutro, nie mogło tego zmienić.

Po chwili z ociąganiem odsunęli się nieco, patrząc sobie w oczy w przyćmionym wieczornym świetle. Victoria nie miała pojęcia, że można czuć się w ten sposób, wiedziała jednak, że między nimi już nigdy nie będzie tak jak przedtem. Wkrótce będzie musiała wyznać prawdę, a także wyjaśnić, co ją skłoniło do ukrywania tożsamości. Lecz w tej chwili, po tym pocałunku, jej jedynym pragnieniem było przyciągnąć do siebie Alistaira i pocałować go jeszcze raz. Pochyliła się więc ku niemu, zamykając powoli oczy.

- Panie Devlin... - Alistair - wyszeptał. - Wypowiedz moje imię, ukochana. To nie jest trudne.

Ukochana... Ta poufałość sprawiła, że miała ochotę roześmiać się radośnie, a potem zniknąć wraz z nim w ciemności i nigdy już nie wrócić.

- Alistairze...

Pocałował ją ponownie, przyciągając do siebie i ukrywając w fałdach peleryny. Jego usta były miękkie, lecz natarczywe i panowały całkowicie nad tą chwilą... i nad tym, co dzieje się z Victorią.

Dziwne. Victoria wiele razy pisała o rozpaczliwej tęsknocie za takim doznaniem, tworzyła sceny, w których postacie wyrażały słowami głębię swoich uczuć, jednak dotąd ani nie wiedziała, ani wyobrazić sobie nie potrafiła, co tak naprawdę kobieta czuje w takiej chwili.

Palce Alistaira delikatnie pieściły jej policzki i usta. A ona, całkiem uległa i wsparta o niego, pragnęła coraz bardziej jego pocałunków... i jego samego.

Nagle gdzieś blisko rozległ się kobiecy śmiech, zmysłowy i prowokujący, zapraszający.

Victoria pomyślała bez sensu, że sama tak się śmieje, i cofnęła się, tłumiąc oddech. Serce biło jej jak szalone, a ciało pod wpływem pieścizot stało się ociężałe. Mimo to ostatkiem sił oderwali się od siebie, bo trwać w uścisku byłoby szaleństwem.

Ciszę i urok chwili zniweczyła para, która w objęciach wyszła z sali balowej i przystanąła na oświetlonym świecami tarasie oddalonym od Victorii i Alistaira nie więcej niż o dwadzieścia jardów. Sądząc, że nikt ich nie widzi, mężczyzna otoczył talię ukochanej, a ona bezwstydnie wtuliła się w niego. Dżentelmen miał na sobie mundur oficera marynarki, a jego partnerka suknię średniowiecznej damy. Długie tycjanowskie włosy spływały jej na plecy rudą kaskadą. Twarz miała zasłoniętą maską, jednak Victoria rozpoznała śmiech płomiennej kusicielki.

- Signy! - zawołała, nie kryjąc oburzenia.

- Signy?! - Alistair wpatrywał się w roznamiętnioną parę, i również w nim wzbierał gniew. - A on to Collins! - wykrzyknął. - Na Boga, co oni tutaj robią?!

Jednak kochanków tak bardzo przepelniała żądza, że w ogóle ich nie słyszeli, tylko całowali się dziko i żarliwie.

Victorii na ten widok krew napłynęła do twarzy, zaraz jednak nakazała sobie spokój i szepnęła do Alistaira:

- Zapanujmy nad sytuacją, nie dopuścimy do skandalu.

- Masz rację - odszepnął. - Ale co za głupiec z niego! - wycodził przez zęby. - Wie doskonale, że nie wolno tu wprowadzać kochanki, a jednak... - Myślał, że nic nie ryzykuje - odparła Victoria. - Przecież wszyscy są w kostiumach. Gdyby nie śmiech, nawet ja nie rozpoznałabym Signy. Muszę z nią porozmawiać, bo jeśli lady Drake się dowie... - Nie, nie. Należy wziąć w obroty nie Signy, tylko Collinsa - odrzekł Alistair. - Przy odrobinie szczęścia i naszej pomocy mogą stąd zniknąć, zanim ktoś się zorientuje. - Przeszedł po trawniku i stanął u stóp tarasu. - Collins! Pozwól na słówko!

Kochankowie odskoczyli od siebie, a Victoria spostrzegła, że Collins ma minę chłopca, który coś nabroił.

- O, Dev! To ty?

- Na szczęście dla ciebie to ja - odrzekł Alistair ściszoneg głosem. - Do diabła, co ty tu robisz?!

- To co wszyscy, przyjacielu. Bawię się na maskaradzie! O, masz wspaniały kostium. - Collins mówił trochę niewyraźnie, a także lekko chwiał się na nogach. - Nie wiem, w jaką wcieliłeś się postać, ale wyglądasz świetnie.

- Głuptasie, to Prospero z *Burzy* - wyjaśniła rozchichotana Signy, zataczając się na niego. Też była solidnie wstawiona, choć jako aktorka lepiej panowała nad artykulacją. - Znam się na tym. W zeszłym roku grałam Mirandę. Pan Templeton mówił, że to jedna z moich najlepszych ról. - Spojrzała na Victorię. - Ale nie wiem, kim jest pani.

- Znasz mnie, Signy - odparła z westchnieniem. - Victoria Bretton, tak się nazywam. - Znów westchnęła. To, co zaraz powie, nie będzie miłe, ale nie miała innego wyjścia. - Musisz natychmiast stąd wyjść. Gdyby lady Drake zorientowała się, że tu jesteś, wybuchłby skandal.

Jednak Signy roześmiała się na takie dictum. Owszem, perfekcyjnie panowała nad głosem, jak się jednak okazało, była zbyt pijana, by właściwie ocenić sytuację. Zresztą do głowy uderzył jej nie tylko szampan, ale i sukcesy sceniczne, bo odparła hardo:

- Miałabym wyjść? Niby dlaczego? Jestem słynną aktorką podziwianą przez kolegów i uwielbianą przez publiczność. Lady Drake powinna być zachwycona tym, że raczyłam zaszczyścić swoją obecnością tę jej całą maskaradę!

Alistair zmrużył oczy. Signy mówiła nie tylko głupio, co mógłby zrzucić na karb wypitego alkoholu, ale również jak prostaczka, którą, co właśnie wyszło na jaw, z pewnością w głębi duszy była. Mniejsza o to, że szkodziła sobie. Jej życie, jej wybór. Jednak kierując się urażoną ambicją, gotowa była narazić swojego kochanka na skandal, a być może nawet na ostracyzm towarzyski, mogła też narazić na kłopoty szefa teatru, w którym pracowała. Dlatego odparł stanowczym, choć zarazem wyważonym tonem:

- Swoją obecnością zaszczycają damy, a pani nią nie jest. Nie miała pani prawa tu się pojawiać, a ty, Collins, w żadnym razie nie powinienesz być widziany w takim towarzystwie w ogrodach lady Drake. Mam dla ciebie dobrą radę: jak najszybciej zawieź pannę Chermonde do domu.

- Nie słuchaj go, Bertie! - gwałtownie zareagowała Signy, choć nadal wyglądała uroczo i tak też się uśmiechała - Nie chcę jeszcze wracać.

Jednak do Collinsa coś wreszcie zaczęło docierać, bo zaczął niepewnie:

- Być może nie był to zbyt dobry pomysł... - Przecież nikt nie wie, kim jestem! - przerwała mu Signy. - I nikt nie musi wiedzieć, jeżeli tego nie ujawnimy. Możemy wyjść tuż przed północą, zanim wszyscy zdejmą maski.

- Moim zdaniem, Signy, najlepiej będzie, jeżeli wyjdziecie teraz - powiedziała Victoria. - Zanim ktoś cię rozpozna i poinformuje lady Drake, że tu jesteś.

Zmiana, która zaszła w aktorce, była alarmująca. Zniknął uroczy uśmiech, a spojrzenie stało się twarde i wrogie.

- Panno Bretton, nie powinna się pani wypowiadać w moich sprawach ani tym bardziej cokolwiek mi sugerować czy nakazywać. Moim szefem jest pani stryj i tylko on może mi wydawać polecenia.

- To prawda, jednak obie doskonale wiemy, że gdyby Theodore Templeton tu był, to zająłby oczywiste stanowisko, nie wdając się w żadną dyskusję. - Victoria starała się mówić jak najbardziej wyważonym tonem, choć przekaz do łagodnych nie należał. - Wolałabym nie mówić mu, że cię tu widziałam, jednak zrobię to, jeżeli uznam, że leży to w interesie stryja. Możesz się jeszcze wycofać, wtedy sprawa zostanie tylko między nami, jednak w innym razie... No cóż, dobrze wiesz, jak mój stryj, mając na względzie do-

bro teatru, reaguje, gdy ktoś z jego podwładnych prowokuje plotki albo wywołuje skandal.

- Proszę mi nie grozić! - fuknęła Signy jak rozeźlona kocica.

- Nie grożę, tylko stwierdzam fakty. A wybór należy do ciebie.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Victoria czekała, aż Signy podejmie decyzję. Mogła z uporem postawić na swoim, nie bacząc na konsekwencje, lub zrobić, co jej każą, to znaczy zniknąć stąd jak najszybciej. A kazała jej tak postąpić Victoria, która choć nieformalnie, to jednak w tym momencie reprezentowała stryja.

Signy wpatrywała się groźnie w Victorię, próbując ją zastraszyć i zmusić do zmiany decyzji, lecz nie miała na to żadnych szans. Victoria doskonale wiedziała, jak ma postąpić. Nie pozwoli, by reputacja stryja została wystawiona na szwank, a tak by się stało, gdyby aktorka z jego trupy wywołała skandal w najwyższych londyńskich sferach. Należało więc poświęcić aktorkę, nieważne, jak znakomitą. Jeśli Signy zostanie na balu, Victoria natychmiast powiadomi o tym stryja, by był gotów na błyskawiczną reakcję, w razie gdyby skandal wybuchł.

Na szczęście do tego nie doszło, bo Signy przyjęła dumną pozę, jakby grała na scenie królową, odrzuciła do tyłu wspaniałe włosy i oznajmiła:

- Niech więc tak się stanie, wyjdę stąd. Wiele zawdzięczam panu Templetonowi, który okazał mi pomoc i życzliwość, więc nie odpłacę mu się w taki sposób, że wciągnę go w skandal. - Przerwała na moment. - Ale pani, panno Bretton, nie jestem winna takiej lojalności. Muszę przy tym dodać, że tego wieczoru drastycznie przekroczyła pani swoje kompetencje, o czym nie zamierzam zapomnieć. - Znów zrobiła pauzę. - Wie pani doskonale, że nie jestem jedyną osobą, która tutaj gra. Tyle że jestem aktorką, więc to oczywiste. Gra, konwencja, nie trzeba nic tłumaczyć. Akurat ja nie ukrywam tchórzliwie prawdy o tym, kim w rzeczywistości jestem. - Odwróciła się by wrócić do sali balowej.

Jednak Alistair delikatnie ujął ją za ramię i powiedział:

- Nie tędy. Collins, wyprowadź pannę Chermonde przez ogród. Lepiej by było, gdyby żadne z was nie znalazło się ponownie w rezydencji.

Victoria milczała, gdy pijana para potykając się, przeszła obok. Tak bardzo uderzyła ją jadowitość ostatniej uwagi Signy, że nie była w stanie nic powiedzieć. Co Signy

miała na myśli, mówiąc, że nie ona jedna gra tu jakąś rolę? Czy wie, że Victoria Bretton i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba? A jeżeli tak, to czy zamierza to ujawnić?

Signy zdawała sobie sprawę, że jest najlepszą aktorką w trupie. Była przyzwyczajona do tego, że ją podziwiają za urodę i fetują za talent. Owszem, powiedziano jej dobitnie, że nie jest damą, i doradzono, czy raczej nakazano, by poszła do domu, co z pewnością bardzo jej się nie spodobało. Miała ego tak wielkie jak Londyn, Victoria wiedziała więc, że czuje się obrażona i poniżona. To, co powiedziała na odchodnym, było groźbą... a skoro tak, należało powiedzieć prawdę Alistairowi.

- Coś nie w porządku, Victorio? - zapytał Alistair, wyczuwając zmianę jej nastroju.

- Ależ nie... - Bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć. - Sądzę jednak, że powinniśmy wejść do środka. Już prawie północ, czas zdejmowania masek, poza tym Laurence i panna Wright będą się dziwili, gdzie znikliśmy. - Zawróciła, by wejść.

- Mogą jeszcze trochę poczekać - powstrzymał ją dotknięciem ręki. - Co się stało, Victorio? Żałujesz, że cię pocałowałem?

Słodkie wspomnienie pocałunku uświadomiło jej, że nic nie może być dalsze od prawdy.

- Gdybym tak powiedziała, okazałabym się kłamczuchą, ale postąpiliśmy niemądrze, zachowując się w ten sposób w miejscu publicznym. - Spojrzała niepewnie na odalającą się parę. - Ktoś mógł zauważyć, że się obejmujemy.

- Sądziysz, że oni to widzieli? - Alistair pokręcił głową. - Zbyt byli zajęci sobą, by zauważyć, co dzieje się naokoło. Jest jednak coś, czego mi nie powiedziałaś. Coś, czym wciąż się martwisz.

Nie była to właściwa chwila, by zwierzać mu się z obaw dotyczących Signy. Najpierw powinien się dowiedzieć prawdy o tym, kim jest Valentine Lawe. Powiedziała jednak tylko tyle:

- Och, drobiazg. Po prostu martwię się reakcją panny Chermonde. Nie spodobało jej się to, że ją poprosiłam, żeby wyszła.

- Przywykła do tego, że ludzie jej się kłaniają, jednak przebrała miarę i zasłużyła na to, żeby pokazać jej drzwi, zresztą podobnie jak Collins.

- Czy będzie zły na ciebie za to, że go wyprosiłeś?

- Nie interesuje mnie to. Przecież zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu było przyprowadzić tu swojej kochanki. Wie doskonale, jak zareagowałyby lady Drake, gdyby sprawa wyszła na jaw. Problem w tym, że z Signy za dużo wypili. Zresztą jestem pewien, że jutro rano nie będą już o tym pamiętać.

Victoria nie była tego taka pewna, choć miała nadzieję, że Signy, gdy znajdzie się w ramionach kochanka, przestanie o tym wszystkim myśleć. Jednak nigdy nie zapomni wrogiego wyrazu jej oczu. Miała wrażenie, że nie jest to jeszcze koniec tej sprawy.

Cztery dni później okazało się, że miała rację.

Te dni okropnie przeziębiona Victoria spędziła w sypialni, a choroba uniemożliwiła jej odbycie jakże ważnej rozmowy z Alistairem. Nawet dzisiaj, czwartego dnia po balu i pierwszego po wstaniu z łóżka, co jakiś czas morzył ją sen. Pokojówka musiała zapukać dwa razy, zanim Victoria ją usłyszała i otworzyła drzwi. A gdy je otworzyła, dowiedziała się, że ojciec chce ją widzieć.

Zeszła więc do salonu, gdzie zastała ojca i stryja. Fakt, że nie było z nimi ani matki, ani stryjenki Tandy, mówił sam za siebie, jednak Victoria zaczęła obawiać się najgorszego, dopiero gdy spojrzała na ojca.

- Co się stało? - zapytała zaniepokojona.

Bracia spojrzeli po sobie, po czym odezwał się ojciec:

- Nie jest łatwo to wyrazić, moja droga, dlatego powiem po prostu: poinformowano mnie, że na twój temat krążą plotki.

- Jakie? - zapytała bardzo już zdenerwowana.

- Plotki o tym, że jesteś Valentine'em Lawe'em.

- Kto je rozpuścił? - Ciężko opadła na krzesło.

- Nie wiemy, choć można by spekulować... - Powiedz jej prawdę, John - niecierpliwie przerwał mu Theo. - Zasluguje na to, żeby wiedzieć, z czym się musi zmierzyć.

- Tak, sądzę, że tak - przyznał ojciec z westchnieniem. - Jednak bardzo mi nie odpowiada rola zwiastuna złych wieści.

- Dobrze, papo, nie jesteś takim zwiastunem - powiedziała powoli Victoria. - Bo dla mnie nie jest to aż takim zaskoczeniem. - Spojrzała na stryja. - To Signy Chermonde

powiedziała lordowi Collinsowi, że Valentine Lawe i ja to jedna i ta sama osoba, prawda? A milord dokonał reszty.

- Skąd to wiesz? - zapytał stryj, patrząc jej prosto w oczy.

- Bo tak się złożyło, że spotkałam Signy na balu maskowym u lady Drake.

- U lady Drake? Do diabła, a co ona tam robiła? - zapytał Theo. - Księżna nie ma zwyczaju zapraszać aktorek.

- Signy nie była zaproszona - sprostowała Victoria. - Przyszła tam... z lordem Collinssem.

- Z nim? - Stryj nie był już zszokowany, tylko wściekły. - Collins przyprowadził kochankę na taki bal? Czy on zwariował? Nie spodziewałbym się po nim czegoś takiego.

- Jednak to zrobił, a Signy zemściła się za to, że ją wyprosiłam. Oskarżyła mnie o to, że gram rolę, do której z braku odwagi nie chcę się przyznać. Myślę, że poinformowała lorda Collinsa o swoich podejrzeniach, a on, jak się można było spodziewać, nie zachował milczenia.

- A powinien był! Ze względu na ciebie! - powiedział z gniewem ojciec. - Jeżeli w to uwierzył, musiał zdawać sobie sprawę, że miałś poważny powód, by nie publikować pod własnym nazwiskiem.

- Wiem, papo, ale to nie ma już znaczenia, bo gdyby tego nie ujawnił lord Collins, zrobiłby to ktoś inny. Signy chciała mnie upokorzyć. Odegrać się na mnie za to, że ją wyprosiłam z balu u lady Drake. - Victoria wstała i przeszła przez pokój. W głowie jej huczało, nos miała zatkany tak, że z trudem oddychała, ale musiała tu zostać i wysłuchać wszystkiego do końca. - Jak szerokie kręgi obiegła ta plotka?

- Nie wiem - odparł ojciec. - Theo usłyszał ją w klubie. Mówi, że ktoś prosto z mostu zapytał go, czy to prawda.

- I co odpowiedziałeś, stryju? - W napięciu patrzyła na niego.

- Oczywiście, że to kłamstwo, no i że nie powinno się słuchać takich plotek.

- Ale to nie jest plotka, stryju, tylko prawda.

- Owszem, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że musimy ją potwierdzać. Co więcej, będziemy z nią walczyć, Victorio. Nikt poza rodziną nie wie, że piszesz pod pseudoni-

mem Valentine Lawe, dlatego nikt spoza rodziny nie ma prawa tego potwierdzać czy temu zaprzeczać.

- Wiedzą o tym niektóre osoby spośród służby - przypomniała Victoria.

- To prawda, ale musiały przysiąc, że nie zdradzą sekretu, a ja płacę im tyle, że będą lojalne - oznajmił Theo. - A gdy się okaże, że źródłem informacji jest aktorka, jestem pewien, że plotka przestanie być wiarygodna, a ten, kto ją powtarza, tylko się ośmieszy.

- Nie byłbym takim optymistą. Niestety, plotka nie musi być prawdziwa, żeby komuś bardzo zaszkodzić - powiedział ojciec. - Wystarczy, że istnieje. Zanim ktoś zada sobie trud, żeby się zorientować, kto ją rozpuszcza, zdąży zaszkodzić reputacji Victorii.

- Być może. Jeżeli jednak będziemy stanowczo zaprzeczali, plotka szybciej umrze - stwierdził Theo. - Jestem gotów publicznie oświadczyć, że Signy kłamie. Ważne jest coś jeszcze, nikt poza rodziną nie ma pewności, że Victoria i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba, więc Jeśli nikt z nas nie zdradzi tajemnicy, to nikt inny tego nie potwierdzi. - Spojrzał na Victorię. - Być może zabrzmiało to zbyt brutalnie, ale czy jest możliwe, że Winifred popełniła niedyskrecję w tej sprawie?

- Absolutnie nie. Siostra i mama panicznie się boją, że wyjdzie to na jaw - odrzekła Victoria. - Winifred za nic nie zdradzi tej tajemnicy ze względu na swoją reputację. - Tylko swoją, zgryźliwie dodała w duchu. - A co do Laurence'a, to wiem, że zachowuje milczenie.

- A więc źródłem tej plotki są domysły i złośliwość Signy - z westchnieniem stwierdził Theo. - Szkoda. Muszę ją zwolnić, bo nie mogę takiego zachowania akceptować w mojej trupie.

- Ależ nie! Nie możesz jej zwolnić! - zawołała Victoria. - To twoja najlepsza aktorka, bardzo jej potrzebujesz.

- Nie zaprzeczam, że ma talent, ale nie zaakceptuję takich małostkowych postępów. Zawiść, zazdrość, obmowa, intrygi, tego po prostu nie toleruję w mojej trupie. Jak i osób, do których nie mam zaufania.

- Ależ stryju, Signy nie zawiodła twego zaufania, bo przecież jestem Valentine'em Lawe'em - odrzekła zdruzgotana Victoria. - To, co powiedziała lordowi Collinsowi, jest prawdą.

- Gdybyż Collins miał na tyle przyzwoitości, żeby to zachować dla siebie! - narzekał ojciec.

- No właśnie. - Theo smętnie pokiwał głową. - A jednak zabrakło mu tej przyzwoitości. Ale najważniejsze, żebyśmy cały czas szli zwartym frontem i zaprzeczali przy każdej okazji, tak mocno i skutecznie ośmieszali tę plotkę, żeby wydawała się bardziej jeszcze śmieszna niż niewiarygodna. O ile oczywiście nie zmieniałaś zdania, Victorio, i już ci nie zależy, by ludzie nie wiedzieli, że piszesz pod pseudonimem Valentine Lawe.

Od razu pomyślała o matce i siostrze, które nigdy by jej nie wybaczyły, gdyby się ujawniła. A potem przyszedł jej na myśl Alistair. Musi z nim porozmawiać jak najprędzej, bo jeśli jeszcze nie usłyszał tej plotki, koniecznie powinien poznać prawdę z jej ust.

- Nie, stryju, nie zmieniałam zdania - odparła po chwili. - Sądzę, że ze względu na rodzinę musimy zaprzeczać. Nigdy nie myślałam, że coś takiego może się zdarzyć, ale się zdarzyło, więc trzeba sobie radzić z konsekwencjami. Mama i Winifred będą oczywiście wściekłe, sądzą jednak, że przynajmniej na razie musimy postępować zgodnie z twoją radą, stryjku.

- Czy potrafisz to zrobić, Victorio? - Theo podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach. - Czy potrafisz przekonać świat, że nie obchodzi cię, co mówią ludzie i że ta plotka jest kłamstwem?

- Spróbuję - odparła cicho. - Bo ze względu na wszystkich, którzy są w to uwikłani, nie mam wyboru.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nieszczęśliwym dla Victorii trafem Alistair usłyszał plotkę, i to w najgorszych, jakie tylko sobie można wyobrazić, okolicznościach. Na balu u państwa Bentleyów-Hyde'ów, gdy stał w towarzystwie rodziny oraz dwóch największych plotkarzy z wyższych sfer, lorda Mortimera i sir Nigela Gunstocka, podeszła do nich podekscytowana lady Sarah Millingham.

- Czy słyszeli państwo plotki na temat Victorii Bretton?

Alistair zeszywniał, natomiast Isabelle spontanicznie spytała:

- Jakie plotki?

- Wstydź się, Isabelle - powiedziała lady Kempton. - Dama nie zachęca do plotkowania.

- Tak czy inaczej, usłyszycie państwo o tym przed końcem tego wieczoru - odrzekła lady Sarah. - Mówi się, że panna Victoria Bretton to tak naprawdę Valentine Lawe! Słyszałam o tym u modystki. Ta wiadomość wzbudza sensację.

Alistairowi odebrało mowę. Victoria Bretton jest słynnym dramaturgiem?! Nie możliwe! Przecież nie była zdolna do takiej mistyfikacji, poza tym nigdy świadomie nie wprowadzałyby go w błąd... - Obawiam się, lady Sarah - powiedział - że ktoś sobie z pani zażartował. Panna Bretton nie jest osobą, która by potrafiła udawać, że nie jest kimś, kim tak naprawdę jest.

Młoda dama struchlała pod jego spojrzeniem.

- Nie mogę przysiąc, że to prawda, panie Devlin, jednak źródło tej plotki jest wiarygodne.

- A kto jest tym źródłem? - zapytał lord Kempton.

- Lord Collins.

- Bertie?! - syknął Alistair.

- Naprawdę? - włączył się archidiakon, unosząc brwi.

- Ciekawe, skąd zaczerpnął tę wiedzę.

- O ile wiem, ostatnio spędza mnóstwo czasu w teatrze Gryf - z uśmiechem powiedział lord Mortimer. - Być może tam to od kogoś usłyszał.

Sir Nigel stłumił śmiech, jednak Alistair nie widział w tym nic śmiesznego.

- To nie wyjaśnia, dlaczego panna Bretton miałaby udawać, że nie jest kimś, kim jest, ani dlaczego miałaby pisać sztuki pod fałszywym nazwiskiem.

- A ja widzę kilka powodów - oznajmił sir Nigel. - Jej matka jest zagorzałą przeciwniczką teatru i w ogóle wszystkiego, co ma z teatrem coś wspólnego. Najwyraźniej jej ojciec należał do tych gorliwych duchownych, którzy żyją zgodnie z przykazaniami i nie pozwalają rodzinie interesować się grzesznymi rozrywkami. Bez wątpienia pani Bretton w ten sam sposób wychowywała swoje dzieci, dlatego nie może się pogodzić z tym, że jej szwagier jest właścicielem teatru, a także że on i jego żona byli kiedyś aktorami.

- A na dodatek Lawe ma zacięcie do satyry i w niejednej ze swoich sztuk wykpiwa ludzi z towarzystwa - zauważył lord Mortimer. - To oczywiste, że dobrze urodzona młoda dama absolutnie nie chce, by ludzie wiedzieli, że sobie z nich drwi. To z pewnością nie pomogłoby jej zaspokoić małżeńskich aspiracji.

- Jeżeli w ogóle takie ma - wtrącił sir Nigel. - Owszem, panna Bretton jest piękna, wygląda mi jednak na to, że niespecjalnie pragnie zamążpójścia.

- Tak czy inaczej, nie jest dobrze, gdy młoda dama ma tak bliskie związki z teatrem - dodał archidiakon. - Pamiętam, że gdy ją poznałem w operze, pozwoliła sobie wyrazić kategoryczną opinię o poziomie wykonawców. Doprawdy, zdumiała mnie jej śmiałość.

- Nie ma nic złego w tym, że kobieta zna się na teatrze - odezwał się Alistair, mobilizując całą cierpliwość. - Panna Bretton jest niezwykle odcytana, a jej zamiłowanie do teatru w naturalny sposób wzmacnia pokrewieństwo ze stryjem.

- A ja ją bardzo lubię - odezwała się rozemocjonowana Isabelle. - Panna Bretton to osoba pod każdym względem godna podziwu. A ja, choć czuję się rozczarowana faktem, że Valentine Lawe to nie ten dżentelmen, za którego go brałam, nie mam nic przeciwko temu, żeby błyskotliwym autorem sztuk była właśnie ona.

- Isabelle, poskrom swój język! - upomniał ją lord Kempton. - Nie chcę od ciebie słyszeć takich rzeczy! Nie waż się bronić kobiety, która w sposób oczywisty okłamywała wszystkich, którzy ją znają. Bardzo to źle świadczy o jej charakterze! Jak też o jej rodzinie.

- No tak, bo rodzina musiała o wszystkim wiedzieć - powiedział archidiakon. - Wobec czego ma swój udział w kłamstwie.

- A skoro tak - włączył się lord Mortimer, śmiejąc się już całkiem otwarcie - to kto wie, jakie inne szkielety wypadną z ich szafy. Najlepiej więc w ogóle nie otwierać drzwi.

Alistair miał już tego dość. Nie mógł znieść dalszych kpín z Victorii, a przy tym odrzucał myśl, że go okłamywała. To nie było zgodne z jej charakterem. No i po prostu nie było możliwe, żeby kobieta, którą trzymał w ramionach i namiętnie całował, kiedykolwiek go oszukała.

Nie, nie. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że Collins się pomylił, albo Si-gny Chermonde, rozwścieczona tym, że Victoria wyprosiła ją z balu, zemściła się na niej w ten sposób. Tak czy inaczej, Alistair postanowił przed końcem dnia rozwiązać tę zagadkę. Bez względu na to, gdzie będzie musiał pójść i kogo sprawdzić, pozna prawdę. Postanowił też sprawić, żeby winowajca znalazł się jutro rano w domu Victorii z należnymi przeprosinami.

Poszukując lorda Collinsa, Alistair trafił do jego ulubionego domu gry. To znaczy klubu przy Bennett Street, który, choć nie cieszył się najgorszą opinią, był znany z gry o wysokie stawki oraz z tego, że ogrywano tam młodych arystokratów, zbyt naiwnych, by wiedzieć, że w takie miejsca się nie chodzi.

Collins był w jednym z pokoiów na piętrze. Przyglądał się grze w faraona, a zaczerwieniona twarz świadczyła, że sporo wypił. Gdy w drzwiach zobaczył przyjaciela, wstał i zataczając się, przeszedł przez pokój.

- Dev, mój stary! - Objął Alistaira jedną ręką i uśmiechając się szeroko bez cienia poczucia winy, zapytał: - Czemu zawdzięczam taką przyjemność?

- Wątpię, czy będzie ci przyjemnie, kiedy ci powiem, dlaczego tu jestem - powiedział cicho Alistair, uwalniając się z jego objęć. - Muszę z tobą pomówić na osobności.

- Cóż, tutaj tego nie znajdziesz. - Collins popatrzył na stoliki oblegane przez graczy i widzów.

- Skoro tak, to chodźmy na korytarz. - Alistair ruszył przodem, ciągnąc za sobą Collinsa, i zamknął za sobą drzwi.

A na korytarzu stanął twarzą w twarz z przyjacielem, którego mina świadczyła, że wciąż nie ma pojęcia, w czym zawinił.

- O co chodzi, Dev? Wyglądasz na zdenerwowanego.

- Bo jestem! - burknął Alistair. - Czy to prawda, że to ty rozpuściłeś tę śmiechu wartą plotkę, że Victoria Bretton i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba?

- Ależ nie! - Collins zaczerwienił się jeszcze bardziej. - Ten, kto tak twierdzi, kłamie!

- Dlaczego miałby kłamać?

- Nie wiem. A dlaczego ty miałbyś oskarżać mnie o wymyślenie takiej plotki?

- Bo twoją kochanką jest Signy Chermonde, a obaj wiemy, że ma pretensję do panny Bretton o to, że wyprosiła ją z balu. A teraz się mści, wymyślając niestworzoną historię, którą opowiedziała tobie, bo wie, że zaraz to rozgłosisz wśród ludzi z wyższych sfer.

Na te słowa szeroki uśmiech zniknął z twarzy Collinsa.

- No tak - powiedział zdetonowany. - Teraz, kiedy o tym mówisz, coś mi się przypomina. Signy wspomniała o czymś takim, a ja napomknąłem o tym u Jacksona - przyznał z zakłopotaniem. - Ale kazałem wszystkim przysiąc, że dochowają tajemnicy, a oni zapewnili mnie, że nie pisną o tym ani słowa.

- No to radzę ci znaleźć przyjaciół bardziej godnych zaufania - wycedził Alistair. - Dlaczego w ogóle o tym gadałeś? Przecież musiałeś wiedzieć, że to mistyfikacja.

- Signy tak nie uważa. Przeciwnie, sądzi, że Victoria Bretton naprawdę pisze pod pseudonimem Valentine Lawe.

- Ależ to nonsens!

- Naprawdę? Fakty świadczą o czymś innym.

- Jakie fakty?

- Na przykład to, że panna Bretton często bywa na próbach w teatrze, jednak tylko wtedy, kiedy są to próby jednej ze sztuk Valentine'a Lawe'a. Signy słyszała też kilka razy, jak Templeton rozmawia z nią o tych sztukach, na przykład omawiali sposób przedstawienia postaci.

- Po prostu panna Bretton ma oko do takich rzeczy - powiedział Alistair, przypominając sobie, że spotkał Victorię wychodzącą z teatru o wpół do jedenastej. - Nie oznacza to jednak, że Valentine Lawe i ona to jedna i ta sama osoba.

- Ale nie oznacza też, że to dwie różne osoby - odparował Collins. - Bo pomyśl tylko... Jak dobrze się nad tym zastanowić, to dlaczego nie miałyby pisać pod takim pseudonimem? Jak dotąd nikt nie widział Valentine'a Lawe'a. Tajemniczy autor ukrywa się niczym pustelnik. Tylko po co? Jego sztuki są grane przy pełnych widowniach, a krytycy je uwielbiają, więc po co ta cała ucieczka przed światem?

- Cóż, to jego sprawa - powiedział oschle Alistair. - Jeżeli chciałbym żyć jak pustelnik, uznałbym to za moją prywatną sprawę.

- Ale pomyśl tylko, Dev. Nikt tego człowieka nigdy nie widział, a on pisze już od... ilu lat? Nie sądzisz, że to dziwne, że nikt nie wie, gdzie Valentine Lawe mieszka, gdzie bywa, kim są jego służący albo co robi, gdy nie jest zajęty pisaniem?

Alistair nie uważał tego za dziwne, ponieważ aż do tej chwili nigdy się nad tym nie zastanawiał. Jednak teraz musiał przyznać, że Collins ma rację. Nikt z jego znajomych nie znał słynnego dramaturga, nie krążyły o nim żadne plotki. Właściwie było tak, jakby ten człowiek nie istniał. Zatem czy mylił się, wierząc tak niezachwianie w niewinność Victorii?

Ufał kobietom, jednak tylko do czasu, gdy został przez nie perfidnie oszukany. Lady Frances Shaftsbury oraz Celeste Fontaine. Obie sprawiły, że wierzył w coś, co było nieprawdą... i z tego właśnie powodu on tak rozpaczliwie pragnął wierzyć, że Victoria jest prawdomówna. Bo w końcu to ona uciekała przed nim. To ona od samego początku twierdziła, że do siebie nie pasują. Mówiła tak, bo było coś, czego nie mogła mu powiedzieć i nie chciała ryzykować, by prawda została odkryta.

Sama myśl o kłamstwie napawała go obrzydzeniem.

- Tak czy inaczej, nie daje ci to prawa do rozpuszczania plotek o pannie Bretton. Nie potrafisz przecież sprawdzić, czy są prawdziwe - powiedział Alistair, nie zamierzając wyjawiać Collinsowi swoich wątpliwości. - Panna Bretton jest damą w każdym sensie tego słowa, a taka plotka może zrujnować jej reputację.

- Śmiem twierdzić, przyjacielu, że jej reputacja była już splamiona w chwili, gdy ją poznałeś - odparł Collins. - Powiedziałem ci to już wtedy, w teatrze. Posłuchaj mojej rady i poślub pannę Millingham. Jest ładną młodą klaczką, a gdy urodzi ci potomka, poszukasz towarzyski zabaw gdzie indziej. Tak czynią dżentelmeni naszego pokroju.

Alistair nie zabawił długo w domu gry. Usłyszał już wszystko, co chciał usłyszeć od Bertiego, i bardzo mu się to nie spodobało. Nadal jednak były to tylko plotki i domysły, a przecież musiał poznać prawdę, dlatego ruszył do Gryfa. Nie wybiła jeszcze północ, więc Signy wciąż pewnie była w teatrze, a nawet gdy jej już nie zastanie, porozmawia z Templetonem i przekona się, co ten dżentelmen wie na ten temat.

Miał szczęście, bo gdy zajechał przed teatr, jego właściciel schodził po głównych schodach.

- Templeton, proszę na słówko.

- Pan Devlin? Dziwię się, widząc pana tutaj o tej porze.

- Mam sprawę do panny Chermonde. Czy jeszcze tu jest?

- Boże drogi, nie! Wyszła ponad dwie godziny temu.

- Nie szkodzi, więc porozmawiam z panem. Otóż dotarła do mnie bardzo niepokojąca plotka, którą podobno rozpuścił ktoś z pańskiej trupy.

- Nie podoba mi się pański ton. - Templeton zmarszczył brwi. - Najlepiej niech mi pan powie prosto bez ogródek, o co chodzi.

- Zachowuje się pan, jakby nie wiedział, w czym rzecz. Naprawdę mam uwierzyć, że nie słyszał pan plotki o tym, jakoby pańska bratanica, Victoria Bretton, ukrywała się pod pseudonimem Valentine Lawe?

- Victoria ma być tym dramaturgiem? - Templeton roześmiał się. - Boże drogi, jakie to intrygujące.

- Proszę wybaczyć, że nie dzielę pańskiego rozbawienia. Dla mnie to nie jest zabawne.

- No tak, oczywiście. Ale przecież nie wierzy pan w tę plotkę.

- Nie, ale wiem z dobrego źródła, że pańska aktorka rozpuściła ją, by dokuczyć panie Bretton albo nawet ją skompromitować. Tą osobą jest Signy Chermonde.

- Signy? - Wyraz rozbawienia zniknął z twarzy Templetona. - Dlaczego Signy miałyby zrobić coś takiego?

- Bo panna Bretton i ja spotkaliśmy ją i lorda Collinsa na balu u lady Drake. Choć wspólnie ich stamtąd wyprosililiśmy, panna Chermonde miała to za złe tylko pannie Bretton, dlatego zemściła się na niej, rozpuszczając tę plotkę.

- To ciężkie oskarżenie, Devlin - powiedział Templeton już z wielką powagą.

- Wiem, i dlatego nie podchodzę lekko do tej sprawy. Nie pozwolę, żeby reputacja panny Bretton ucierpiała z powodu nieodpowiedzialnego postępowania złośliwej aktorki.

- Jeżeli tak jest, to mogę pana zapewnić, że panna Chermonde dostanie reprimendę - oznajmił stanowczym tonem Templeton. - Tego rodzaju uwłaczające plotki nie wychodzą na dobre nikomu. To niesłychane, aby ktokolwiek myślał, że Victoria i Valentine Lawe to ta sama osoba!

- Ja też sądzę, że to niesłychane - powiedział Alistair, czując niejaką ulgę. Przecież Templeton, jedyny człowiek, który osobiście znał Valentine'a Lawe'a, zdecydowanie zaprzeczył plotce. - Niestety, ponieważ Valentine'a Lawe'a nie widział nigdy nikt prócz pana, jest wielu, którzy chcą w to wierzyć. - Przerwał na moment, po czym dodał znacząco: - Również i ja mam wątpliwości, czy on w ogóle istnieje.

- O, z pewnością istnieje. Ktoś musiał przecież napisać te sztuki - powiedział Templeton. - I z całą pewnością nie napisałem ich ja.

- No to niech pan wreszcie ujawni, kim jest Valentine Lawe! Ze względu na pańską bratanicę, jeżeli nie ze względu na siebie czy na mnie.

- Przykro mi, panie Devlin, ale nie mogę tego zrobić - odrzekł z żalem Templeton. - Dałem słowo, że tego nie ujawnię, a słowo to słowo. Jednak Victoria nie może cierpieć z powodu małostkowej natury i godnej pożałowania zemsty panny Chermonde. Porozmawiam z nią jutro z samego rana.

Zadowolilo to Alistaira. Przestał się tak bardzo martwić o Victorię. Nie powinien był wątpić w jej słowo. Była przecież dobrze wychowaną panną z dobrego domu, odróżniała dobro od zła i brzydziła się kłamstwem. On zaś nie pozwolił żadnej aktorce jej uwłaczać, bez względu na to, co sądzą o tym jego ojciec, szwagier czy całe wyższe sfery. Tak, pokaże im wszystkim, co myśli o tym niedorzecznym oskarżeniu.

Kocha Victorię i wierzy w nią. I udowodni to, robiąc jedyną rzecz, która wykluczy wszelkie wątpliwości.

Wbrew wysiłkom rodziny plotka o tym, że Victoria pisze pod pseudonimem Valentine Lawe, wcale nie umarła. Matka i Winifred były wściekle, bo pan Fulton zainteresował się nagle inną panną, a lorda Valbourga nie udawało się nigdzie spotkać.

- To wszystko twoja wina! - wykrzyczała pewnego dnia przy śniadaniu Winifred. - Gdybyś tak skandalicznie nie postępowała, byłabym już zaręczona z panem Fultonem! Ale on słyszał tę plotkę i zaczął zalecać się do panny Daversham. Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś?

- Przecież nic ci nie zrobiłam, Winifred - powiedziała Victoria znużonym tonem. - Nigdy nie chciałam, żebyś cierpiała lub by cierpiał ktokolwiek inny z rodziny.

- Ale my cierpimy! A ty, gdyby cię to obchodziło, spróbowałabyś temu wszystkiemu zaradzić! - piekliła się Winifred.

Do pokoju wszedł Quince i wręczył list panu Brettonowi, który oddał go Victorii, bo do niej był zaadresowany.

- Victoria dostaje listy? - zapytała Winifred z pełnymi ustami. - Od kogo?

- Jeśli twoja siostra zechce, byś to wiedziała, na pewno ci powie - odrzekł ojciec, wracając do czytania gazety.

- No więc? Kto go przysłał, Vicky? - nalegała Winifred.

Victoria złamała pieczęć, rozłożyła arkusik i zbladła, gdy zobaczyła podpis nadawcy.

- List jest... od pana Devlina.

- Od Devlina? - Ojciec odłożył gazetę. - Nie wiedziałem, Victorio, że znasz tego dżentelmena na tyle dobrze, by otrzymywać od niego korespondencję.

- Czego on chce? - zapytał Laurence, odrywając wzrok od książki.

Victoria przebiegła wzrokiem list, który był krótki i rzeczowy.

- Chce mnie dzisiaj odwiedzić, o drugiej - powiedziała. - W bardzo ważnej sprawie.

- W bardzo ważnej sprawie? - Matce aż zabrakło tchu. - Och, Boże drogi! On chce ci się oświadczyć!

- Nic podobnego! - powiedziała Victoria, składając szybko list. - Sądzę, że chce pomówić ze mną o tej plotce. Co mam mu powiedzieć, jeżeli o nią zapyta?

- To, co sama uznasz za najśluszniesze - powiedział ojciec.

- Z wyjątkiem prawdy! - dodał Laurence. - Pamiętaj, co mówił stryj Theo. Musimy działać jak zwarty oddział i twardo zaprzeczać plotce przy każdej okazji. Wczoraj naga-bywano mnie na ten temat, a ja stanowczo zaprzeczyłem.

- Ale jak ja mogę okłamywać właśnie jego? - Jej głos zadrżał. - Człowieka, który był ze mną tak szczery?

- A jak zareagowałby pan Devlin, gdybyś powiedziała mu prawdę i poprosiła, żeby jej nie ujawniał? - zapytała Winifred.

- Nie mogę go o to prosić! Wystarczy, że go okłamałam. Nie mogłabym jeszcze na dodatek nalegać, żeby zachował tajemnicę. - Spojrzała na zegar. Alistair miał przyjść o drugiej, a było wpół do jedenastej. Miała trzy i pół godziny na podjęcie decyzji.

Trzy i pół godziny na podjęcie decyzji, czy będzie szczerą z mężczyzną, którego kocha, i zaryzykuje, że w jego oczach straci dobrą opinię, czy będzie go nadal oszukiwać i straci twarz we własnych oczach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak zawsze gdy czeka się na coś, czego chciałoby się uniknąć, godziny płynęły Victorii zbyt szybko. Zanim się zorientowała, usłyszała bicie stojącego na kominku zegara. Była za kwadrans druga. Miała zatem jeszcze piętnaście minut.

Na szczęście matki i siostry nie było w domu. Co za ulga, westchnęła w duchu, gdyż sama myśl o tym, że matka uczestniczyłaby w rozmowie z Alistairem, była wprost okropna. Ponieważ jednak nie mogła spotkać się z Alistairem w cztery oczy, Victoria poprosiła o asystę Laurence'a, jako że obecność ojca wskazywałaby na to, że spodziewa się oświadczyć.

Zatem za dziesięć druga brat i siostra weszli do salonu i usiedli w oczekiwaniu na gościa, Victoria na dwuosobowej małej kanapie na lewo od kominka, a Laurence przy sztalugach w rogu pokoju. Doszedł bowiem do wniosku, że rozmowa przebiegnie łatwiej, jeżeli zajmie się czymś konkretnym, czyli usunie się w cień. Dlatego gdy Alistair punktualnie o drugiej został wprowadzony do salonu, Laurence pracowicie tworzył jakiś obraz, podczas gdy Victoria była pochylona nad robótką.

Skwitował obecność Laurence'a krótkim skinieniem głowy, a potem z serdecznym uśmiechem zwrócił się do Victorii:

- Panno Bretton, dziękuję, że pani zgodziła się mnie przyjąć. - Wybrał krzesło z wysokim oparciem stojące naprzeciwko niej, a tyłem do Laurence'a, po czym dodał: - Sądzę, że wie pani, dlaczego przychodzę.

- Tak... chyba tak - odrzekła Victoria, zagryzając wargi.

- To dobrze. Biorąc pod uwagę to, co zaszło między nami podczas balu, miałem nadzieję, że będzie się pani spodziewała mojej wizyty.

- To co zaszło między nami podczas balu? - powtórzyła niepewnie, spoglądając na niego znad robótki.

- No tak. - Alistair pochylił się ku niej. - Chyba pani o tym nie zapomniała?

Oczywiście, że nie zapomniała! Będzie to pamiętać nawet jako stuletnia staruszka. Ale ani przez chwilę nie przypuszczała, że taki jest powód tej wizyty.

- Owszem, pamiętam, ale myślałam, że jest to... niemożliwą do zrealizowania fantazją.

- Ja tak nie myślałem - zapewnił Alistair. - Byłem najzupełniej poważny.

- Jednak czy może pan to kontynuować... wiedząc o mnie to, co pan zapewne słyszał?

- Ma pani na myśli tę absurdalną plotkę, że pani i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba?

Z rogu salonu dotarł do nich dźwięk rozbijanego szkła, a potem ciche przekleństwo.

- Przepraszam - powiedział Laurence. - Ależ ze mnie niezdara. Strąciłem z gzymsu dzban z wodą.

- Och, nic się nie stało - skomentowała Victoria, starając się uśmiechnąć. - Niewielka strata. Zaraz, a gdzie ty się wybierasz? - spytała, gdy brat ruszył do drzwi.

- Po ścierkę. Mama nie byłaby uradowana, gdybym wytarł podłogę serwetą. Zaraz wracam.

Victoria znowu zagryzła dolną wargę, natomiast Alistair uśmiechnął się, gdy drzwi zamknęły się za Laurence'em.

- W samą porę - powiedział. - Sądzę, że pani brat domyślił się, po co przyszedłem.

W przeciwieństwie do mnie! - pomyślała zdenerwowana Victoria. Sposób, w jaki Alistair na nią patrzył... z taką powagą... przecież nie zamierza... - Victorio, wiem, że pani się tego nie spodziewa - powiedział, starając się mówić spokojnie. - Jednak poczułem do pani coś, czego nigdy jeszcze nie czułem do nikogo. Nie mogę przestać o pani myśleć i chcę, żeby pani wiedziała o moim uczuciu...

Nie, to nie może być prawda, pomyślała Victoria, w jednej sekundzie przepełniona zachwytem, a w drugiej zrozpaczona. No tak, nie przyszedł rozmawiać o plotce, tylko żeby się oświadczyć! I z pewnością, korzystając z nieobecności Laurence'a, zaraz to zrobi!

A jemu przecież nie wolno tego robić! Nie wolno, dopóki nie pozna wszystkich faktów! Gdyby wiedział o niej wszystko, nie wyznawałby jej tak szczerze swego

uczucia. Potępiłby ją i obwinił. Dlatego ona - ze względu zarówno na niego, jak i na siebie - powinna go powstrzymać od wymówienia tych najważniejszych słów.

- Panie Devlin...

- Alistairze.

- Nie. Nie może być między nami takiej poufałości, dopóki pan nie pozna prawdy.

- Prawdy?

- Tak. Prawdy o mnie. O plotkach, które głoszą, że Valentine Lawe to ja.

- Najmilsza dziewczyno, przecież wiem, że to nieprawda. Wiem, jak szczerą i bezpośrednią jesteś osobą. Na samym początku naszej znajomości ostrzegłaś mnie, że do siebie nie pasujemy - powiedział Alistair. - Powiedziałaś, że lubisz mówić prosto z mostu, co myślisz, że jesteś pewna siebie, a moja reputacja ucierpi, jeżeli będę z tobą widywany. Ale od tamtej pory poznałem cię lepiej i nie dostrzegłem w tobie nic, co mogłoby sprawić, bym pomyślał o tobie inaczej niż jako o osobie szczerzej w kontaktach ze mną i z innymi.

- Ale to, co Signy o mnie powiedziała...

- Kierowała się zawiścią, zazdrością i godnym ubolewania pragnieniem zemsty - oznajmił kategorycznie Alistair. - Była wściekła, że ją wyprosiłaś z balu, i chciała się odegrać, rozpuszczając plotkę. Powiedziałem to Collinsowi, kiedy usiłował mnie przekonać, że plotka jest prawdziwa.

- Rozmawiał pan o tym z lordem Collinsem? - spytała niemal bez tchu.

- Oczywiście. Od razu do niego pojechałem, gdy tylko się zorientowałem, że to on rozpuścił plotkę, i powiedziałem mu, co o tym myślę!

- Och nie! Proszę to odwołać!

- Nie mogę. Jasno mu wszystko wyłożyłem, bez ogródek, prosto z mostu. Powiedziałem, że żaden dżentelmen, a już zwłaszcza mój przyjaciel, nigdy by nie pozwolił, by w taki sposób obrażono damę. A co do panny Chermonde, to sądzę, że za rozpuszczanie plotek powinna zostać usunięta z trupy.

- Rozmawiał pan też z moim stryjem? - Victoria pobladła. - I co on powiedział?

- Że panna Chermonde bardzo go zawiodła i że zajmie się tym przy najbliższej sposobności.

Poczuła się już absolutnie okropnie. Sytuacja była jeszcze gorsza, niż się obawiała. Alistair nie tylko bronił jej przed najlepszym przyjacielem i zadał kłam mówiącej prawdę Signy, ale poprosił stryja o wyciągnięcie wobec niej konsekwencji. Naprawdę, pomyślała, muszę położyć temu kres.

- Panie Devlin, proszę mnie wysłuchać i postarać się zrozumieć. - Wstała, by uniknąć jego spojrzenia. - Nigdy nie miałam zamiaru kogokolwiek oszukiwać...

- Nikt nie został oszukany.

- Przeciwnie, panie Devlin. Niestety, został - powiedziała pośpiesznie. - Pan został oszukany, bo prawda jest taka, że ja i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza, wreszcie Alistair spytał cicho:

- Pani jest Valentine'em Lawe'em?

- Tak.

- To niemożliwe. - Wpatrywał się w nią bez uśmiechu. - Nigdy nie wspomniała mi pani o tym ani słowem...

- Bo nie mogłam nic panu powiedzieć. Obiecałam mamie, że nie ujawnię prawdy nikomu - odparła zgnębiona Victoria. - Była bardzo zła, gdy się dowiedziała, że napisałam sztukę, a już całkiem się przeraziła, gdy stryj powiedział, że chce ją wystawić. Tak bardzo się tym zdenerwowała, że aż zaniemogła. Dlatego obiecałam jej, że nigdy nikomu nie powiem, co robię, a pisać będę tylko pod pseudonimem, by nikt się nie dowiedział, że to ja jestem autorką tych sztuk.

Ponownie zapanowała cisza, wreszcie Alistair powiedział lodowatym, beznamietnym tonem:

- Więc pani mnie okłamała.

- Nie! Nigdy przecież nie mówiłam, że nie jestem Valentine'em Lawe'em.

- Ale też nigdy pani nie powiedziała, że nim jest, choć było ku temu kilka okazji. Ten wieczór, kiedy się poznaliśmy i kiedy powiedziałem, że bardzo mi się sztuka podobała. Wieczór u Holcombe'ów, kiedy rozmawialiśmy o pani miłości do teatru. A nawet ten poranek w Hyde Parku, kiedy Isabelle powiedziała pani, jak bardzo pragnie poznać Valentine'a Lawe'a. Przy żadnej z tych okazji pani się nie ujawniła. Nawet słówkiem nie

napomknęła pani, że to pani jest osobą, którą Isabelle tak uwielbia. Jak pani mogła jej to zrobić? Jak pani mogła tak w żywe oczy kłamać?

- To nie tak - powiedziała zrozpaczona Victoria. - Czy pan nie rozumie, że nie mogłam powiedzieć prawdy? Obiecałam to mojej rodzinie, a już szczególnie matce i siostrze. Owszem, nic nie mówiłam, ale przecież nie kłamałam.

- Niestety, nigdy nie gustowałem w czymś, co niektórzy cynicznie zwą prawdą przez przemilczenie. Zaiste, interesujące określenie kłamstwa - odrzekł oschle. - Bronilem pani, panno Bretton. Zakwestionowałem uczciwość przyjaciela i broniłem pani przed swoją rodziną. Ale wygląda na to, że lepiej wiedzieli, kim pani jest.

- Przepraszam - wyszeptała Victoria, gdyż te oskarżenia złamały jej serce. - Była chwila... w której myślałam... te pan wie. Tego wieczoru, kiedy powiedział pan kuzynce Isabelle, że pozna Valentine'a Lawe'a, zanim wyjedzie z Londynu. Patrzył pan wtedy na mnie i... myślałam, że pan się domyślił...

- Niczego się nie domyśliłem. Dawałem pani do zrozumienia, że jestem rozbawiony głupim zadurzeniem Isabelle w człowieka, którego nie widziała na oczy. Powiedziałem to, co powiedziałem, mając nadzieję, że w ten sposób poprawię jej humor. Gdybym wiedział, że słynny dramaturg stoi przede mną, nie zrobiłbym z siebie takiego idioty.

- Ależ pan nie...

- Tak, panno Bretton, zrobiłem z siebie idiotę. A na dodatek zasugerowałem pani stryjowi, żeby zwolnił z pracy Signy Chermonde, bo jest przepelnioną złością intrygantka i osobą pozbawioną sumienia. Ależ musiał się uśmieć i ze mnie, i z mojej łatwowierności.

- To nieprawda! Nie uśmieł się! - zawołała Victoria. - Nie próbowaliśmy oszukać nikogo!

- Ciekawe, co pani powiedziała, skoro oszukaliście połowę Londynu! - powiedział gniewnie Alistair. - Wszystkich, którzy chodzili do teatru na te wasze sztuki. Wszystkich, którzy rozmawiali z wami o ich autorze. Oszukaliście ich wszystkich. A mnie najbardziej...

- Alistairze, błagam...

- Nie! Ufałem pani, panno Bretton. Uwielbiałem panią, bo myślałem, że różni się pani od wszystkich innych kobiet. Szanowałem panią za odwagę mówienia tego, co pani myśli. Proszę mi wierzyć lub nie, mogłem zaakceptować fakt, że pisze pani dla teatru, ale nie mogę się pogodzić z brakiem szczerości. Kłamać mi tak przekonująco prosto w oczy... Jak mógłbym mieć kiedykolwiek pewność, że mnie pani nie okłamie ponownie?

- Przepraszam - powiedziała Victoria, czując, że serce jej pęka. - Nigdy nie chciałam pana zranić...

- Proszę się nie trudzić, mnie zranić nie jest łatwo - powiedział z lodowatą wyniosłością. - Cóż, w sumie dobrze się stało, że w porę poznałem prawdę, bo to nam oszczędzi dalszych cierpień w przyszłości. - Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Zawahał się jednak i dodał: - Nie musi się pani bać, że zdradzę pani tajemnicę. Ze względu na to... co dla pani czułem, będę milczał. Ale dałem pani już więcej niż jakiegokolwiek innej kobiecie. Niech więc pani nie prosi o cokolwiek jeszcze.

Przez resztę tygodnia Victoria przebywała w swoim pokoju. Nie przyjmowała gości i odmawiała składania wizyt. Nie napisała też ani słowa. Pamiętała oburzenie Alistaira, pamiętała jego zaskoczenie, które tak szybko zamieniło się w odrazę. Wciąż miała w pamięci ten lodowaty ton oznajmiający koniec między nimi. I rozdzierało jej to serce. Nie mogła jeść, nie mogła spać, nie mogła myśleć.

Od brata dowiedziała się, że gadanina na jej temat w końcu przycichła. Pewnie dlatego, że mężczyźni z jej rodziny uparcie plotce zaprzeczali, a matka na wzmiankę o niej zachowywała się tak lodowato, że przestano w jej obecności o tym mówić. A poza tym, jak przewidział ojciec, wkrótce pojawiła się nowa i wielce ekscytująca plotka dotycząca pewnej utytułowanej damy, która, grając w karty, straciła tyle, że omal nie doprowadziła do bankructwa niedawno poślubionego męża.

Ponieważ jednak Alistair znał prawdę i nie chciał mieć z Victorią więcej do czynienia, nie było to dla niej żadnym pocieszeniem. Była zboląta i przygnębiona ponad wszelkie wyobrażenie, bowiem po ich ostatniej rozmowie zdała sobie sprawę, jak głęboko kocha Alistaira Devlina.

Uświadomiła też sobie, że wskutek własnej głupoty straciła go na zawsze.

Ból, który czuła, osłabiał ją, ostre jak brzytwa cierpienie sprawiało, że tęskniła za ciemnością nocy i ucieczką w sen. Lecz gdy się budziła, wracał dojmujący smutek, a wraz z nim pojawiały się łzy. Brat wiedział, jak bardzo Victoria cierpi. Tydzień po rozmowie z Alistairem zabrał ją do amfiteatru Astleya na pokazy hipiczne, lecz choć był świetnym kompanem, a pokazy doskonałą rozrywką, Victoria ani na moment nie wyrwała się z przygnębienia.

- Musisz się z tego otrząsnąć, Vicky - powiedział Laurence, gdy wychodzili z amfiteatru. - To, co robisz, szkodzi twojemu zdrowiu. Rozchorujesz się poważnie.

- Nie mogę nic na to poradzić, Laurie. Tak bardzo za nim tęsknię - odparła. - Kiedyś nawet nie myślałam o tym, że mogłabym jakiegokolwiek mężczyznę darzyć takim uczuciem.

- Miłość... Cholernie niewygodna rzecz - przyznał miękko Laurence. - Zwłaszcza gdy zakochamy się w niewłaściwej osobie.

Coś ją tknęło w jego tonie, dlatego spytała:

- Ty nie wdychasz wciąż do Signy, prawda?

- Nie. - Niby się roześmiał, ale był zażenowany. - Już wiem, że było to głupie zadurzenie, a zawsze wiedziałem, że nie ma żadnej przyszłości. Ale to nie znaczy, że nie wolno mi marzyć o czymś takim - zakończył dość tajemniczo.

- Na pewno gdzieś na świecie żyje kobieta stworzona dla ciebie, mój drogi. - Wsunęła mu rękę pod ramię. - Pewnego dnia uszczęśliwisz ją, ale pod warunkiem, że wystawisz głowę spośród książek na wystarczająco długo, by zauważyć swoją wybrankę.

- Nie żyję tylko wśród książek - odparł cierpko. - Pewnego wieczoru poszedłem do okropnego klubu karcianego. Tylko nie mów o tym mamie.

- Laurie! Nie wierzę! Gdyby mama się dowiedziała, odchorowywałaby to przez tydzień.

- Dlatego nie mam zamiaru jej o tym mówić. Jest wystarczająco zdenerwowana... - Urwał gwałtownie. - To znaczy...

- W porządku, wiem, co chciałeś powiedzieć. I masz rację. - Już się nie uśmiechała. - Cała rodzina z różnych powodów jest wyprowadzona z równowagi. Winifred prawie ze mną nie rozmawia, mama zachowuje się lodowato, nawet papa jest zdeprymowany.

Nigdy bym nie pomyślała, że postępowanie jednej osoby może tak całkowicie rozbić rodzinę. Cóż, to moja wina. Dlatego postanowiłam... - Urwała na moment. - Laurie, postanowiłam, że już nie będę pisała sztuk teatralnych.

- Co takiego? - Brat aż przystanął. - Nie możesz przestać pisać!

- Mogę. Myślałam o tym bardzo wiele. Jest to jedyne dobre rozwiązanie. Gdy „Wybór damy” zejdzie z afisza, nie będzie więcej żadnych sztuk Valentine'a Lawe'a. Naraziłam już rodzinę na zbyt wielki wstyd, przez co wszyscy cierpimy. Ale ty wiesz, że nie było to nigdy moim zamiarem.

- Oczywiście, siostrzyczko. Wiem jednak także, że nie możesz przestać pisać. Nie jeden za taki talent, którym zostałaś obdarzona, dopuściłby się przestępstwa. Nie możesz tak po prostu wyrzucić tego daru na śmietnik! Nie możesz udawać, że nie istnieje.

- Mogę. - Myślała o tym bardzo wiele. Zdawała sobie sprawę, że rezygnując z twórczości, będzie cierpiała, wiedziała jednak przy tym, że jest to jedyne dobre rozwiązanie. - Mogę znieść upokorzenie, które mnie spotyka, ale tego, które spotyka mamę i Winifred, znieść nie jestem w stanie. Za każdym razem, gdy widzę ich smutne twarze, przypominam sobie, co zrobiłam, i nie mogę pogodzić się z tym, że wszyscy muszą z mojego powodu kłamać. To jest najgorsze. - Przypomniała sobie Alistaira, gdy ciskał oskarżenia. - Dlatego muszę tak postępować, by już nie było powodu do kłamstwa. Innymi słowy, nie będzie więcej sztuk. W końcu wszyscy zapomną o Valentine Lawie i życie wróci w dawne koleiny. Winifred poślubi kogoś odpowiedniego, podobnie jak ty...

- A co będzie z tobą, Victorio? Co będziesz robiła, jeżeli porzucisz pisanie?

- Nie wiem. Może będę podróżowała. Zawsze chciałam zobaczyć Rzym i Florencję. - Spojrzała przez łąki na pełną życia ulicę. - Kto wie? Może nawet pojedę do Wenecji i odbędę przejażdżkę gondolą...

- O tak, mama bardzo się z tego ucieszy - mruknął Laurence. - Najstarsza córka idąca w ślady lady Tavistocke. Byłby to cios, po którym by się nigdy nie podniosła!

Ten żart sprawił, że Victoria uśmiechnęła się blado jednak nie zdołał przepędzić smutku, który, jak sądziła, miał jej towarzyszyć przez całe życie.

Nic w tym dziwnego, że dni, które nastąpiły po rozmowie z Victorią, nie przyniosły Alistairowi ani radości, ani satysfakcji. Choć łudził się taką nadzieją, wcale Alistair

nie doznał ulgi, gdy uwolnił się od Victorii. Przeciwnie, był zły i zniecierpliwiony, wszystko mu przeszkadzało, czepiał się niewinnych ludzi i odprawiał ich z kwitkiem. A prawda była taka, że tęsknił za Victorią. Brakowało mu jej pięknego uśmiechu i cudownie lekceważącego stosunku do różnych spraw, które dla innych miały wielkie znaczenie.

Słyszał oczywiście, co mówili o niej ludzie. Często zdarzało się, że jakaś wzmianka o Valentinie Lawie sprawiała, że w dalszym toku rozmowy musiał wysłuchiwać różnych uwag od łagodnie krytycznych po otwarcie potępiające. Owszem, przyznawano, że panna Bretton jest bardzo utalentowana, zarazem jednak prawie wszyscy uważali, że damie nie przystoi oszukiwać ludzi. Dama nie powinna pisać sztuk teatralnych pod przybranym nazwiskiem, zwłaszcza tak bardzo krytycznych wobec najbliższego otoczenia.

Oczywiście byli też i tacy, którzy nie wierzyli, że Victoria i słynny dramaturg to jedna i ta sama osoba. Zwłaszcza mężczyźni sądzili, że żadna kobieta nie może być obdarzona aż tak wielkim talentem. Jednak w kręgach literackich bardzo ją chwalono. I choć ani sama Victoria, ani nikt z rodziny nie potwierdził, że to ona napisała te doskonałe utwory, sawantki oraz intelektualiści żywili przekonanie, że tak jest, i chwalili jej literackie osiągnięcia.

Niestety, ani największe pochwały, ani potępienie nie unieważniały faktu, że Victoria go okłamała. Co więcej, tak bardzo zagmatwała sytuację, że nie mógł przeprosić lorda Collinsa, innych przyjaciół oraz swoich najbliższych, przyrzekł jej bowiem, że dochowa tajemnicy, i musiał dotrzymać słowa. Było jeszcze coś. Tracąc Victorię, stracił równocześnie całkowicie zainteresowanie małżeństwem. Poinformował o tym rodziców, i choć ojciec zareagował gniewem, a matka zdumieniem, obstawał przy swojej decyzji, mówiąc, że nie ożeni się dla ich przyjemności czy wygody. Bo wśród całego tego zamieszania jedno było absolutnie pewne.

Ponownie zakocha się dopiero wtedy, gdy całkowicie zapomni o Victorii.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Victoria zdawała sobie sprawę, że wizyta w sierocińcu to zły pomysł. Po pierwsze dlatego, że w tej okolicy absolutnie nie powinny pojawiać się damy, nawet w towarzystwie pokojówki i w zamkniętym powozie. A po drugie, jadąc tam, mogła spotkać Alistaira.

Co kazało się jej dobrze zastanowić.

Jednak od wielu dni przyłapywała się na tym, że martwi się o dzieci, bowiem od czasu, gdy była u nich z Alistairem, czuła z małymi nieszczęśnikami jakąś dziwną łączność. Z Molly i jej siostrą, i z małym Teddym, którego okrutny pracodawca traktował tak, że mógł go okaleczyć na całe życie. Oczywiście również z Jenny, na której oczach ojciec zamordował jej matkę.

Czy Jenny już mówi? - zastanawiała się, gdy powóz zatrzymał się przed budynkiem z szarego kamienia. Może pani Hutchins udało się przebić przez mur milczenia i lęku, jaki to dziecko wzniosło wokół siebie, myślała Victoria, mając nadzieję, że dowie się tego za kilka minut.

- *Je ne pense pas que c'est une bonne idée* - szepnęła Angelique, patrząc przez okienko powozu na brzydki budynek.

- Też nie jestem pewna, czy to dobry pomysł - zgodziła się Victoria. - Ale jesteśmy już tutaj, a ja nie wrócę do domu, nie zobaczywszy się z dziećmi. Nie mogłabym dalej żyć, nie robiąc dla nich choćby tyle, że z nimi pobędę.

Pomysł, by uczynić darowiznę na rzecz sierocińca, przyszedł Victorii do głowy wczoraj późnym wieczorem, gdy leżała bezsenna w łóżku i zastanawiała się nad swoją przyszłością. Była to z pewnością najłatwiejsza spośród decyzji, które podjęła w ciągu ubiegłego tygodnia. A najtrudniejsze okazały się dwie inne: by powiedzieć Alistairowi prawdę o Valentinie Lawie i o zrezygnowaniu z pisania sztuk teatralnych. Inne, na przykład ta, by przed powrotem do rodzinnego domu w hrabstwie Kent wyprowadzić się do własnego domu, okazały się średnio trudne, jednak im dłużej o nich myślała, tym bardziej wydawały się słuszne.

Oczywiście nigdy nie wyjdzie za mąż. Myśl o tym, że mogłaby poślubić kogoś innego niż Alistair, napawała ją po prostu wstrętem i nie była warta rozważania. Woląca przeżyć życie jako stara panna niż bezustannie porównywać męża do innego, wytęsknionego mężczyzny.

Zamiast stawać przed ołtarzem, lepiej poświęcić się innym sprawom. Spędzi kilka miesięcy, podróżując po Europie z Angelique lub też w towarzystwie jakiejś starszej kobiety, czytanej i dzielącej jej zainteresowania, a po powrocie do Londynu wynajmie dom przy cichej ulicy i osiadzie w nim na resztę życia.

Miała na to środki. Twórczość literacka zapewniała jej odpowiedni dochód, by wieść samodzielne życie. Wbrew temu, co powiedziała Lauriemu, zamierzała nadal pisać, ale nie sztuki teatralne, tylko powieści, i to raczej dla dzieci niż dla dorosłych. Będzie je publikować pod własnym nazwiskiem. Zostanie jedną z tych dam, z którymi społeczeństwo ma kłopot: silną i niezależną finansowo kobietą, która ma oryginalne gusta i samodzielne poglądy na różne sprawy. Wejdzie w kręgi artystyczne, a w swoim domu będzie prowadzić salon literacki.

Dzięki temu miała nadzieję zapomnieć o mężczyźnie, w którym się zakochała, oraz o życiu, którego się wyrzekła.

Zbliżając się do frontowych drzwi sierocińca, Victoria kątem oka zauważyła jakiś ruch. Uśmiechnęła się na widok małego chłopca, który usiłował niepostrzeżenie ją obserwować.

- Teddy, to ty?

Gdy do malca dotarło, że został rozpoznany, zeszywniał ze strachu, opanował się jednak i odparł:

- Być może. Ale ja nie wiem, kim jest pani. Victoria nie zdziwiła się, że jej nie poznał, wręcz przeciwnie, spodziewała się tego.

- Jestem panna Bretton. Byłam tu kiedyś z panem Devlinem.

- Była tu pani? - Chłopiec w namyśle wysunął dolną wargę. - A tak, czytała pani Molly.

- No właśnie, a dziś przyjechałam, żeby zobaczyć, jak ona się czuje.

- Dobrze. - Teddy wzruszył ramionami. - W tym tygodniu nie było doktora. Pani Hutchins mówiła, że nie ma potrzeby.

- Och, bardzo się cieszę.

- A co tam jest? - Malec zajął do kosza, który niosła Angelique.

- Mały poczęstunek na podwieczorek. Mam nadzieję, że będzie wam smakować.

Ku zaskoczeniu Victorii Teddy podszedł do drzwi frontowych i zaczął łomotać w nie pięścią.

- Czasami trzeba walić bardzo mocno - wyjaśnił. - Bo ze środka nie słyhać lekkiego pukania.

- Dziękuję, Teddy. Bardzo ci jestem wdzięczna za pomoc - powiedziała Victoria, gdy drzwi się otworzyły.

- Ach, to panna Bretton! - Pani Hutchins była jeszcze bardziej niż Teddy zdumiona widokiem Victorii. - Co pani tu robi?

- Przyjechałam zobaczyć się z dziećmi, jeżeli mi pani pozwoli. I przywiozłam kilka drobiazgów.

- Pan Devlin przyjechał z panią?

- Nie, pan Devlin nie wie, że tu jestem, i wolałabym, żeby o tym się nie dowiedział - odparła Victoria.

- Proszę bardzo, niech pani wejdzie. I proszę się nie martwić o powóz. Jest stan-gret, a Thomas dodatkowo go popilnuje przed łobuziakami. Prawda, Thomas?

Victoria rozejrzała się i zobaczyła chudego jak tyczka wyrostka, którego pamiętała z poprzedniej wizyty. Stał oparty o ścianę. Nie uśmiechnął się, ale z powagą kiwnął głową. Victoria postanowiła na odchodnym zostawić mu kilka pensów.

- Będzie pani musiała wybaczyć nam bałagan - powiedziała pani Hutchins, prowadząc ją na górę. - Zaczęłam już pakowanie. Pan Devlin mówił, że będziemy się przeprowadzać pod koniec przyszłego miesiąca, bo przygotowania w nowym domu idą szybciej, niż myślał. O, przyszła Margaret. Chce się przywitać. Pamiętasz pannę Bretton, Margaret?

Dziewczynka spojrzała na Victorię przez okulary. Nie uśmiechnęła się, ale kiwnęła głową.

- Witaj, Margaret. Jak się masz?

- Dobrze. I Molly też. Nie kaszle już tak okropnie.

- Bardzo się cieszę. - Victoria spojrzała na gospodynię. - Sądzi pani, że możemy do niej pójść?

- Oczywiście. Nie ma problemu - odrzekła pani Hutchins. - Margaret, zaprowadź pannę Bretton i jej pokojówkę, a ja nastawię czajnik.

- Angelique może pójść z panią i pomóc rozpakować kosz, a ja odwiedzę Molly. Nie będę u niej długo.

Angelique bardzo chętnie została, spodziewając się, że dowie się jakichś plotek, a Victoria wzięła Margaret za rękę i poszły na górę. Zostały tam większość młodszych dzieci. Z początku były onieśmiałe, ale Victoria szybko to przełamała. Niektóre z dzieci ją pamiętały, bo przecież wizyty eleganckich dam nie zdarzały się tu często.

Tak przynajmniej sądziła Victoria. Myśl, że Alistair przywiózł tu już inną damę, z którą chce dzielić życie i zainteresowania, była dla niej nieznośna. Choć tak naprawdę jakie to ma znaczenie? Przecież Alistair może robić ze swoim życiem, co chce. Zwłaszcza teraz, kiedy tak jasno oznajmił, że dla niej w tym życiu miejsca nie ma.

Molly nie leżała już w łóżku, tylko siedziała przy stoliku i coś rysowała. Victoria, patrząc na rysunek, nie potrzebowała udawać, że jej się podoba.

- Jakie to śliczne, Molly.

- To jest księżniczka.

- Tak, widzę - powiedziała Victoria. - Ma piękną suknię, a na głowie koronę.

- Suknia jest niebieska - odezwał się cichy głosik za jej plecami.

Victoria odwróciła się i poczuła, że brak jej tchu. Bo to Jenny stała za nią i patrzyła na obrazek w takim skupieniu, jakby był najważniejszą rzeczą pod słońcem.

- Nie widać, że jest niebieska. Ale ona taka jest - mówiła dalej. - Tak niebieska jak niebo. A korona jest złota z błyszczącymi kamykami.

- Oczywiście - potwierdziła Molly, której wcale nie zdziwił komentarz Jenny. - Pani Hutchins pokazała mi książkę z pięknymi damami, tylko że nie miały koron.

- Wiem. Ale wyglądały ślicznie.

To, że Jenny mówi, było niezwykłym i wspaniałym zdarzeniem, ale Victoria instynktownie czuła, że nie powinna okazywać ekscytacji, tylko zachowywać się normalnie.

- Przywiozłam trochę książek - powiedziała. - W nich też są obrazki ze ślicznymi damami, a niektóre nawet mają korony.

W rzeczywistości były to żurnale mód, które Victoria kupiła dla Winifred, teraz jednak uznała, że potrzeby tych dziewczynek są ważniejsze niż potrzeby siostry, której na niczym nie zbywało.

- Zostawię je u pani Hutchins, dobrze?

Molly była pochłonięta rysowaniem, jednak kiwnęła głową, natomiast Jenny usiadła przy stoliku. Victoria z ulgą stwierdziła zdecydowaną poprawę w wyglądzie dziewczynki. Włosy zostały podcięte tak, że nie leciały jej już do oczu, cerę miała zdrowszą. Wyglądało też na to, że przybrała na wadze, co z pewnością zawdzięczała doskonałej kuchni pani Hutchins. Hałasy dobiegające z zewnątrz wciąż sprawiały, że Jenny się wzdrygała, jednak ogólnie rzecz biorąc, była znacznie spokojniejsza. Przerzucając kartki książki, wyglądała jak dziecko, a nie jak przerażona mała kobieta, jak zeszłym razem.

Victoria spędziła z dziećmi prawie godzinę. Chętnie posiedziałyby z nimi dłużej, ale bała się, że zastanie ją tu Alistair. Poza tym miała sprawę do gospodyni.

- Muszę pójść porozmawiać z panią Hutchins - powiedziała do Margaret.

- A przyjedzie do nas pani jeszcze? - z nadzieją w głosie spytała dziewczynka.

- Bardzo bym chciała.

- Może pani przyjechać do nowego domu - powiedział Teddy. - Pan mówi, że przeprowadzimy się tam niedługo. Ja będę kopał ziemię w ogrodzie.

- No to z pewnością się do was wybiorę - odparła z uśmiechem.

Wiedziała oczywiście, że to nieprawda, jednak dzieci nie musiały o tym wiedzieć. Miały ważniejsze sprawy na głowie. Takie jak... życie.

Pożegnała się z dziewczynkami i dziwnie zasmucona zeszła na dół, do pokoju pani Hutchins.

- Ach, jest już pani, panno Bretton - powitała ją gospodyni. - A my tu sobie z Angelique ucieliśmy miłą pogawędkę.

- Pytałam panią Hutchins o pana Devlina - powiedziała pokojówka, wręczając Victorii filiżankę herbaty. - Wygląda na to, że to bardzo dobry człowiek.

- Jeden z najlepszych, jakich w życiu spotkałam - dodała pani Hutchins. - Odmienił całkowicie życie tych dzieci. Ja sama, bez jego hojności, niewiele bym mogła dla nich zrobić.

Victoria sięgnęła do kosza, który AngeliQUE postawiła na podłodze, wyjęła z niego kopertę i powiedziała:

- Pani Hutchins, najpewniej wkrótce wyjadę na kilka miesięcy z Anglii, ale przed wyjazdem chciałam to pani dać. To darowizna dla dzieci. Proszę spożytkować te pieniądze, jak pani uzna za stosowne.

Gdy gospodyni zajrzała do koperty, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Ależ panienko, to bardzo hojny dar.

- Bo bardzo chcę tym dzieciom pomóc. Chcę też, żeby pani nie mówiła panu Devlinowi, skąd są te pieniądze.

- Nie mówić mu? Dlaczego?

- Mam powody, żeby to przed nim ukryć. Jeżeli zapyta, proszę powiedzieć, że pochodzą z anonimowego źródła.

- Nie wiem, dlaczego chce pani zachować to w tajemnicy przed nim, panienko, ale nie jestem wścibska. I... mogę tylko powiedzieć, że bardzo dziękuję.

- Proszę bardzo, pani Hutchins. A teraz czas już na nas - powiedziała Victoria, dopijając herbatę.

Pożegnały się przy drzwiach i wyszły, a kiedy znalazły się w powozie, Victoria zobaczyła na siedzeniu żurnale, które obiecała dziewczynkom.

- AngeliQUE, muszę jeszcze na chwilę wrócić, a ty daj to chłopcom - poleciała, wręczając pokojówce monety. - Jedną monetę Thomasowi, a drugą Teddy'emu.

- Nie wiedziałam, mademoiselle, że tak bardzo lubi pani dzieci - z uśmiechem powiedziała pokojówka. - One panią będą pamiętać.

Victoria z westchnieniem weszła do sierocińca. Bardzo chciała, żeby dzieci ją zapamiętały, jednak nie z powodu prezentów, tylko ze względu na czas, który im poświę-

ciła. Jeżeli uda mi się napisać książkę dla dzieci, postanowiła, zadedykuje ją właśnie im, dzieciom, które samym swoim istnieniem zainspirowały mnie do tego rodzaju pisarstwa.

Gdy już była w domu, zawołała panią Hutchins, nie usłyszała odpowiedzi, zamknęła drzwi i postanowiła sama zanieść żurnale na górę. Była w połowie schodów, gdy frontowe drzwi ponownie się otworzyły. Victoria, sądząc, że to któreś z dzieci, obejrzała się przez ramię i... serce jej zatrzepotało. Alistair! Ostatni człowiek, którego tu chciała spotkać!

- Panna Bretton? Co pani tutaj robi? - zagadnął, a w jego oczach nie było choćby odrobiny ciepła.

- Chciałam zobaczyć, jak się mają dzieci. Myślałam o nich bez przerwy od poprzedniej wizyty.

- Mogła pani zapytać mnie o to listownie.

- Nie byłam pewna, czy pan odpisze. Dlatego tu przyjechałam, by naocznie się przekonać.

Kiwnął głową, a na jego twarzy na mgnienie oka pokazał się uśmiech.

- Powinienem był przewidzieć, że pani weźmie sprawy w swoje ręce. I że odważy się pani przyjechać sama do dzielnicy, której nie odwiedza żadna dobrze urodzona dama.

- Nie jestem sama. W powozie czeka na mnie pokojówka, a także stangret. - Starła się mówić lekkim tonem.

Alistair spojrzał na plik, który trzymała w ramionach.

- A to? - zapytał. - Co to jest?

- To żurnale dla dziewczynek. Uwielbiają obrazki ze ślicznymi damami.

Gdy Alistair się odwrócił, żeby zamknąć za sobą drzwi, Victoria na moment opuściła powieki. Nie spodziewała się, że tak trudno jej będzie prowadzić z nim normalną rozmowę, jako że miała tylko jedno jedyne pragnienie: paść mu w ramiona i zapominając o konwenansach, wyznać, jak bardzo go kocha. Jednak w obecnych okolicznościach z pewnością nie przyjąłby tego dobrze.

Gdy zamknął drzwi i odwrócił się ku niej, wstrzymała oddech. Nie wiedziała, czy iść do dziewczynek, czy wręczyć mu żurnale i wyjść. Powiedział jednak:

- Proszę wejść na górę i dać dzieciom to, co im pani obiecała. Nie chciałbym, żeby się rozczarowały.

Zastała dzieci zajęte tym, czym się zajmowały, gdy wychodziła, to znaczy Margaret i Molly siedziały przy stoliku, a Jenny wyglądała przez okno. Słyszając, że ktoś wszedł, Jenny odwróciła się, a jej wzrok padł na żurnale.

- Pani pamiętała! - zawołała.

- Oczywiście, że pamiętałam - odparła Victoria. - Powiedziałam, że je przyniosę, więc przyniosłam.

- Ale tak długo pani nie było. Myślałyśmy, że pani zapomniała.

Victoria poczuła się winna. Nie przyszło jej do głowy, że dla tych dzieci pięć minut może się dłużyć niczym godzina.

- Piłam herbatę z panią Hutchins i zapomniałam, że czas płynie. Ale na pewno bym nie odjechała, zanim nie przyniosłabym wam tego, co obiecałam. Proszę - wręczyła jeden z żurnali Jenny. - W tym jest sporo ładnych dam.

- A są książeczki? - zapytała Molly.

- Sądzę, że nie, ale jest kilka dam w koronach.

Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę, po czym kiwnęła głową, jakby była zadowolona z odpowiedzi.

Kładąc resztę żurnali na stole i szykując się do wyjścia, poczuła, że Alistair stoi za jej plecami.

- Dlaczego pani tu przyjechała? Ale tak naprawdę - wyszeptał jej do ucha. - Myślałem, że nigdy więcej pani nie zobaczę.

Mówił tak bardzo łagodnie, niemal czule, że niemal utraciła siłę woli. Wiedziała jednak, że nie może powiedzieć prawdy, czyli wyznać, że chciała po raz ostatni znaleźć się blisko czegoś, co było tak ważne dla niego.

- Mówiłam już - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Chciałam sprawdzić, czy dzieci mają się dobrze i zobaczyć na własne oczy, że są szczęśliwe. Słyszałam, że w przyszłym miesiącu przeniosą się do nowego domu.

- Powiedziały to pani?

- Usłyszałam to od pani Hutchins. Odbyłyśmy bardzo miłą pogawędkę.

- Pani Hutchins na pewno się zdziwiła, gdy pani się tu zjawiała.
- Być może... No cóż, czas już na mnie.
- Odprowadzę panią do powozu.
- Nie ma potrzeby...
- Jest potrzeba czy nie, i tak odprowadzę panią do powozu.

Ich oczy spotkały się. Victoria nie odwróciła wzroku. Chciała zobaczyć wyraz twarzy Alistaira i zachować go w sercu.

Zeszła po schodach i pozwoliła, żeby Alistair otworzył przed nią frontowe drzwi. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, położyła mu dłoń na ramieniu, wiedząc, że to ostatnia okazja, żeby zadać mu nurtujące ją pytanie:

- Panie Devlin, dlaczego jest pan tak oddany tym dzieciom? Dlaczego człowiek, który ma wszystko, zawraca sobie głowę bezradnymi istotami, które nie mają nic?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę ze zmarszczonymi brwiami, co jeszcze bardziej wzmogło ciekawość Victorii, która domyślała się, że wchodzą tu w grę ważne osobiste pobudki.

- Czy zna pani historię mojego starszego brata? - zapytał wreszcie tak cicho, że musiała się w jego stronę pochylić. - Tego, który zakochał się w aktorce?

- Tak. Opowiedział mi o nim mój stryj.

- Oczywiście. Każdy, kto ma związki z teatrem, zna historię mojego brata i Sally. Wie, że się w sobie zakochali, a później, kiedy mój ojciec nie zezwolił na ślub, uciekli. Niektórzy wiedzą nawet, że mieli córkę o imieniu Helena, której ojciec po śmierci mojego brata nie chciał znać. Dla większości ludzi na tym kończy się ta historia. - Urwał na moment. - Lecz dla mnie dopiero teraz się zaczyna. Bo odszukałem córkę mojego brata i byłem ostatnim człowiekiem, który widział ją przy życiu.

- Ona umarła? - wyszeptała Victoria. - Dlaczego? Kiedy?

- To długa historia...

- Mam czas, panie Devlin.

Alistair odwrócił wzrok i zacisnął zęby, wreszcie jednak znów przemówił:

- Gdy mój ojciec odmówił Sally pomocy, wróciła do teatru, w którym grała, kiedy poznała mojego brata. Jednak przez trudy życia coś się z nią stało, nie potrafiła skupić się

na grze, nie pamiętała tekstu, więc szybko została zwolniona. By przeżyć, wynajęła pokój nad sklepem modystki i brała do domu szycie, mając nadzieję, że z tego utrzyma i siebie, i córkę. Jednak ledwie wiązała koniec z końcem, a kiedy Helena się rozchorowała, Sally zacięła zarabiać inaczej. Było to jednak ponad jej siły i Sally też zapadła na ciężką chorobę. W efekcie to Helena musiała się nią opiekować. Sally wkrótce zmarła. Przyjaciele z teatru zebrali pieniądze na przyzwoity pogrzeb, ale dla Heleny nie zostało nic, i nikt nie chciał się nią zaopiekować. Skończyła na ulicy, podobnie jak wiele innych dzieci. Włóczyła się, kradła jedzenie i pieniądze, by nie umrzeć z głodu. Kiedy ją przyłapano na kradzieży bochenka chleba i poddano chłości, już nigdy nie wróciła do zdrowia.

- Skąd pan to wszystko wie? - szepnęła Victoria.

- Zrobiłem wszystko, by dotrzeć do prawdy, i tak też się stało. - Zadumał się na moment. - Wciąż wspominałem ten dzień, kiedy Sally i Helena przyszły do ojca. Byłem przy ich rozmowie, bo ojciec chciał, żebym wyciągnął z tego naukę. Pamiętam, że patrzyłem na tę piękną kobietę, bo Sally wciąż była piękna, czując, że nie mam z nią i jej córką nic wspólnego. Bo widzi pani, naprawdę wtedy wierzyłem, że bratowa i bratanica to dla mnie obcy ludzie.

- Wyznawał pan poglądy ojca... - Tak, zupełnie jakbym myślał jego głową. Byłem absolutnie przekonany, że wyganiając Sally, ojciec postępuje słusznie. Nie mogłem pojąć, jak mój brat mógł porzucić swoje dotychczasowe życie dla kobiety, która stała w hierarchii społecznej o tyle niżej. Nie mogłem tego zrozumieć, bo nigdy nie kochałem. A potem, jak na ironię, poznałem pewną kobietę. Była ode mnie starsza o kilka lat i bardzo nieszczęśliwa w małżeństwie. To małżeństwo zostało zaaranżowane. Owszem, obie strony zyskały finansowo, jednak nie było między nimi miłości. Wkrótce zostaliśmy kochankami. Jej mąż wiedział o tym, lecz nie ingerował w nasz związek. Dużo podróżował i tak długo, jak byliśmy dyskretni, udawał, że nic nie widzi. Kochałem tę kobietę rozpaczliwą miłością. - Przerwał na moment. - W końcu jednak jej mąż po powrocie z kolejnej podróży dowiedział się, że widziano nas razem, co bardzo mu się nie spodobało. By zakończyć nasz romans, wywiózł żonę do posiadłości w Szkocji. Od tej pory nigdy już jej nie ujrzałem.

- Pisał pan do niej?

- Z początku tak, ale potem listy od niej przestały przychodzić. Zapewne zrozumiała, jak bardzo beznadziejna jest nasza sprawa. I tak to się skończyło. A ja wyciągnąłem z tej historii naukę, poznałem prawdę, że miłość zmienia człowieka. Zrozumiałem też, przez co przechodził mój brat i co czuł do Sally. Pojąłem również, jak ważne byłoby dla mojego brata, gdyby umierał ze świadomością, że jego żona i córka znalazły opiekę. I serce pękało mi na myśl, że tak strasznie go zawiedliśmy.

- I co pan zrobił? - zapytała głęboko przejęta Victoria.

- Zacząłem ich szukać. Pisałem mnóstwo listów, zadawałem mnóstwo pytań. Poszedłem do teatru, w którym pracowała kiedyś Sally, i tam dowiedziałem się, że umarła. Odszukanie Heleny zabrało mi kolejne pół roku. Widziałem ją tylko raz, ale jej obraz wbił mi się w pamięć. Była śliczną dziewczynką o pięknych rudych włosach... i miała oczy mojego brata. Wiedziałem, że jest jego córką, gdy tylko stanęła w progu.

- A pański ojciec? Przecież on też musiał to widzieć.

- Tyle że widzieć nie chciał. Nazwał Sally ładacznicą i wyrzucił ją za drzwi. Nie pomógł nawet list, który Hugh do niego napisał przed śmiercią... - Głos mu się załamał.

- Nie musi pan mówić dalej. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Widzę, jakie to dla pana bolesne.

- To prawda, jednak bez porównania mniej bolesne niż dla nich obu. Jak już mówiłem, odnalazłem w końcu Helenę. Mieszkała w burdelu. W najgorszym miejscu, jakie można sobie wyobrazić. Nie byłem zaskoczony, że uciekła stamtąd, zanim tam dotarłem; Potem straciłem ślad i dopiero po dwóch miesiącach przypadkiem odnalazłem ją znowu w jednej z londyńskich dzielnic, w której nigdy przedtem nie byłem. Od razu poznałem Helenę. Stała po drugiej stronie ulicy, była strasznie wychudzona i odziana w łachmany, lecz wciąż miała te piękne rude włosy.

- Musiała się ucieszyć na pana widok.

- Nie wiedziała, kim jestem. Ot, kolejny klient, musiała pomyśleć. Zawołałem ją po imieniu, a ona podniosła głowę, lecz nadal stała w miejscu, nie ruszyła się ku mnie. W tej samej chwili w ulicę skręcił powóz - mówił głuchym tonem Alistair. - Duży powóz ciągnięty przez cztery konie. Jechał bardzo szybko, a stangret na zakręcie stracił panowanie nad końmi. Wszyscy przechodnie się cofnęli, ale nie Helena. Przeciwnie, spojrzała na

powóz, potem na mnie... i absolutnie świadomie ta odziana w łachmany dziewczynka z wielkim dostojeństwem wkroczyła na jezdnię.

- Boże miłosierny!

- Nie mogłem temu zaradzić - powiedział z ogromnym smutkiem Alistair. - Ile to mogło trwać? Potem odtwarzałem w pamięci tę scenę setki razy i wychwyciłem owo dostojeństwo, tę dumę, którą rzucona na samo dno ludzkiej egzystencji mała Helenka odnalazła w śmierci. Ale wtedy odbierałem to inaczej, nie widziałem, co się dzieje. Moja bratanica znalazła się na jezdni, zanim uświadomiłem sobie, że na nią wchodzi. Powóz się nie zatrzymał. Ci, co nim jechali, nie mieli pojęcia, co się stało. Ale ja wiedziałem aż za dobrze. Ta dziewczynka była jedynym dzieckiem mojego brata... - Alistair westchnął ciężko. - A ja patrzyłem, jak umiera. Skonała na moich oczach. Nigdy sobie tego nie wybaczyłem.

- Przecież to nie była pana wina! - żarliwie zareagowała Victoria. - Sam pan powiedział, że stało się to błyskawicznie i nie było czasu, by cokolwiek zrobić.

- Nie obwiniam się o to, co się stało tamtego dnia. Obwiniam się o to, że nic nie zrobiłem przez lata poprzedzające ten wypadek. O to, że wcześniej nie dotarłem do Sally i Heleny i nie odmieniłem ich życia. Po śmierci Heleny dowiadywałem się, jak żyła, bo nie mogłem sobie wyobrazić, co mogło skłonić ośmioletnie dziecko do rzucenia się pod koła powozu. I cóż, poznałem prawdę. - Na moment przymknął oczy. - Kiedy się przekonałem, jak wyglądało jej życie, zrozumiałem ogromną rozpacz, która nią kierowała. Uczucie całkowitego porzucenia i ostatecznego poniżenia. I dzień, w którym byłem świadkiem jej śmierci, okazał się dniem, w którym w moim życiu zaszła zmiana. Nie minął nawet tydzień, gdy zatrudniłem panią Hutchins, zainstalowałem ją w tym domu i zaczęliśmy gromadzić podopiecznych. Postanowiłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by ratować dzieci ulicy przed takim losem, który zniszczył małą Helenkę. Nie byłem w stanie uratować bratanicy, ale postanowiłem nie siedzieć z założonymi rękami, gdy to samo spotyka Jenny czy Alice.

Victoria oczywiście zetknęła się z filantropią. Najczęściej zajmowały się nią zresztą damy. Zdobywały fundusze i przekazywały je na przytułki lub szpitale dla ubogich, a

co jakiś czas wizytowały te instytucje. Kierowały się szlachetnymi intencjami lub snobowały się na „dobre panie”, tak czy inaczej, była z tego społeczna korzyść.

Natomiast intencje Alistaira brały się z czegoś innego. Wyrosły ze strasznej rodzinnej tragedii, której wprawdzie nie zawinił, ale obarczył nią swoje sumienie. I potworne cierpienie oraz samobójczą śmierć małej Helenki postanowił przemienić w dobro, całym sercem i duszą poświęcając się temu zadaniu. Do Victorii dotarło, w jak szlachetnym człowieku się zakochała.

- Tak mi przykro - powiedziała, zdając sobie sprawę jak bezsilne są słowa. - Nawet trudno mi sobie wyobrazić jakie to musiało być przerażające.

- Śmierć Heleny to coś, z czym muszę żyć - powiedział cicho Alistair. - A pamięć o niej stanowi dla mnie inspirację, by każdego dnia czynić więcej dobra. - Podniósł głowę, mrugając szybko. - Ale już zbyt długo panią tu zatrzymuję. Chodźmy.

Podeszli do powozu i Alistair pomógł Victorii wsiąść.

- Ależ ten przystojny pan jest w panience zakochany - skomentowała Angelique, gdy powóz ruszył. - Tak na panienkę patrzył!

- Nie mów głupstw, Angelique. - Victoria zacisnęła powieki. - Pan Devlin nie jest we mnie zakochany.

- Ale...

- I nie będziemy o tym więcej mówić.

- Ale to z jego powodu panienka tak płakała... A ja widzę, że powodu właściwie nie ma, bo on...

- Dosyć - powiedziała stanowczo Victoria. - Koniec rozmowy!

Angelique, choć niechętnie, usłuchała, a Victoria wpatrywała się w okienko powozu niewidzącym spojrzeniem Całkiem straciła spokój ducha, jej pewność siebie została mocno zachwiana.

Nie spodziewała się, że spotka Alistaira, nie była też przygotowana na tragiczną historię, którą jej opowiedział. Miała nadzieję, że pani Hutchins uwzględni jej prośbę i nic Alistairowi nie powie o darowiźnie. Nie chciała, żeby Alistair, by podziękować za finansowe wsparcie, odwiedził ją, bo czuła się na to zbyt słaba psychicznie. Po prostu absolutnie nie powinna się z nim widywać, to jedyne lekarstwo na krwawiące serce.

Poza tym nie wykonała tego gestu ze względu na niego, tylko przekazała darowi-
zną, by służyła dzieciom. Przecież on postępował tak samo. Wszystko, co robił, miało
służyć dobru tych pokrzywdzonych przez los dzieci. Był to najpiękniejszy pomnik, jaki
mógł wystawić małej Helence.

Lecz ona nie powinna się z nim widywać. Tak będzie najlepiej dla nich obojga.

Alistair odprowadzał powóz wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem, dopiero
wtedy ruszył do frontowych drzwi.

Spotkanie z Victorią było dla niego wstrząsem. Próbował przecież przekonać sam
siebie, że jej nie kocha, nawet prawie uwierzył, że kontroluje uczucia. Sądził, że gdy ją
ponownie spotka, nie będzie pragnął wziąć jej w ramiona i całować. Mylił się jednak.
Widok pięknych niebieskich oczu i kuszących ust zniszczył jego złudzenie, uświada-
miając mu, co stracił i co próbował zapomnieć.

Victoria Bretton była osobą, której nie dało się zapomnieć i pomimo kłamstw, po-
zostawała wciąż najdroższa jego sercu.

Gdy w nie najlepszym nastroju wszedł do środka, pani Hutchins sprzątała ze stołu
po herbacie z Victorią i Angelique.

- Panna Bretton to cudowna osoba - powiedziała gospodyni. - No bo niech pan so-
bie wyobrazi, przyjechała tu tylko po to, żeby zobaczyć dzieci. Żadna inna dama czegoś
takiego by nie zrobiła.

- Była pani uprzedzona o jej wizycie? - zapytał Alistair.

- Nie, nic nie wiedziałam. Kiedy otworzyłam drzwi i ją zobaczyłam, byłam zdu-
miona. Panienska Bretton ma bardzo dobre serce. Jest inna niż te damy z towarzystwa,
które myślą tylko o własnych przyjemnościach. I bardzo hojna.

- Hojna? - zapytał Alistair. - Przywiozła coś dla dzieci?

- Tak. Duży kosz z wiktuałami i słodyczami, a także żurnale dla dziewczynek i
książki dla chłopców. Kiedy im je dam, pomyślą, że jest Boże Narodzenie.

- Hm... - mruknął Alistair, patrząc na kopertę leżącą na stole. - A co to jest?

Pani Hutchins pobladła, po czym rzekła niepewnie:

- Nic... To tylko listy, które przeglądałam.

- Przeglądała pani listy, kiedy była tu panna Bretton?

- Nie. Przeglądałam je przedtem... zanim przyjechała.
- Proszę pani, co jest w tej kopercie? - zapytał Alistair, który stał się nagle czujny.
- Już mówiłam. Listy. To wszystko.
- Tylko listy? Proszę mi je pokazać.
- Ależ proszę pana! - Policzki gospodyni płonęły.
- Nie chcę ich czytać. Chcę tylko je zobaczyć.
- Wolałabym ich nie...
- Doskonale. Niech pani zatem otworzy kopertę i pozwoli mi zajrzeć.

Gospodyni poczerwieniała jeszcze bardziej, jednak uświadamiając sobie, że nie wygra, z westchnieniem wręczyła mu kopertę.

Alistair wziął ją i zajrzał, nie mówiąc ani słowa, a po kilku chwilach zwrócił.

- Dziękuję.

- Może pan ją zatrzymać - powiedziała pani Hutchins. - Pieniądze są dla dzieci, a ja wolę nie mieć tu takiej sumy.

Alistair kiwnął głową i wsunął kopertę do kieszeni.

- Dziękuję pani - powiedział, po czym poszedł na górę do dzieci.

Spędził z nimi trzy kwadranse, rozmawiając o codziennych sprawach. Sprawdził ich zdrowie, przeczytał przez chwilę jakąś bajkę i przekonał się, że w sierocińcu wszystko idzie jak należy. Postępy Jenny bardzo go ucieszyły. Po raz pierwszy zaczął wierzyć, że dziewczynka dojdzie do siebie po tym, co przeżyła. Nawet Margaret i Molly wyglądały lepiej, podobnie jak Teddy. Alistair doszedł do wniosku, że przeprowadzka na wieś dobrze im zrobi, a świeże powietrze wszystkim poprawi humor.

Tak rozmyślając, pożegnał się z panią Hutchins i wsiadł do faetonu, po czym ruszył, kierując się nie na Berkeley Square, tylko na Green Street.

Victoria po wizycie w sierocińcu nie od razu wróciła do domu. Nie chciała bowiem zaraz po tym, co powiedział jej Alistair, spotykać się z matką lub ojcem. Wolała spokojnie się nad tym wszystkim zastanowić, uporządkować emocje i rozważyć własne perspektywy na przyszłość. Dlatego poleciła Jamesowi jechać do Hatcharda, gdzie mogła to zrobić w spokoju, wśród książek i gazet.

Musi, po prostu musi wyjechać, i to jak najszybciej. I znaleźć się jak najdalej od mężczyzny, którego kocha, tam, gdzie będzie mogła swobodnie oddychać i zapomnieć o marzeniach, które się nigdy nie spełnią.

Rodzicom jej pomysł wyjazdu za granicę oczywiście się nie spodoba, podobnie jak to, że po powrocie zamierza urządzić sobie życie we własnym domu. Jednak podjęła już decyzję i zamierzała to wszystko wprowadzić w czyn. Uważała bowiem, że plan jest dobry. Choć oczywiście nie w oczach rodziny czy ludzi z towarzystwa, tylko w jej własnych. A obecnie tylko to się dla niej liczyło.

Gdy Victoria znalazła się w końcu na Green Street, Quince, który powitał ją przy frontowych drzwiach, powiadomił, że ojciec chce ją widzieć i czeka w salonie.

Victoria, zastanawiając się, o co może chodzić, stanęła na chwilę przed lustrem w holu, by sprawdzić, jak wygląda. Była bardzo blada, więc poszczypała policzki, by się zarumieniły, następnie wygładziła spódnice, poprawiła szal i otworzyła drzwi salonu.

Okazało się, że ojciec nie jest sam. W salonie był również Laurence oraz inny, stojący do niej tyłem dżentelmen.

Gdy odwrócił się, Victoria pobladła jeszcze bardziej.

- Pan Devlin! - powiedziała zaskoczona, nie zauważając jeszcze jednego dżentelmena, który stał przy oknie.

Dżentelmen ten zrobił krok do przodu i zapytał:

- Czy mam przyjemność z panną Bretton?

- Tak, sir - odrzekła zmieszana, pochylając głowę. - Lecz nie mam przyjemności znać pana.

Nieznajomy był dobrze ubrany. Idealnie skrojony surdut wyglądał na majstersztyk sztuki krawieckiej, a długie buty błyszcząły jak lustro. Na palcu prawej dłoni nosił złoty sygnet i był bardzo przystojny, a równocześnie całą swoją postawą budził ogromny respekt.

- Mam nadzieję - powiedział - że wybaczy mi pani tę wizytę. Jednak gdy usłyszałem nowinę, postanowiłem panią odszukać, gdyż pani stryj nie chciał mówić za panią.

- Mój stryj? - Zdezorientowana Victoria spojrzała na ojca. - Papo?

- Victorio, pozwól sobie przedstawić sir Michaela Loftusa - odrzekł ojciec, spoglądają niepewnie na Alistaira. - Przyszedł, bo miał nadzieję porozmawiać z tobą. A raczej... z Valentine'em Lawe'em.

Victoria słyszała, że pod wpływem nerwowego napięcia nogi mogą odmówić człowiekowi posłuszeństwa, jednak aż do tej chwili nie doświadczyła, jak nieprzyjemna może to być sensacja. Czując, że zaraz upadnie, wyciągnęła rękę i wsparła się o krzesło, a palce wpiły się w jego miękkie oparcie.

- Sir Michael - wyszeptała. - Witam pana.

- Czy ktoś mógłby być tak dobry i powiedzieć mi, co się tutaj dzieje? - zapytał Alistair, który z ciekawością przenosił wzrok z Victorii na sir Michaela i z powrotem.

- Och, panie Devlin, proszę mi wybaczyć - odezwał się pan Bretton. - To jest sir Michael Loftus, krytyk teatralny „Morning Chronicle”.

- Panie Devlin - skłonił się Loftus.

- Witam pana, sir. Czytałem kilka z pańskich recenzji - powiedział Alistair. - Potrafi pan dosadnie wyrazić swoje poglądy.

- Jeżeli przedstawienie jest nie na poziomie, to nie moja wina. Ja tylko wyrażam profesjonalną opinię w oparciu o to, co widzę. Takie są moje obowiązki wobec publiczności teatralnej. A co do powodu, dla którego tu jestem, to słyszałem bardzo interesującą plotkę i doszedłem do wniosku, że muszę sprawdzić jej prawdziwość.

- Naprawdę? - odezwał się pan Bretton. - A co to za plotka?

Krytyk popatrzył na niego przeciągle, po czym rzekł z uśmiechem:

- Ach, drogi panie, musiał pan zapewne to już słyszeć. Mówi się na mieście, że pańska córka i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba.

- Ach, ta plotka. Słyszeliśmy ją, ale nie przywiązujemy do niej wagi.

- Dlaczego?

- Bo to nieprawda.

Victoria zauważyła nagły ruch głowy Alistaira. Nie zdążyła jednak nic wtrącić, bo sir Michael już mówił dalej:

- Naprawdę? Skoro tak, to czy byłby pan łaskaw mi wyjaśnić, skąd ta plotka się wzięła? Nie wiem, czy pan wie, że od pewnego czasu zabiegam o spotkanie z Lawe'em, a

Templeton uparcie mi to uniemożliwia. Ostatnio twierdził, że Lawe podróżuje po Europie. Wygląda na to - dodał, patrząc na Victorię - że w tej sprawie nie jest całkiem szczerzy.

Victoria poczuła zawrót głowy. Patrząc na Alistaira, nie potrafiła z jego miny nic wyczytać. Twarz miał stężalą, jakby wyciosaną z kamienia.

Natomiast Laurence wyglądał na odprężonego. Z rękami założonymi do tyłu przeszedł przez salon i zbliżył się do kominka.

- A dlaczego, sir, chce pan spotkać się z panem Lawe'em? - zapytał.

- Bo bardzo pragnąłbym porozmawiać z nim o jego następnej sztuce. Sprawa nie jest błaha, zapewniam. Otóż pan Elliston z Drury Lane chciałby wystawić u siebie nowy utwór pana Lawe'a. Gryf jest dobrym teatrem, jednak nie ma tej renomy co Drury Lane czy Covent Garden - powiedział sir Michael wyniosłym tonem. - Kiedy skontaktowałem się z Templetonem w tej sprawie, poinformował mnie, że muszę poczekać, bo Lawe jest za granicą. A przedtem nieraz twierdził, że Lawe jest jego krewnym i że mieszka tutaj, na Green Street. - Nastąpiła chwila ciszy, a sir Michael potoczył wzrokiem po pokoju. - No i cóż? Nikt mi nie powie tego, co chcę usłyszeć? Wszyscy patrzycie na mnie tak, jakbym był niespełna rozumu.

- Nie, nie, sir Michael - powiedział pan Bretton z pełnym skruchy uśmiechem. - Jest pan tylko źle poinformowany. Plotka nie jest prawdziwa. Moja córka nie jest Valentine'em Lawe'em.

Victorii zabrakło tchu. Widziała, że Alistair patrzy na nią pytająco, nie była jednak w stanie spojrzeć mu w oczy. Po tym, jak ojciec zaprzeczył wszystkiemu, co mu powiedziała, było to dla niej niemożliwością.

- A co z plotką o tym, że to panna Signy Chermonde rozpuściła tę wieść? - pytał dalej sir Michael. - Jej też pan zaprzecza?

- Nie, ale tylko dlatego, że nie potrafię ani jej potwierdzić, ani zaprzeczyć - odrzekł pan Bretton. - Nie wiem nawet, czy moja córka zna tę aktorkę.

- Ale gdyby się znały, to po co panna Chermonde miałaby opowiadać taką niestworzoną historię? Co by jej to dało? Z pewnością do rozpuszczania takich plotek mogła ją skłonić tylko osobista niechęć.

Serce Victorii biło tak szybko, że z trudem oddychała. Muszę coś powiedzieć, pomyślała. Tylko co? Co mam powiedzieć, żeby nie pogorszyć sprawy?

- Proszę pana - zwróciła się z namysłem do sir Michaela. - Ubolewam, że panna Chermonde uznała za stosowne mówić o mnie w ten sposób. Wiem, że jest jedną z aktorek w trupie mojego stryja i że to bardzo utalentowana młoda osoba. Mogę też powiedzieć, że nasze stosunki były zawsze przyjazne...

- Aż do chwili - włączył się niespodziewanie Alistair - kiedy panna Bretton i ja spotkaliśmy pannę Chermonde na pewnym balu. Sądzę, że to, co wtedy zaszło, skłoniło pannę Chermonde do takich twierdzeń.

- Ale dlaczego? - sir Michael zmarszczył brwi. - Co wtedy zaszło między wami?

- Powiem tylko, że panna Chermonde została przyłapana na tym, że znajduje się tam, gdzie nie została zaproszona - powiedział Alistair. - Bojąc się reakcji gospodyni, panna Bretton poradziła jej opuścić progi tamtego domu i panna Chermonde wyszła. Miała to jednak pannie Bretton za złe i by ją upokorzyć, rozpuściła plotkę, która, jak pan przed chwilą usłyszał, mija się kompletnie z prawdą.

Victoria zastygła w bezruchu. Alistair kłamie dla niej? Dlaczego? Przecież zna prawdę. Dlaczego naraża się na kompromitację, kłamiąc w żywe oczy?

- No cóż, muszę przyznać, że jestem bardzo rozczarowany - powiedział zdeorientowany sir Michael. - Myślałem, że udało mi się ustalić tożsamość Valentine'a Lawe'a, a tymczasem okazuje się, że tak nie jest. - Spojrzał przenikliwie na Victorię. - A więc, panno Bretton, w plotce o tym, że pani i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba, nie ma ani odrobiny prawdy?

W pokoju zapadła taka cisza, że Victoria słyszała odgłosy rozmów dobiegające z ulicy i całym sercem zapragnęła tam się teraz znaleźć. Tak, wolą być gdziekolwiek, byle nie tu, twarzą w twarz z przepytującym ją sir Michaeliem. Jeżeli skłamie, sprawa potoczy się dalej tak, że stracą nad nią kontrolę i znajdą się w takim gąszczu kłamstw, że nie wyjdą z niego bez szwanku. Jeżeli jednak powie prawdę, zniszczy reputację całej rodziny.

Jej ojciec przed chwilą skłamał w żywe oczy. Jej brat udawał, że nic nie wie o sprawach, o których wiedział bardzo wiele. Nawet Alistair skłamał, ignorując jej winę, a

obwiniając Signy. Jak by to wszystko wyglądało, gdyby teraz przyznała, że Signy mówiła prawdę, a wszyscy inni kłamali?

A z drugiej strony - czy zachowa choć odrobinę szacunku dla siebie, jeżeli teraz nie wyjaśni całej tej sprawy?

Wszyscy zgromadzeni w salonie czekali na to, co powie. Ojciec patrzył na nią z miłością i troską, sir Michael z zachłanną ciekawością. Trudniej było domyślić się uczuć Laurence'a, a z wyrazu twarzy Alistaira nie dawało się wyczytać dosłownie nic. Jednak Victoria domyślała się, że Alistair brzydzi się nią za to, że postawiła go w takiej sytuacji.

- Sir Michaelu - zaczęła powoli. - Przykro mi, że musi pan przechodzić przez to wszystko. Nigdy nie było moją intencją oszukiwanie kogokolwiek i gdybym nie sądziła, że mam ku temu istotne powody, nigdy bym tego nie zrobiła. Ale... sądzę... naprawdę... że nie miałam innego wyjścia.

- Panno Bretton, nie mam całego dnia na wysłuchiwanie pani - powiedział zirytowany sir Michael. - Proszę mówić jasno: co pani tak naprawdę chce powiedzieć?

- No... po prostu to...

- Moja biedna siostra chce powiedzieć - włączył się Laurence - że nie może stwierdzić, że jest Valentine'em Lawe'em, ponieważ byłoby to kłamstwo.

- Naprawdę?

- Tak. - Laurence przeszedł przez salon i stanął przed sir Michaeliem. - Moja siostra nie jest autorką „Ukochanego Penelopy”, „Genevieve”, „Zimowej eskapady” i „Wyboru damy”.

- Świetnie - burknął sir Michael. - Ale skoro tak, to kto to wszystko napisał?

- Ja - odrzekł bez wahania Laurence. - To ja napisałem te cztery sztuki i dałem stryjowi, żeby je wystawił. Bo prawda jest taka, że Valentine Lawe i ja to jedna i ta sama osoba.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jego słowa zabrzmiały w pełnej zdumienia ciszy, zakłócanej jedynie tykaniem zegara stojącego na gzymsie kominka i... pulsowaniem krwi w skroniach Victorii.

Mój brat twierdzi, że to on jest Valentine'em Lawe'em? - myślała zdumiona. Czyżby postradał zmysły?

- Więc to pan jest Valentine'em Lawe'em? - sceptycznie powiedział sir Michael.

- Tak.

- A ja myślałem, że to pańska siostra napisała te sztuki.

- Uwierzył pan w to zgodnie z życzeniem tych, co rozpuścili plotkę - odrzekł Laurence. - Plotkę nieprawdziwą, bo to ja jestem autorem tych sztuk. Chciałby pan, żebym zacytował z pamięci jakiś fragment? Mogę to zrobić bez trudności.

- To niepotrzebne. Każdy potrafi nauczyć się na pamięć kilku zdań - powiedział Alistair stanowczym tonem.

- Zachodzi natomiast pytanie, dlaczego z ujawnieniem swego autorstwa czekał pan aż do tej chwili?

- Miałem ku temu kilka powodów. Przede wszystkim chciałem chronić swoją prywatność, ponieważ nie cierpię stawać w światłach rampy. Nie pragnę też owacji, wyrazów uznania i całego tego zamieszania.

- Więc po co pan pisze? - zapytał sir Michael.

- Bo muszę. Pomysły płyną mi do głowy jak woda ze studni i żaden akt woli ich nie powstrzyma. - Uśmiechnął się z rezygnacją, przedstawiając styl myślenia siostry. - Ktoś, kto nie ma natury twórczej, z trudem to zrozumie. Ale tak to już jest, po prostu.

- Ochrona własnej prywatności to jedyny powód, dla którego przybrał pan pseudonim? - zapytał Alistair.

Victoria nie mogła się zdobyć na to, żeby na niego spojrzeć. Słyszała w jego głosie kpinę, sądziła bowiem, że nie wierzy Laurence'owi. Zresztą dlaczego miałby wierzyć, skoro zrobiła wszystko, żeby go przekonać, kto naprawdę jest Valentine'em Lawe'em?

- Przybrałem pseudonim także po to, żeby ochronić rodzinę - odrzekł Laurence. - Moje sztuki są z samej swej natury kontrowersyjne, nie chciałem więc, by ktoś z moich

najbliższych ucierpiał z tego powodu. Źle by było, gdyby ludzie wierzyli, że poglądy wyrażane w moich sztukach dzielają matka i młodsza siostra. Bo tak nie jest. Dlatego postanowiłem ukrywać moją tożsamość.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że członkowie pana rodziny nie wiedzą, że pan i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba? - zapytał z niedowierzaniem sir Michael.

- Niektórzy wiedzą. Victoria i ojciec wiedzieli, że chcę zostać dramaturgiem, a także stryj, który wystawił sztuki na własny koszt. Spodobały mu się, zaryzykował i to się opłaciło.

- Delikatnie mówiąc - prychnął sir Michael. - Te sztuki przynoszą mnóstwo pieniędzy.

- Sir Michaelu, teatr to nie tylko świątynia muzy Melpomeny, ale również przedsiębiorstwo - odparował Laurence. - Trzeba płacić gąże, szyć kostiumy i wykonać dekoracje, robić remonty i różne naprawy. Dlatego właściciel musi szukać najlepszych utworów, które przynoszą najwyższe zyski. Jeżeli moje sztuki to zapewniają, tym lepiej. - Tu Laurence z przepaszającym uśmiechem spojrział na ojca. - Wybacz mi, tato. Wiedzieliśmy, że nie uda się utrzymać tego w sekrecie w nieskończoność. Miałeś rację, gdy mówiłeś, że wraz ze wzrostem popularności moich sztuk będzie rosło także ryzyko, że sekret się wyda. Jednak dotychczas dobrze nam szło, prawda?

Pan Bretton, jak się można było po tej rewelacji spodziewać, wyglądał na zszokowanego.

- Tak, sądzę że tak - potwierdził.

- Laurence, dlaczego ty to robisz? - wyszeptała w końcu Victoria. - Nie ma potrzeby...

- Ależ jest potrzeba, moja kochana. Wspierałaś mnie bardzo walecznie i robiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby utrzymać moją anonimowość, narażając przy tym swoją reputację. A ja źle zrobiłem, pozwalając, żeby to tak długo trwało. Przepraszam cię za to - powiedział Laurence, dając godny podziwu popis gry aktorskiej. - Powiniennem być wyjść z ukrycia, gdy tylko zaczęła krążyć ta plotka, niestety, ociągałem się, czego bardzo żałuję. Gdy myślę, ile przez to wycierpiałaś, jak cię traktowano, okropnie się wstydzę.

- Więc nie ma pan nic przeciwko temu, żebym upublicznił tę informację? - zapytał sir Michael.

- Absolutnie nic. I im prędzej, tym lepiej, jeżeli o mnie chodzi - odrzekł Laurence. - Męczą mnie szeptaki krążące w towarzystwie na temat mojej rodziny. Chcę, żeby reputacja Victorii przestała cierpieć, pragnę, by moja siostra mogła znowu wieść normalne życie.

Victoria opadła na krzesło. Nie mogła już nic zrobić. Nic, prócz oświadczenia, że brat jest kłamcą, nie mogło już zmienić sytuacji. Sir Michael uwierzył, że Laurence i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba. I zamierzał rozgłosić to na cały Londyn. - No cóż, muszę powiedzieć, że bardzo rozjaśniło mi się w głowie - oznajmił zadowolony z obrotu sprawy sir Michael. - Choć nadal tak do końca nie rozumiem, dlaczego nie chciał pan przyznać się do własnego talentu, to oczywiście szanuję powody, dla których pan ukrył swoją tożsamość i mam wielkie uznanie dla szczerości, z jaką zdjął pan brzemię odpowiedzialności z barków siostry. Mam nadzieję, panno Bretton, że mi pani wybaczy i zrozumie, dlaczego zaszło to całe nieporozumienie. Teraz, gdy prawda wyszła na jaw, widzę, jak głupio postępowałem, wierząc plotkom. Dama tak doskonale wychowana jak pani nie popełniłaby takiego oszustwa. Chyba że, jak powiedział pani brat, w jego obronie, a za taką postawę należy panią tylko chwalić. Jestem pewien, że gdy wreszcie wszystko wyszło na jaw, czuje pani ulgę.

- Tak... to prawda... i niepotrzebne są tu słowa... - powiedziała słabym głosem Victoria.

- Również czuję ulgę. Pani brat jest utalentowanym pisarzem, a publiczność czeka na kolejne sztuki. Śmiem twierdzić, że jego życie teraz się odmieni. Podróże po Europie! Rzeczywiście! - powiedział sir Michael, ruszając do drzwi. - Już ja sobie porozmawiam z pańskim stryjem, kiedy tylko wrócę!

- Więc pan wyjeżdża? - zapytał pośpiesznie Laurence.

- Na kilka tygodni. Skontaktuję się z panem po powrocie. Mamy mnóstwo rzeczy do omówienia, młody człowieku, a ja już nie mogę się tego doczekać. No cóż, pożegnam państwa. Panno Bretton. Panowie.

Upłynęło kilka dobrych chwil, zanim ktoś się odezwał. Wyglądało to tak, jakby nikt nie wiedział, co powiedzieć. I przypominało scenę z jednej ze sztuk Victorii. Każdy z aktorów czekał, aż odezwie się któryś z pozostałych, nie mając pojęcia, co powie. Tak w każdym razie czuła się Victoria.

- No cóż. To... wiele wyjaśniło - odezwał się w końcu ojciec, marszcząc brwi.

- Wiele wyjaśniło... a przy tym nie było do końca niespodzianką - powiedział Laurence. - Wiedzieliśmy, że prawda musi wyjść na jaw, to tylko kwestia czasu. Ojczy, myślę, że powinieneś wysłać list do stryja i ostrzec go, że sir Michael chce go odwiedzić, ponieważ sir Michael nie jest zadowolony ze sposobu, w jaki stryj go zbył.

Ojciec i syn spojrzeli na siebie. Victoria wiedziała, co obaj myślą. Ten list to nie miało być zwykłe ostrzeżenie. To miało być wezwanie do broni.

- Tak. Sądzę, że masz rację. Zrobię to natychmiast - odrzekł ojciec. - Panie Devlin, proszę wybaczyć, że się oddalę. Mam nadzieję, że zostanie pan na skromny posiłek.

- Nie, dziękuję - powiedział Alistair szorstkim tonem. - Ja też muszę już iść.

- W takim razie... - pan Bretton spojrzął na syna - może przejdiesz ze mną do gabinetu, Laurence? Musimy omówić kilka kwestii, zanim twoja matka i Winifred wrócą do domu.

- Oczywiście, ojczy. Do widzenia, panie Devlin.

Alistair, który właśnie wciągał rękawiczki, nie spojrzął nawet na niego.

- Żegnam, Bretton - rzucił tylko.

A potem on i Victoria zostali w salonie sami. Dzielili ich zaledwie kilka stóp, jednak czuli się tak, jakby to było tysiąc mil.

- Przepraszam, Alistairze - powiedziała Victoria. - Nie miałam pojęcia, że mój brat zamierza to powiedzieć, ale sądzą, że mogę wyjaśnić...

- Jestem pewien, że pani może to wyjaśnić, jednak moim zdaniem nie ma takiej potrzeby - przerwał jej szorstko Alistair. - Usłyszałem i zobaczyłem już wszystko i muszę przyznać, że przedstawienie było znakomite.

- Przedstawienie? - powtórzyła Victoria zdławionym tonem.

- Tak. To, czego byłem świadkiem, mogło zostać odegrane na deskach Drury Lane. Moje wyrazy uznania, panno Bretton. Nie miałem pojęcia, że pochodzi pani z takiej teatralnej rodziny. I że pani sama jest tak uzdolnioną aktorką.

- Aktorką? - Zaszokowana Victoria cofnęła się o krok. - Nie rozumiem...

- Proszę nie zaprzeczać. Muszę stwierdzić, że gdy powiedziała mi pani, że jest pani Valentine'em Lawe'em, była pani przekonująca. Uwierzyłem w każde pani słowo.

- Bo mówiłam prawdę! Ja i Valentine Lawe to jedna i ta sama osoba!

- Naprawdę? To jak pani wytłumaczy fakt, że pani brat przed paroma minutami powiedział to samo o sobie, i to w obecności człowieka, który, gdyby dowiedział się, że został okłamany i wystrychnięty na dudka, mógłby zniszczyć waszą rodzinę?

- Nie potrafię tego wyjaśnić - powiedziała Victoria. - Dlatego właśnie chciałam porozmawiać z panem.

Nie miałam pojęcia, że Laurence powie coś takiego i nie wiem, dlaczego... Alistair, zaczekaj! Dokąd idziesz?

- Nie powinniśmy być tutaj sam na sam - odrzekł, kierując się ku drzwiom. - Choć wiedząc, z jakiej pani pochodzi rodziny, nie powinienem się dziwić...

- Z jakiej pochodzę rodziny? Co masz na myśli?

- Mam na myśli rodzinę aktorów i ludzi posługujących się zmysłami, potrafiących bez żenady odgrywać wygodne dla siebie role - rzucił jej w twarz. - W pani przypadku była to rola fikcyjnego dramaturga o nazwisku Valentine Lawe. Nie trzeba było aż tak się trudzić, bo chcąc mnie zniechęcić, wystarczyło po prostu powiedzieć mi prawdę.

- Zniechęcić? - Victoria otworzyła szeroko oczy. - Sądzi pan, że dlatego powiedziałam panu, że jestem Valentine'em Lawe'em? Żeby pana... zniechęcić?

- A cóż innego mogłem pomyśleć? Od samego początku twierdziła pani, że do siebie nie pasujemy - powiedział Alistair. - Ja nie chodzę do teatru i nie lubię maskarad, a dzięki temu, w jakiej rodzinie się urodziłem, nie muszę pracować. Bez ogródek wyraziła pani opinię, że nie różnię się od lorda Collinsa czy pana Bentleya-Hyde'a. Jednak ja, głupiec, chciałem panią przekonać, że jest inaczej. Zawiozłem panią do sierocińca, by pani udowodnić, że jednak mamy ze sobą coś wspólnego. Troskę o los tych, których życie potraktowało gorzej od nas, i szczerą chęć polepszenia ich doli. Co więcej, chciałem być

z panią szczerą. Chciałem dzielić z panią tę część mojego życia, którą musiałem ukrywać przed innymi. I wszystko po to, by przekonać się, że pani ze mną nie była szczerą!

- Jak może pan tak mówić! Powiedziałam panu prawdę! - zawołała Victoria.

- Swoją prawdę, panno Bretton. Nie prawdę pani ojca, stryja czy nawet brata. Wszyscy oni stwierdzili, że nie jest pani Valentine'em Lawe'em. Więc jakim cudem, w obliczu tego wszystkiego, ja miałbym uwierzyć, że jedyną osobą prawdziwą jest... pani?!

Victoria zamknęła oczy. Była zrozpaczona. Nie odezwała się już ani słowem, milczała, gdy Alistair wychodził. Ostatkiem sił walczyła, żeby panować nad sobą, bo jego gorzkie słowa złamały jej serce.

- Czy bardzo był zły?

Victoria odwróciła się i u stóp schodów zobaczyła brata. I nagle ogarnęła ją wściekłość.

- Jak mogłeś, Laurence?! Czy ty masz pojęcie, co zrobiłeś?!

- Tak. - Jego głos, w odróżnieniu od jej głosu, był spokojny. - Uratowałem twoją reputację.

- Uratowałeś?! Przez to twoje ratowanie pan Devlin jest przekonany, że go okłamałam, i nie chce mieć ze mną do czynienia!

- Przykro mi to słyszeć. Musisz jednak brać pod uwagę, że gra idzie o coś więcej niż tylko o twoją relację z panem Devlinem - odparł Laurence. - Gdybym ci pozwolił wyznać, że jesteś Valentine'em Lawe'em w chwilę po tym, jak ojciec temu zaprzeczył, nasza rodzina zostałaby zniszczona. W oczach towarzystwa stracilibyśmy wszelką wiarygodność, a Loftus by triumfował, bo bardzo nie lubi naszego stryja. A możesz sobie wyobrazić, jak by zaatakował, gdyby mu dać do ręki taką broń?

- Nie możesz wiedzieć, czy tak by postąpił.

- Mogę, bo nie sądzę, by dobrze zareagował na fakt, że zrobiono z niego idiotę. - Laurence zerknął w stronę frontowych drzwi. - A co powiedział pan Devlin?

- Oskarżył mnie o manipulowanie prawdą, by pasowało to do moich własnych celów. Powiedział, że jesteśmy rodziną aktorów i ludzi posługujących się zmyśleniem, a potem oskarżył mnie, że go okłamałam, gdy twierdziłam, że jestem Valentine'em La-

we'em. - Pokręciła głową, a łzy popłynęły jej po policzkach. - Zawsze sądziłam, że nie mam wielkich szans na przyszłość u boku Alistaira, ale nigdy, przenigdy nie chciałam, żeby nasza znajomość zakończyła się w ten sposób.

- Przepraszam - powiedział Laurence. - Naprawdę bardzo mi przykro. Gdyby było inne wyjście, na pewno bym je wykorzystał. Jednak to, co zrobiłem, było w tej nieszczęsnej sytuacji wyjściem jedynym.

- Nieprawda, Laurie - stwierdziła gorzko. - Mogłeś mi powiedzieć, co zamierzasz, a nie samowolnie tworzyć fakty dokonane w sprawie, która przede wszystkim mnie dotyczy. Mogliśmy to wspólnie omówić, wymyślić jakieś rozwiązanie.

- Przecież nie było czasu. Co więcej, sam nie wiedziałem, że tak postąpię, dopóki sir Michael nie zadał ci pytania. Zresztą gdyby był czas na narady, nie jestem pewien, czy w ogóle bym cię uprzedził. - Podszedł do niej i wziął ją za rękę. - Bo wiedziałem, że na pewno byś się nie zgodziła na takie rozwiązanie.

- Oczywiście, że nie! - Victoria wyrwała rękę z jego dłoni. - Skutki są takie, że pan Devlin brzydzi się mną, a ty igrasz z ogniem, Laurence. Przecież nawet nie pomyślałeś, jak to się odbije na twojej przyszłości!

- No tak... ale... dobrze... nie martwmy się na razie o moją przyszłość - powiedział cicho Laurence. - Bo są inne zmartwienia. Na przykład takie, że już jutro londyńskie towarzystwo będzie wiedziało, że ja i Valentine Lawe to ta sama osoba.

Victoria, choć zagniewana, uświadomiła sobie, że nie tylko jej własne życie uległo tego popołudnia ogromnej zmianie. Ona przestała być w centrum uwagi, a Laurence się w tym centrum znalazł.

- Czy naprawdę sądzisz, że sir Michael tak prędko puści w obieg tę wiadomość? - zapytała.

Naprawdę. Fakt, że ujawni tożsamość Valentine'a Lawe'a, sprawi, że stanie się jeszcze ważniejszą personą niż dotychczas. A to oznacza, że musimy przygotować się na to, co nas czeka. Ojciec pisze właśnie list do stryja Theo, trzeba też o wszystkim powiedzieć mamie i Winifred.

- Nie będą zadowolone - powiedziała ze smutkiem Victoria.

- Uwierz mi, odetchną z ulgą, bo przecież utrzymaliśmy w tajemnicy fakt, że autorką sztuk Lawe'a jesteś ty!

Laurence miał rację, co potwierdziło się bardzo szybko. W przeciągu pół godziny na Green Street zjawili się Theo i Tandy, a zaraz potem pani Bretton i Winifred wróciły z zakupów, i wszyscy oni, zgromadzeni w salonie, usłyszeli alarmującą wiadomość.

- Boże jedyny, Laurence, co cię do tego skłoniło? - zapytała zdumiona stryjka Tandy. - Właśnie ty... a nie kto inny... miałbyś być słynnym dramaturgiem?

- Nie miałem wyboru - odrzekł Laurence. - Gdybym milczał i dopuścił do tego, żeby Victoria powiedziała prawdę, postawiłbym nas wszystkich w okropnej sytuacji.

- I tak się w niej znaleźliśmy - stwierdziła cicho Victoria. - A na dodatek spiętrzyliśmy kłamstwo na kłamstwie.

- Tak czy inaczej, sądzę, że Laurence postąpił bardzo przyzwoicie - ocenił stryj Theo. - I rozumiem, dlaczego uznał takie postępowanie za właściwe.

- Kiedy się nad tym wszystkim dobrze zastanowić, nie jest aż tak źle - oznajmił Laurence. - Bo w końcu mam grać Valentine'a Lawe'a tylko w miejscach publicznych, Victoria może nadal pisać sztuki, a stryj Theo nadal je wystawiać. Można więc uznać, że przynajmniej w niektórych aspektach jest to idealne rozwiązanie.

- Wybacz, ale nie podzielam twojego optymizmu - powiedziała surowo pani Bretton.

- Ani ja - zawtórowała jej Winifred. - Bo od kiedy opowiadanie kłamstw jest idealnym rozwiązaniem czegokolwiek?

- W zasadzie zgadzam się. Nie jest nim - oznajmił stryj Theo. - Jednak w tym szczególnym przypadku Laurence ma rację. Kiedy małe kłamstewko ochrania nazwiska i reputację tak wielu osób, nie wyrządzając przy tym nikomu krzywdy, z pewnością cel uświęca środki.

- Małe kłamstewko? - powtórzyła zdumiona pani Bretton. - Czy naprawdę spodziewasz się, że będę to traktowała jako małe kłamstewko?

- Musisz o tym myśleć w ten sposób, mamo - stanowczo stwierdził Laurence. - Dżentelmen, który pisze sztuki, nie zostaje napiętnowany, a cała sytuacja traci posmak

skandalu. Victoria i Winifred mogą znowu bez obawy bywać w towarzystwie i przyjmować hołdy dżentelmenów.

- Tak - poparł go ojciec. - Co do mnie, to sędzę, że powinniśmy zaakceptować taki obrót sprawy.

- Nie zgadzam się, mój mężu! - zawołała matka. - I protestuję!

- A co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić? - zapytał ojciec. - Nieraz przecież twierdziłaś, że szansę na zamążpójście naszych córek niweczy to, że Victoria pisze... No więc teraz ten problem zniknął. Nie twierdzą, że lubię kłamać bardziej niż ty. Och, po prostu tego nie cierpię. Jednak w tej sytuacji kłamstwo pozwala na rozwiązanie kilku naszych problemów. A ponadto to Laurence, a nie Victoria musi teraz dźwigać brzemię tego, co się wydarzy. I mam nadzieję, że jesteś na to gotowy, synu.

Słowa ojca były dziwnie prorocze, gdyż w ciągu kilku dni wieść o przemianie spokojnego uczonego w uznanego dramaturga rozeszła się po salonach, a reakcja towarzystwa okazała się nadspodziewanie przychylna.

Największą korzyścią było to, że ponownie zaczęły przychodzić zaproszenia zarówno od tych, z którymi rodzina poprzednio utrzymywała stosunki towarzyskie, jak i od tych, z którymi takich stosunków nie miała. Panie domu, które dotąd bojkotowały Victorię, nagle szeroko otworzyły przed nią drzwi salonów, a wszyscy znajomi chcieli jak najwięcej usłyszeć o jej szykownym bracie, który okazał się romantycznym dramaturgiem.

Laurence także zaczął otrzymywać zaproszenia - na zebrania literackie i odczyty. Victoria z początku chodziła z nim, by go wspierać, wkrótce jednak okazało się, że jest mu całkiem niepotrzebna. Bowiem Laurence, choć niezbyt dobrze czuł się w miejscach publicznych, znacznie lepiej od niej znał się na Szekspirze. A ponadto głęboka humanistyczna wiedza i znakomita orientacja we współczesnym świecie ułatwiały mu rozmowy z uczonymi dżentelmenami szczycącymi się intelektualną wyższością.

Jednak ulubieńcem towarzystwa stał się dlatego, że nie chciał mówić o własnych osiągnięciach literackich. Z rezerwą odnosił się do pochwał i nawet ci, którzy jego twórczość krytykowali, musieli przyznać, że podziwiają jego skromność.

Obserwując go, Victoria dziwiła się bardzo, że nieśmiałemu molowi książkowemu tak łatwo przychodzi grać rolę uznanego dramaturga. Choć cała rodzina zdawała sobie sprawę, że jakaś mimowolna uwaga może nagle ujawnić prawdę, prawda wciąż pozostawała ukryta, a Victoria oddychała z ulgą, bo ludzkie spojrzenia nie były już zwrócone na nią.

Niestety wszystko to wcale nie przyczyniło się do zlikwidowania przepaści, która powstała między nią a Alistairem. Choć upłynęło już wiele dni, Victoria wciąż nie mogła zapomnieć o jego gniewie, a na myśl o tym, jak gorzko się rozczarował, wciąż pękało jej serce.

Pisała do niego dwa razy, ale listy wróciły nierozpieczętowane. Wyglądało więc na to, że Alistair nie chce mieć z nią więcej do czynienia.

W końcu coś w niej pękło, mianowicie to, że Alistair jej unikał, wzbudziło w niej gniew. Już nie była odrzuconą i zbolaną kobietą, tylko rozjuszoną damą. Dlaczego nie chciał jej wysłuchać? Dlaczego wszystko interpretował przeciwko niej? Dlaczego nie uwierzył, że powiedziała mu prawdę? Wyznała, że Valentine Lawe i ona to jedna i ta sama osoba, bo zależało jej bardzo, by między nimi zapanowała szczerłość. Zrobiła to, choć znała prawdopodobne skutki takiego posunięcia i wiedziała, jak to wpłynie na opinię Alistaira o niej. A jednak rzucił jej to potem w twarz, oskarżył o kłamstwo i stanął po stronie jej brata, gdy wystąpił ze swoim kłamstwem.

Jak to świadczyło o jego uczuciach dla niej? Jak mężczyzna, który twierdził, że ją kocha, mógł uwierzyć słowom kogoś innego, kto zadał kłam jej słowom?

A przecież niegdyś wydawało jej się, że panuje między nimi harmonia. W sierocińcu, gdy stali nad biedną małą Molly, zobaczyli się nawzajem w nowym świetle. Dostrzegli w sobie nawzajem szczerłość i troskę tak bardzo warte miłości. Gdy Alistair opowiedział tragiczną historię Heleny, której nie znał nikt prócz niego, Victoria poczuła, że otwiera przed nią duszę w sposób świadczący o najgłębszym zaufaniu.

A jednak to, co powiedział w salonie po wyznaniu Laurence'a, świadczyło o czymś wręcz przeciwnym. Jego słowa były dowodem, że jej nie ufa, przez co zniszczyły wszystko, co było przedtem między nimi. Dlatego z biegiem dni ogarnięta gniewem Victoria zdawała sobie coraz lepiej sprawę, że nie chce mu wybaczyć.

Gniew nakazał też jej unikać Alistaira Devlina. Nie szukała go przy towarzyskich okazjach, na które oboje byli zapraszani, nie jeździła też wczesnym rankiem konno po Hyde Parku. Jeżeli wybierała się do miasta, to zawsze z pokojówką albo z Winifred, która, podobnie jak Laurence, była teraz rozchwytywana.

Victoria martwiła się popularnością Laurence'a. Bała się, że nieśmiały brat, znalazłszy się w centrum uwagi, nie wytrzyma nerwowego napięcia, które nieodmiennie z taką sytuacją jest związane. Twierdził jednak, że mu to nie przeszkadza, powtarzał też, że nie wycofa się z tego, co powiedział, jednak wiedziała, że nie jest to dla niego łatwe.

A kiedy Laurence zaczął chudnąć i zamykać się na długie godziny w swoim pokoju, przestraszona nie na żarty Victoria, postanowiła porozmawiać ze stryjem.

- Chodzi o to, stryju, że Laurence nigdy nie szukał tego rodzaju rozgłosu - powiedziała, gdy spacerowali razem po Oxford Street. - Zawsze był z nas trojga najcichszy i najszczęśliwszy wtedy, kiedy mógł wetknąć nos w książkę.

- Dlatego uznano go za nudnego intelektualistę - odrzekł cierpko stryj Theo. - Jednak nie sądzę, by to, co się z nim dzieje, wychodziło mu na złe, bo wygląda na to, że stał się trochę bardziej pewny siebie.

- Ale to dlatego, że będąc wśród ludzi, nakłada maskę i odgrywa Valentine'a Lawe'a - stwierdziła ze smutkiem Victoria.

- Jeżeli maska pomaga mu grać bardziej przekonująco, to jestem za tym, żeby ją wkładał. - Wzruszył ramionami. - To samo robią moi aktorzy, gdy wychodzą na scenę.

- Ale to nie jest teatr, stryju, tylko prawdziwe życie, w którym złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom. A skoro już o tym mowa, to jak układają się stosunki pomiędzy tobą a Signy? Muszę przyznać, że doznałam ulgi, gdy dowiedziałam się, że jej nie zwolniłeś.

- Wyrzucenie jej byłoby szaleństwem, bo przyciąga widzów, a także niesprawiedliwością. Owszem, zachowała się niewłaściwie, jednak plotka, którą rozpuściła, nie była kłamstwem, więc nie mogłem postąpić wobec niej zbyt surowo. Oczywiście skarciłem ją za niestosowne zachowanie wobec ludzi wyżej postawionych, a także za to, że nieproszona weszła na bal maskowy u lady Drake. Powiedziałem, że postąpiła głupio, a ona przyjęła to dość potulnie. Obiecała nawet, że cię przeprosi, z tym że na twoim miejscu

nie uznałbym tych przeprosin za szczere. Ale, ale, Victorio, jak ty się w tym wszystkim odnajdujesz? Bo przecież Laurence stał się sławny dzięki twojej pracy.

- Mam mieszane uczucia - odparła zapatrzona w dal. - Z jednej strony czuję ulgę, mogąc pisać sztuki i wiedząc, że będą brane za utwory mojego brata, a z drugiej wydaje mi się to jeszcze bardziej nieuczciwe niż pisanie pod pseudonimem. Wciągnięta w to została druga osoba, a ja, kochając Laurence'a całym sercem, boję się, że odcierpi gorzko, gdy prawda się wyda.

- Kochana Vicky, powiem ci coś, bo wiesz, że nie powiedziałbym tego, gdybym w to nie wierzył. Otóż według mnie to, co zrobił Laurence, jest najlepszym wyjściem. Podając się za Lawe'a, usunął piętno, które mogło się odcisnąć na twoim nazwisku, czym utorował wam: i tobie, i Winifred, drogę do dobrego małżeństwa. Twoja matka nie musi się już bać, że rodzina będzie ignorowana przez towarzystwo. I choć nigdy nie pogodzi się do końca z tym, że jedno z jej dzieci jest związane z teatrem, pogodzi się z tym łatwiej, gdy świat będzie uważał, że jest to syn, a nie jedna z córek. Biorąc pod uwagę to wszystko, sądzę, że dobrze z tego wybrnęliśmy. No bo co by było, gdyby na przykład pan Devlin dowiedział się prawdy o Valentinie Lawie?

- On się jej dowiedział, stryju - odrzekła cicho Victoria. - Powiedziałam mu ją, zanim Laurence wygłosił swoje oświadczenie.

- Boże miłosierny, dlaczego?

- Bo nie mogłam pogodzić się z tym, że go okłamuję. Nie mogłam z tym żyć. On jest tak szczerym, uczciwym człowiekiem, a ja wiedziałam, że mnie szanuje.

- Czy ci się oświadczył? - zapytał z wielką powagą stryj.

- Nie, ale sądzę, że zamierzał. A ja nie mogłam na to pozwolić w sytuacji, gdy nie wiedział, kim jestem. A teraz brzydzi się mną.

- Tak powiedział?

- Nie musiał tego mówić. Usłyszałam to w jego tonie.

- Ale powiedziałaś mu prawdę, bo uważałaś, że szczerłość to najlepsza postawa?

- Oczywiście.

- A przyszło ci kiedyś do głowy, że lojalność to też cecha bardzo godna podziwu?

- Nie widzę w tym wszystkim na nią miejsca - odparła z westchnieniem.

- Nie? A ja widzę twoją lojalność wobec matki, której obiecałaś milczenie, i wobec siostry, o której przyszłość się troszczyłaś. Wobec popierających twój talent ojca i mnie. I wobec Laurence'a, któremu nie chciałaś przynieść wstydu. Szczerość to coś wartościowego, Victorio, ale lojalność także jest wielką wartością. Czasami, chcąc okazać lojalność wobec tych, których kochamy, nie możemy być do końca szczerzy. A teraz powiedz mi tak absolutnie szczerze. W jakim stopniu uszczęśliwiłabyś rodzinę, gdybyś tamtego dnia była szczerą wobec sir Michaela?

- W bardzo nikłym - odrzekła po chwili namysłu Victoria.

- W żadnym - poprawił ją stryj. - Towarzystwo przyjęło Laurence'a w jego nowej roli, ponieważ jest to akceptowalne. W twoim wypadku by tak nie było, a matka bardzo by cierpiała, widząc, że stosują wobec ciebie ostracyzm ludzie, którzy w jej oczach się liczą. I oboje dobrze wiemy, że gdyby Winifred nie wyszła dobrze za mąż, matka obwiniałaby o to ciebie.

- Ona już mnie o to obwinia, bo pan Fulton wycofał się i zajął inną panną.

- Oczywiście. Zajął się inną, bo jest młody i głupi i nie odróżnia pozorów od prawdy. Szczerze mówiąc, dla Winifred to lepiej, ale ani ona nie podziękuje mi za to, że tak mówię, ani matka nie przestanie myśleć po swojemu. A co do ciebie, to powiedziałaś Devlinowi prawdę i twoje sumienie powinno być czyste.

- Ale nie zaprotestowałam, kiedy Laurence powiedział sir Michaelowi, że to on jest Valentine'em Lawe'em. I on nienawidzi mnie za to.

- Z tego, co powiedział mi ojciec, wiem, że nie miałaś okazji, by zaprotestować. Laurence nie dał ci dojść do słowa.

- Mimo to powinnam była znaleźć sposób...

- Gdybyś znalazła - wpadł jej w słowo - zrujnowałabyś własną reputację, a na dodatek byś zniszczyła Valentine'a Lawe'a. Czytałaś recenzje Loftusa. Wiesz, jak ostro umie pisać. Znam go od dawna i wiem, że bardzo pomaga tym, których lubi, ale tych, których nie darzy sympatią, po prostu niszczy. Więc dobrze jest, jak jest, i im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W ciągu kolejnych kilku tygodni Alistair dużo myślał o swoich uczuciach dla Victorii, co zresztą bardzo go dziwiło. Zwykle z kimś, kto go okłamał, zrywał natychmiast, nie tracąc więcej czasu na znajomość, która w sposób tak oczywisty skazana była na rychły koniec. Jednak z Victorią nie potrafił tak zerwać.

Dzień, w którym odwiedził ją po raz pierwszy z zamiarem pomówienia o nadziejach na przyszłość, okazał się dniem, w którym wyznała mu na swój temat coś, o czym jemu się nawet nie śniło. Powiedziała, że znany dramaturg Valentine Lawe i ona to jedna i ta sama osoba. A potem, gdy znalazł się w jej domu po raz drugi i spotkał w salonie sir Michaela Loftusa, był świadkiem zdumiewającej sceny. Mianowicie jej brat podał się za Valentine'a Lawe'a, a ona temu nie zaprzeczyła.

Cóż więc dziwnego, że zareagował na to wszystko tak, jak zareagował? Tylko z szacunku dla Victorii nie skomentował całej sprawy od razu, jednak wysłuchawszy Laurence'a, wiedział, że Victoria go okłamała.

Tak, okłamała go. A jego olśniło. Wiedział już teraz, czym była jej „spowiedź”. Dobrze odegraną próbą podania się za dramaturga, czyli za osobę nie do zaakceptowania jako jego żona. Wszystko było jasne: kobieta, która zadała sobie tyle trudu, żeby go zniechęcić, nie mogła darzyć go prawdziwym uczuciem.

Wszystko, co robiła, było grą, a on, ponieważ ją kochał, uwierzył w każde jej słowo.

- Podoba mi się to, co tu zrobiłeś - powiedział Valbourg, rozglądając się po pokoju przeznaczonym klasę szkolną. - Słusznie usunąłeś ścianę, żeby wpuścić więcej światła.

- Nie chciałem, żeby dzieci uczyły się w ciemnym pomieszczeniu - odrzekł dziwnie przygaszony Alistair. - Dzieci mają prawo do tego, by wyglądać przez okno i marzyć.

- Nie spodziewałem się po tobie takiej uwagi - skomentował zaskoczony Valbourg.
- Zawsze sądziłem, że twardo stąpasz po ziemi.

- Jeżeli chcę zapewnić tym dzieciom warunki lepsze od tych, w których się dotąd wychowywały, muszę takie rzeczy brać pod uwagę.

- Skoro tak, to powinieneś pomyśleć także o usunięciu ściany w jadalni i urządzeniu tam oranżerii - zasugerował Valbourg. - Wychodzi na południe, więc światło słoneczne umożliwi urządzenie ogródka z ziołami i warzywami.

- Kapitalny pomysł. Polecę architektowi zmienić plany - odrzekł Alistair. - Ale podniesie to koszty.

- To nie problem, zapewnię potrzebne fundusze. Musisz mi tylko powiedzieć, ile ci potrzeba.

Szli dalej w milczeniu, sprawdzając postępy prac remontowych. Roboty przebiegały sprawnie, z czego Alistair oczywiście był zadowolony. Powinno to wprawić go w dobry humor, jednak wychodząc z przyjacielem do ogrodu, był w stanie myśleć tylko o Victorii.

- Co cię gnębi, Dev? - zapytał Valbourg, patrząc w dal, na wzgórze.

Zaskoczony Alistair rozejrzał się wokół, po czym odparł:

- Nic. A dlaczego pytasz?

- Od kilku tygodni jesteś zamyślony i ponury.

- Po prostu mam dużo spraw na głowie. Zajmuję się remontem, układam plany, wydaję ludziom dyspozycje. Nie mówiąc o tym, że musiałem skompletować umeblowanie. Wszystko to pochłania uwagę i jest czasochłonne.

- To prawda, ale Alistair Devlin, którego dotąd znałem, uwielbiał taki nawał zajęć - stwierdził Valbourg. - W szkole wszyscy wyglądaliśmy przy tobie na beznadziejnych guzdrałów.

- To dlatego, że większość z was była beznadziejnymi guzdrałami - zażartował Alistair. - Ale znasz mnie. Najlepiej się czuję, gdy mam dużo na głowie.

- Właśnie dlatego zdaje mi się, że jest jeszcze coś, co sprawia, że nie czujesz się najlepiej.

Alistair uśmiechnął się, ale pozostawił pytanie bez odpowiedzi, tylko zmienił temat:

- Myślę o zakupie łodzi, żeby starsi chłopcy mogli pływać po stawie.

- Wiosłowanie to bardzo dobre ćwiczenie fizyczne. Mogę się tym zająć, jeżeli chcesz.

- Będę ci bardzo wdzięczny - powiedział Alistair.

Szli dalej, aż w pewnej chwili Valbourg powiedział jakby od niechcenia:

- Niedawno miałem ciekawą rozmowę z panną Winifred Bretton.

- Tak? - Alistair utkwiał wzrok w spokojnym lustrze wody jeziora. - Nie wiedziałem, że się z nią spotykasz.

- Bo się nie spotykam. Pojechałem z nią i z jej matką na zakupy po materiały obiadowe do jadalni, i oczywiście rozmawialiśmy o tym i owym. Panna Winifred; jak mogłem to wywnioskować z jej słów, jest przekonana, że interesujesz się panną Victorią.

- Skoro tak sądzi, to się myli - odrzekł sucho Alistair. - Z panną Victorią nie łączą mnie żadne uczucia.

- A jednak spędziłeś sporo czasu w jej towarzystwie, prawda?

- Spotykaliśmy się przy różnych towarzyskich okazjach.

- I widziano was razem w teatralnej loży.

- Tak się zdarzyło ze względu na Isabelle.

- I zawiozłeś ją do pani Hutchins i dzieci?

To było trudniej wytłumaczyć, jednak wybrnął w taki oto sposób:

- Zaofiarowałem się, że odwiozę ją do domu, i przejeżdżaliśmy po drodze koło sierocińca.

- Dev, mieszkałem długo w Ameryce, ale nie zapomniałem, jak wygląda topografia Londynu. Green Street nie znajduje się w pobliżu sierocińca. Więc co jest między wami?

- Valbourg spojrział uważnie na przyjaciela. - Czy się oświadczyłeś i dostałeś kosza?

- Oczywiście, że nie.

- Ale darzysz ją uczuciem?

Alistair bardzo pragnął zaprzeczyć, jednak nie potrafił tego zrobić. Przecież doskonale wiedział, że gniew i żal nie istnieją w próżni. Istnieją tylko tam, gdzie poprzednio była miłość.

- Żywiłem do niej uczucie - powiedział krótko. - Jednak gdy dotarły do mnie pewne fakty, gdy poznałem, co jest prawdą, moja opinia na jej temat się zmieniła.

- Dziwne. Choć znam ją krótko, panna Bretton wydaje mi się młodą kobietą godną najwyższego podziwu i zaufania. Mądra, bardzo bystra, szczerą, świetnie się wysławia...

- Jeżeli tak bardzo ci się podoba, to dlaczego sam jej się nie oświadczysz? - burknął Alistair.

- Bo moje uczucia są ulokowane gdzie indziej.

- Winifred? - zapytał Alistair.

- Nie. Nie znasz tej damy i nie proś mnie, bym ci powiedział, kim jest, bo tego nie zrobię - odrzekł Valbourg z rozbijającym uśmiechem. - A co do spraw między tobą a panną Victorią Bretton, to mam nadzieję, że przynajmniej dołożysz starań, żeby wyjaśnić sytuację.

- Nie ma tu nic takiego, co wymaga wyjaśnienia - odrzekł Alistair, sam w to nie wierząc.

Podobnie jak Valbourg, który oznajmił żywo:

- Nie zgadzam się. Bez względu na to, od kogo słyszałeś owe „prawdy”, powinienś zapytać damę, czy są zgodne z rzeczywistością.

- A gdybym ci powiedział, że to nie ma sensu?

- To będzie zależało od tego, kim jest ten ktoś, kto ci te „prawdy” wyjawiał. Jeżeli uważasz, że jest to osoba wiarygodna, to cóż, nic więcej nie mam do powiedzenia. Ale jeżeli nie...

- Jest tak bardzo wiarygodna, że trudno by było zignorować jej słowa - odrzekł Alistair.

Chodziło oczywiście o Laurence'a Brettona, którego Victoria darzyła nie tylko miłością, ale i najgłębszym szacunkiem. Czyli uczuciami, których poskapiła Alistairowi.

Jednak Valbourg miał rację. Należało z Victorią jeszcze raz pomówić, i to rozważnie, spokojnie, bez tych wszystkich emocji, jak poprzednio. Nie myślał wtedy jasno i zareagował gniewem. Ale gdy minęło już kilka tygodni i był czas, by wszystko przemyśleć... no i jeśli Victoria nadal darzy go uczuciem... być może uda im się pogodzić...

Bo jeśli o niego chodziło, to Bóg wiedział, że kocha ją wystarczająco mocno, by podjąć tę próbę.

Podczas wieczoru u lady Morgan Victoria tańczyła z panem Tiffordem. Owszem, był dobrym tancerzem i miłym człowiekiem, a jednak nie potrafiła go docenić. Nie pozwalała jej na to zły nastrój, w którym się znajdowała od chwili, gdy Alistair tak gwał-

townie opuścił ich dom przy Green Street. Wciąż była w fatalnym, humorze, nawet rozmowa ze stryjem Theo niewiele pomogła na jej zgryzotę.

Choć przecież powinna była poczuć się lepiej po tej rozmowie, bo stryj wytłumaczył jej, że kłamstwo, którym się posłużyli, ma więcej zalet niż wad. No i być może Alistair już jej wybaczył...

Lecz skoro tak, to dlaczego nie pojawia się na zebraniach towarzyskich i nie stara się jej spotkać?

Gdy taniec skończył się, pan Tifford odprowadził ją do krzeseł stojących pod ścianą. Victoria popatrzyła na siostrę, którą odprowadził pan Fulton i do której w kolejce ustawił się już sir Anthony Deverill. Na ładnej twarzy Winifred nie malowało się już napięcie. Przeciwnie, była szczęśliwa, wesoła i pewna siebie, od kiedy jej sytuacja towarzyska radykalnie się poprawiła, co stało się zaraz potem, jak jej brat awansował do świata literatury.

Niestety Victoria nie mogła tego samego powiedzieć o sobie. Była zła i nieszczęśliwa, z trudem maskowała fatalny nastrój.

- Panno Bretton, czy następny taniec ma pani zajęty?

Gwałtownie odwróciła głowę. Nie musiała sprawdzać w karneciku, wiedziała, że do walca nikt jej jeszcze nie poprosił. Ale nie spodziewała się, że uczyni to właśnie on.

- Nie, panie Devlin, jednak dziwię się, że chce pan tańczyć z osobą, którą pan ma za aktorkę i kłamczuchę. - Z satysfakcją zauważyła, że Alistair się zarumienił.

- Moja kuzynka jest przekonana, że przestaliśmy się lubić, a ja nie chcę, żeby tak myślała.

- Niby dlaczego, skoro taka jest prawda?

- Być może z pani punktu widzenia.

- I z mojego, i z pańskiego. Nie pozostawił mi pan co do tego żadnych wątpliwości, gdy ostatnio się widzieliśmy.

- Czy może pani mieć o to do mnie pretensję?

- Nie całkiem - odparła po sekundzie namysłu, starając się być sprawiedliwa. - Owszem, mogę zrozumieć pana reakcję, jednak zastygł pan w niej, nie próbował pan zrozumieć ani moich racji, ani mojej sytuacji. - Rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Bardzo

mi się nie spodobało, że nie dał pan mi szansy na wyjaśnienie... - A skąd miałem wiedzieć, że powie mi pani prawdę? - odciął się Alistair. - Uwierzyłem pani, gdy mi pani powiedziała, że Valentine Lawe i pani to jedna i ta sama osoba, a potem nie zaprzeczyła pani, gdy pani brat twierdził to samo o sobie.

- Bo nie mogłam tego zrobić! - niemal wykrzyknęła. - Przecież pan tam był, widział i słyszał wszystko, ale nie potrafił pan zrozumieć, w jakiej znalazłam się sytuacji? Aż tak był pan zajęty swoją złością na mnie? - rzuciła cierpko. - Nie widział pan, że Laurence nie dał mi dojść do słowa? I nie dotarło do pana, że nie mogłam pozwolić, żeby wyszedł na głupca w oczach kogoś takiego jak sir Michael Loftus? Przecież cokolwiek bym powiedziała, zabrzmiałoby okropnie!

- Już dobrze. Spróbujmy porozmawiać spokojniej. - Alistair wyciągnął rękę. - Proszę mi to dokładniej wyjaśnić.

- Co? Tutaj? - zdumiała się.

- A dlaczego nie? Podczas walca jest się dostatecznie blisko, by swobodnie rozmawiać, a muzyka zagłuszy nasze słowa.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę o tym mówić - powiedziała przekornie.

- W takim razie - jego ręka wciąż była wyciągnięta - proszę ze mną zatańczyć i pozwolić mi wierzyć, że okłamała mnie pani z tego powodu, którego się domyśliłem.

- Ależ nie! Tak nie było! - powiedziała wzburzona.

Kiedy uniósł brwi, zorientowała się, że mówi podniesionym głosem, przez co wzbudza ogólne zainteresowanie, dlatego wprawdzie z ociąganiem, jednak wyciągnęła do Alistaira rękę. Nie wolno im było dawać powodu do plotek, bo teraz, gdy towarzystwo wiedziało, że Alistair nie zamierza poślubić lady Sarah Millingham, zaczęto spekulować, komu planuje się oświadczyć, i każda kobieta, z którą go widziano, uznawana była za przypuszczalną kandydatkę na jego żonę.

Pani Bretton nie czyniła tajemnicy ze swych nadziei, że będzie to jej starsza córka, lecz Victoria wiedziała swoje. Alistair stracił do niej szacunek, rozczarowała go przecież już dwa razy i na pewno nie chce tego samego przeżywać po raz kolejny.

- W widoczny sposób marszczy pani brwi, panno Bretton - powiedział Alistair, biorąc ją w ramiona. - Albo moje towarzystwo pani nie odpowiada, albo jest pani bardzo zamyślona.

- Gdyby nie odpowiadało mi pańskie towarzystwo, nie dałabym się zaprosić do walca - odrzekła, mając nadzieję, że Alistair nie wyczuje, jak bardzo łomocze jej serce. - I mogę pana zapewnić, że nie myślę o niczym innym, jak tylko o przyjemności płynącej z tańca.

- Miło mi to słyszeć, bo nie chciałbym, żeby pani tańczyła ze mną z poczucia obowiązku.

- Powinien pan już wiedzieć, że nie robię niczego, czego nie mam ochoty robić. - Umknęła wzrokiem.

- To ciekawe. Pani brat mówił, że podawała się pani za Valentine'a Lawe'a, żeby chronić jego anonimowość. Jednak musiała pani wiedzieć, jak to się odbije na pani reputacji - powiedział Alistair. - Nie uwierzę, że w różny sposób wyrażana przez towarzystwo dezaprobata była czymś, czego pani oczekiwała z radością.

- Nie zna mnie pan wystarczająco dobrze, żeby móc na ten temat coś powiedzieć.

- A ja myślałem, że znam panią... W każdym razie... kiedyś tak myślałem.

- Milordzie... - Zmieszana Victoria znieruchomiała w jego ramionach, a potem próbowała się z nich wyzwolić.

Jednak Alistair przytrzymał ją mocniej, mówiąc dalej:

- Patrzą na nas, więc proszę zachować spokój, bo przecież na pewno nie chce pani, żebyśmy się stali przedmiotem plotek.

- Bardzo bym tego nie chciała, panie Devlin. - Zerknęła na niego gniewnie. - Tyle że pan mnie prowokuje.

- To prawda. - Uśmiechnął się niespodziewanie. - Czy ktoś już kiedyś pani powiedział, jaka pani jest śliczna, gdy się panią rozdrażni?

Wykonał obrót, obejmując ją w talii i przyciągając bardzo blisko. Poczowała ciepły oddech na skroni. Ich ciała się zetknęły i choć trwało to tylko moment, zadrżała. Znaleźli się tak blisko siebie po raz pierwszy od czasu rozmowy w salonie, a Victoria, czując jego bliskość, uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskniła. Nigdy dotąd żaden mężczyzna

tak na nią nie działał i wątpiła, czy znajdzie się inny, przy którym poczuje się w ten sposób.

- A tak przy okazji, zamierzałem podziękować pani za pani hojny dar - powiedział.

- Dar? - zapytała, podnosząc na niego wzrok.

- Za kopertę, którą pani zostawiła w sierocińcu. Pani Hutchins, która nie spodziewała się mojej wizyty, zapomniała zabrać ją ze stołu.

Victorię kusiło, by wyprzeć się darowizny, jednak postanowiła przecieżyć, że nie będzie więcej kłamstw między nimi.

- Nie chciałam, żeby pan się dowiedział, skąd są te pieniądze. Pragnęłam tylko zrobić coś dla dzieci.

- Ale dlaczego? Przecieżyć stać mnie na to, by zaspokoić ich wszystkie podstawowe potrzeby.

- Wiem. Jednak ja, po spędzeniu tej odrobiny czasu z nimi, chciałam zrobić coś specjalnego, poczuć, że przyczyniam się do poprawy ich losu. Chciałam umilić im życie... dać trochę pieniędzy czy to na wstążki dla dziewczynek, czy na buty dla chłopców. Albo po prostu na słodycze na podwieczorek.

- Słodycze? - Ubawiony Alistair uniósł brwi. - Suma, którą pani zostawiła tym dzieciom, zapewni im słodycze aż do czasu, gdy ponownie zdziecinnieją ze starości.

Victoria była tak zaskoczona tą uwagą, że się roześmiała.

- To prawda - przyznała. - Ale mają tak niewiele.

- Jak już mówiłem, moją misją jest zapewnić im wszystko, czego potrzebują. Jednak pani podarunek świadczy o wielkiej trosce i składam na pani ręce gorące podziękowania.

Pokiwała głową, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. Dlaczego to wszystko jest takie trudne? Powtarza sobie w nieskończoność, że nie odzyska dobrej opinii w oczach Alistaira Devlina, a ona nie mogłaby żyć z kimś, kto tak źle o niej myśli. Dlaczego jednak nie może się zmusić, by w to uwierzyć?

- A tak przy okazji - powiedziała po chwili - słyszałem jeszcze jedną plotkę, która obiegła całe miasto. O pewnej młodej damie, która planuje wyjechać za granicę.

Victoria zacisnęła usta. Nie było wątpliwości, kto rozpuścił tę plotkę.

- Przykro mi, że stało się to powszechnie wiadome. Prosiłam Winifred, żeby nic nie mówiła.

- Skąd pani wie, że to pani siostra?

- Bo Laurence'owi ufam. Brat potrafi dochować tajemnicy.

- Jest pani tego pewna? - Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Victoria poczuła, że policzki jej płoną, zrozumiała więc, że pierwsza odwróciła wzrok, natomiast Alistair spytał: - A zatem mogę wnosić, że ta plotka mówi prawdę?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo chcę podróżować.

- A nie zostać w Londynie i znaleźć męża? Pani matka z pewnością nie jest zadowolona z takich pani planów.

- Nie jest, ale to moja decyzja.

- Naprawdę rodzice zapłacą za podróż, która budzi ich sprzeciw?

- Nie oni, tylko ja za nią zapłacę - odparła może i obronnym, ale jednak pełnym dumy głosem. - Pieniądze, które otrzymam za moje sztuki, pokryją wszystkie koszty.

- Pani sztuki? - powtórzył Alistair. - Jakie to dziwne słyszeć, że to są pani sztuki, gdy człowiek widzi, jak bardzo pani brat przystosował się do roli Valentine'a Lawe'a. Słyszałem, że wygłasza odczyty podczas zebrań literackich, a niektórzy nawet mówią, że chwali się swoją sławą.

- Zatem nie znają mojego brata. Laurence absolutnie nie należy do tych, którzy się chwala. Jest to sprzeczne z jego naturą.

- Czy będzie pani podróżowała sama? - zapytał, zaglądając jej w oczy.

- Oczywiście zamierzam wyruszyć z pokojówką, ale Laurence wyraził gotowość przyłączenia się do nas, gdy będzie mógł.

- Naprawdę? - spojrzenie Alistaira stało się przenikliwe. - I podczas tej waszej wspólnej podróży napisze następną sztukę?

Victoria pomyliła kroki. Nie wierzył jej. Wciąż myślał, że to Laurence jest Valentine'em Lawe'em.

- Nie mam pojęcia, co mój brat zamierza robić - odrzekła chłodno. - Jeżeli zechce pisać, ja go od tego nie powstrzymam.

- A co pani będzie robiła, gdy pani brat będzie pisał swoje kolejne wielkie dzieło? Powiedziała mi pani kiedyś, że pisanie to *pani* pasja. Weźmie pani zatem pióro i zacznie pisać burzliwą historię młodej pary ze starożytnym Rzymem w tle? - zapytał cicho. - Napisze pani historię zdobytej i utraconej miłości? Czy zadowoli się pani picciem słodkiego wina we Florencji lub malowaniem zachodów słońca na wzgórzach Toskanii?

Victoria zamknęła na chwilę oczy. Co za okrucieństwo! Zadawać takie pytania na sali balowej pełnej ludzi, gdzie najbledszy rumieniec czy westchnienie mogą ją zdradzić. Doprawdy, jej uczucia nic go nie obchodzą, bo przecież w innym razie tak demonstracyjnie by ich nie lekcewał.

- Mogę robić to wszystko, co pan wymienił, albo nic z tego nie robić - odparła, zachowując spokój. - Ale rozkoszować się będę wolnością, która pozwala mi być tym, kim chcę. Tego może pan być pewien.

- A gdy już znajdzie się pani tak daleko, czy będzie pani o kimś myślała? - zapytał.

Taniec się skończył... i Victoria cofnęła się. Nie tonęła już w ramionach Alistaira. Choć tak bardzo nie chciała go okłamywać, akurat na ten temat nie mogła powiedzieć mu prawdy.

- Człowiek musi mieć powód, żeby za kimś tęsknić, panie Devlin. Mnie takiego powodu nie dano. Dano mi natomiast liczne powody, bym za nikim nie tęskniła. Dobranoc.

Nie czekała na jego odpowiedź, bo i po co? Nic z tego, co teraz mówił, się nie liczyło. Nie przeprosił jej przecież za swoje postępowanie, nie próbował niczego załagodzić. Po prostu zadał jej kilka pytań, wygłosił nic nieznaczący komplement, a potem zmienił temat. Gdy taniec się skończył, nie znajdowali się bliżej zgody, niż gdy się zaczęli.

Kiedy nieco później go zobaczyła, uśmiechał się do ładnej młodej damy, której nie знаła, doszła więc do wniosku, że wcale nic nie chce załagodzić ani tym bardziej dojść z nią do zgody. Dowód na to miała przed sobą jak na dłoni. Czy było zatem dziwne, że przyszłość przedstawiała jej się jako zbyt długa i zbyt ponura?

Tej nocy Victoria miała okropne sny. Właściwie nie spała, tylko majaczyła o sir Michaelu Loftusie, którego dźgnął nożem uśmiechnięty od ucha do ucha Prospero, podczas gdy ona, a nie Miranda, wypłakiwała sztuczne łzy przy akompaniamencie śmiechu Laurence'a i oklasków widowni. Nic więc dziwnego, że majacząc tak i drzemiąc na zmianę, z ulgą dała się pokojówce obudzić wczesnym rankiem.

Reszta dnia nie okazała się lepsza od nocy. Victoria składała poranne wizyty wraz z siostrą, czas miała zatem wypełniony, jednak jej rzeczywista sytuacja nie ulegała zmianie. Nie mogła nawet marzyć o przyszłości u boku Alistaira Devlina, a świadomość tego faktu doprowadziła ją do ostatecznej decyzji.

Postanowiła, że wyjedzie z Anglii już teraz, zanim popadnie w jeszcze większe przygnębienie. Wyjedzie do słonecznych Włoch, a tam będzie spędzała smutne dni w ciepłym słońcu Toskanii. No bo po co miałyby zostawać dłużej w Londynie? Do jej siostry zalecało się kilku dżentelmenów, Laurence odgrywał swoją dziwną literacką karierę, a ojciec był szczęśliwy, że może znowu zagłębić się w książkach. Nawet matka zaakceptowała istniejący stan rzeczy i ponownie oddawała się życiu towarzyskiemu. Tylko Victoria, chodziła przygnębiona. Dlaczego więc nie miała wyjechać z tego tak pełnego przykrych wspomnień miasta?

- Ale czy mogłabyś wyjechać, nie powiedziawszy prawdy Devlinowi? - zdziwił się Laurence na drugi dzień przy śniadaniu.

- Mogłabym, ponieważ powiedzenie prawdy nic nie da. - Odłożyła sztućce i odsunęła talerz. - Zrobiłam przecież wszystko, co mogłam, żeby go przekonać, jaka jest prawda, jednak on nie chce uwierzyć, że Valentine Lawe to mój, a nie twój pseudonim literacki. Zresztą dlaczego miałby w to uwierzyć, skoro towarzystwo z otwartymi ramionami przyjęło ciebie w roli dramaturga? Poza tym wygląda na to, że pan Fulton wkrótce oświadczy się Winifred, więc po co miałabym robić coś, co w tym ponownie przeszkodzi?

- Ponieważ tego wymaga twoje sumienie! - odrzekł Laurence. - Przed chwilą powiedziałaś, że nie możesz spać, bo dręczą cię koszmary, masz też dolegliwości gastryczne. To się nie skończy, dopóki sprawy między wami nie zostaną uporządkowane.

- Nie, Laurence, nie ma żadnych spraw do uporządkowania. Gdyby pan Devlin chciał zmienić swój stosunek do mnie, zrobiłby to już dawno. Ale on tego nie chce, a ja nie będę się upokarzała, zabiegając o to. To prawda, że to ja sprokurowałam pierwsze kłamstwo, ale drugiego już nie. I to on powinien teraz przeproszać. Dał mi jednak jasno do zrozumienia, że nie zamierza tego zrobić!

- Zatem wychodzi na to, że to ja wszystko popsułam - powiedział cicho Laurence. - Myślałem, że postępuję słusznie, podając się za Valentine'a Lawe'a, a efekt jest taki że straciłaś ukochanego. Bardzo przepraszam, Victorio naprawdę nie chciałem ci wyrządzić krzywdy.

- Wiem, Laurence. - Wzięła go za rękę. - Próbowaleś tylko mnie ochronić. Przecież nie mogę cię obwiniać o to że przedkładasz potrzeby wszystkich ponad swoje własne. To, co zrobiłaś, było niesamolubne i szlachetne, a biorąc wszystko pod uwagę, wyszło na dobre naszej rodzinie. Ale z całą pewnością rozumiesz, dlaczego chcę wyjechać, prawda?

- Bo wciąż go kochasz.

- Tak! - Cofnęła rękę. - I gdy się dowiem, że Devlin zwiąże się z inną kobietą, złamię mi to serce. Bo przecież będę wiedziała, że mogło być inaczej.

- Rozumiem, siostrzyczko... Problem w tym, że nie możesz jechać do Włoch sama, a ja w tej chwili nie mogę opuścić Londynu.

- Wiem, dlatego pojedę z Angelique, a ty dołączysz do nas, kiedy będziesz mógł.

- Możliwe, że sztuka będzie grana przez kilka miesięcy. Czy chcesz przebywać za granicą aż tak długo?

Victoria podniosła do ust filiżankę. Jak ma mu wytłumaczyć, że mogłaby w ogóle nie wracać do kraju, gdyby to oznaczało, że nigdy więcej nie stanie twarzą w twarz z Alistairem?

- Zobaczymy, jak to wszystko się ułoży. Możemy pisywać do siebie raz na tydzień, a ja za miesiąc zorientuję się, jak się czuję. Mogę przecież pokochać Włochy i nigdy nie wrócić.

Przez chwilę w pokoju słychać było tylko szum deszczu za oknami. A potem Laurence zapytał:

- Czy sądzisz, że kiedykolwiek wyjdiesz za mąż?

- Nie wiem. - Było to pytanie, które sama zadawała sobie wiele razy. - Nie jestem pewna, czy nadaję się na żonę. Chciałabym pożytecznie wykorzystać swoje życie, a będąc mężatką, tego nie dokonam. Wiem, że się ze mną nie zgadzasz! Ale to dlatego, że jesteś mężczyzną i widzisz to wszystko w innym świetle. Wiem też, że różne możliwości stoją przede mną otworem. Można mi pozazdrościć faktu, że mam środki na to, by mieć własny dom. A mieszkając sama, będę całkiem szczęśliwa.

- Więc chcesz wyjechać z Londynu, nie przejmując się tym, że Devlin myśli o tobie jak najgorzej - podsumował Laurence.

- Bo już nie mam siły, by się tym przejmować. Wiem, co on czuje, Laurie. Wiem też, że najlepiej zrobię, gdy to zaakceptuję i będę żyła dalej. Gdy wrócę do Londynu z podróży, on będzie z pewnością żonaty albo zaręczony i wszystko między nami się na dobre skończy.

- I będziesz szczęśliwa, wiedząc o tym?

- Nie, ale zaakceptuję to, bo nic innego nie będę mogła zrobić - powiedziała Victoria, nie patrząc na niego. - Tak po prostu. I nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Alistair przebierał się właśnie do kolacji, gdy w garderobie pojawił się jego kamerdyner z listem.

- Ten list przyszedł przed chwilą, milordzie - oznajmił.

- Czy ktoś czeka na odpowiedź? - zapytał tylko.

- Nie, sir.

- A więc zostaw go tam. Zajmę się nim później.

Kamerdyner uklonił się i położył list na toaletce.

Alistair stał przez chwilę, czekając, aż służący poprawi mu fular i omiecie szcnotką ubranie. Kolacja z rodziną miała zawsze bardzo oficjalny charakter, więc ubierał się starannie, zwłaszcza wtedy, kiedy nie czuł się za dobrze lub był, tak jak dziś, w podłym nastroju. Nastrój ten trwał u niego od ostatniej rozmowy z Victorią. Rozmowy, którą poprowadził nie tak, jak należało, i po której nie było raczej nadziei na zgodę.

A przecież szedł na tamten bal, spodziewając się tak wiele. Wziąwszy sobie do serca słowa Valbourga, odszukał Victorię, by ją przeprosić. Miał ogromną nadzieję, że

przeprasiny przyjmie i zaczną wszystko od nowa. Tak bardzo pragnął zobaczyć jej uśmiech, taki jak ten w sierocińcu, i usłyszeć, że bardzo jej na nim zależy, a potem jeszcze raz przeżyć chwile podobne do tych, które przeżyli podczas balu maskowego u lady Drake.

Jednak Victoria zachowała się zupełnie inaczej. Gdy wziął ją w ramiona i poprowadził do tańca, była niechętna, wręcz sztywna w jego objęciach, stawiała mu opór, odwracając oczy i podnosząc buntowniczym ruchem swój śliczny podbródek.

Tylko raz, gdy przyciągnął ją do siebie podczas obrotu, straciła na chwilę opanowanie. Jej dłoń zadrżała w jego dłoni, a kiedy spojrzał jej w oczy i zobaczył, jak jest zmieszana, ucieszył się, że jego bliskość działa jednak na nią bardziej, niż chciałaby przyznać. On jednak, zamiast iść za instynktem i zagadnąć ją o uczucia, zrobił rzecz najgorszą, jaką mógł w tej sytuacji zrobić.

Zmienił temat. Podziękowawszy za darowiznę dla sierocińca, zapytał, czy naprawdę wyjeżdża z Londynu i czy będzie podczas podróży za kimś tęskniła.

Postąpił głupio, bo przecież oboje wiedzieli, kogo ma na myśli.

W jej głosie, delikatnie mówiąc, nie było choćby krztyny serdeczności, gdy mu odpowiedziała, że człowiek musi mieć powód, żeby za kimś tęsknić, a jej nikt nie dał takiego powodu. Przeciwnie, dano jej powód do tego, żeby nie tęsknić za nikim.

Wspomnienie twardego tonu i nieprzyjaznych słów sprawiło, że tamtej nocy, po balu, a także przez kilka kolejnych, Alistair nie zmrużył oka. Jednak wspomnienie jej oczu i ulotnego wyrazu skruchy, jaki się w nich na moment pojawił... dawało mu nadzieję. Gdyby nie darzyła go uczuciem, z pewnością nie patrzyłaby na niego w ten sposób. W jej spojrzeniu byłyby tylko niechęć i pogarda.

A przecież to nie niechęć i pogarda sprawiły, że zadrżała w jego ramionach.

Nie było to wiele, jednak dawało Alistairowi nadzieję. Gdyby pozwolił Victorii odejść, gdyby jeszcze raz, po raz ostatni, nie postarał się wszystkiego naprawić, byłby większym głupcem niż ten, za którego się teraz uważał.

- Pańskie rękawiczki, sir - przypomniał mu służący i dodał: - Powóz czeka.

Alistair, pochłonięty swoimi myślami, spojrzał na rękawiczki niewidzącym wzrokiem.

- Dziękuję, Beech. Nie czekaj na mnie. Po kolacji u rodziców pojedę do klubu.

- Dobrze, sir.

Służący ukłonił się, a gdy drzwi się za nim zamknęły Alistair przypomniał sobie o liście. Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył, kto jest nadawcą. Potrzymał go przez chwilę w dłoniach, złamał pieczęć i zaczął czytać z początku z niedowierzaniem, a potem z coraz większą przyjemnością. Następnie przeczytał go po raz drugi, a potem, w zamyśleniu, położył go na stole.

- Czy to możliwe...? - mruknął.

Wyciągnął z kieszonki i otworzył zegarek. Było wpół do siódmej, a u rodziców spodziewano się go o ósmej. W liście proszono, żeby przyszedł przed siódmą, co kolidowało z jego planami. Czy to zbieg okoliczności, czy coś więcej? - zastanowił się Alistair, po czym naciągnął rękawiczki, zszedł zdecydowanym krokiem po schodach. wyszedł na zewnątrz, wsiadł do oczekującego powozu i kazał stangretowi jechać na Green Street.

Victoria, patrząc na list, czuła, że serce zaczyna jej łomotać.

- Chce mnie odwiedzić? - Spojrzała spłoszona na brata. - Ale po co?

- Skąd mam wiedzieć? - odrzekł Laurence. - Jestem tylko posłańcem.

Znowu spojrzała na list Alistaira. Pismo było niewyraźne, gdyż pisał w pośpiechu, ale treść całkiem jasna. Chciał się z nią zobaczyć dziś wieczorem, ponieważ są sprawy, które trzeba omówić, a on ma coś ważnego do powiedzenia i bardzo liczy na pozytywne rozwiązanie.

Victoria spojrzała na zegar. Była szósta czterdzieści dwie. Alistair pisał, że przyjdzie przed siódmą, miała więc na podjęcie decyzji mniej niż dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut na zdecydowanie, czy wykorzysta niespodziewaną okazję, by się z nim pogodzić. Czy też stwierdzi, że jest na to za późno.

Przypomniała sobie wieczór, podczas którego pocałował ją w ogrodzie. To, co wtedy mówił, płynęło z głębi serca, a jej wówczas wydawało się, że wszystko jest możliwe.

- Jak myślisz, Laurence - zapytała, wstając. - Niebieski jedwab czy lawendowy?

Gdy zjawił się Alistair, Victoria siedziała przy fortepianie. Zbyt przejęta, by czytać, zwróciła się ku muzyce, wiedziała bowiem, że da to zajęcie i rękóm, i myślóm. Ale kiedy punktualnie o siódmej usłyszała pukanie, poczuła, że ma pustkę w głowie, a palce na klawiaturze zamarły.

- Już czas, moja kochana - powiedział siedzący za jej plecami Laurence, wstając, a ona kiwnęła tylko głową. - A tak przy okazji, wyglądasz pięknie - dodał szeptem brat, gdy stanęła koło niego, by przyjąć gościa. - Lawendowy to świetny wybór.

Victoria uśmiechnęła się niepewnie.

- Pan Devlin - zaanonsował kamerdyner.

- Dziękuję, Quince - powiedział Laurence. - Dobry wieczór panu.

- Dobry wieczór - Alistair wszedł do salonu powolnym krokiem. Bretton. Panno Bretton. Witam.

- Dobry wieczór panu - odrzekła Victoria, czując, że jej puls przyśpiesza. Podniosła wzrok, a ich oczy się spotkały. - Usiądzie pan?

- Dziękuję, wolę stać.

- Jak pan sobie życzy. - Jej głos był spokojny, cała była rozdygotana. Alistair nie wyglądał na zagniewanego. Wydawał się raczej niepewny, jak ktoś, kto nie spodziewa się niczego dobrego. - Czemu zawdzięczamy pańską wizytę?

Błady uśmiech pojawił się na ustach Alistaira.

- Myślałem, że pani mi to powie. Jestem tu przecież na pani prośbę.

- Na moją prośbę? - Victoria spojrzała na brata. - Musiała zajść jakaś pomyłka. Pan w swoim liście stwierdził, że chce się ze mną widzieć.

- W moim liście?

- Tak. W tym, który otrzymałam nie dalej jak dwadzieścia minut temu. Tym, w którym wyraził pan życzenie złożenia mi dziś wieczorem wizyty.

- Nie wysłałem do pani żadnego listu, panno Bretton. Jestem tutaj dlatego, że otrzymałem list od pani. Prosi mnie pani w nim o złożenie wizyty między szóstą trzydziestą a siódmą. Daje mi też w nim pani do zrozumienia, że będzie to rozmowa w cztery oczy.

- Tak będzie, zapewniam pana - odezwał się spokojnie Laurence. - Ale najpierw wyjaśnię, że to ja sprowadziłem was tutaj.

- Ty?! - Zdumiona Victoria patrzyła na brata. - To ty przysłałeś mi ten list?

- Tak. Podobnie jak ten, który dotarł do pana Devlina, podpisany twoim nazwiskiem.

- Naprawdę? - Wyraz twarzy Alistaira zmienił się, uśmiech zniknął, spojrzenie stało się twarde jak kamień. - Jakież to interesujące! Wygląda na to, że dano mi poznać kolejny z państwa rodzinnych niezwykłych talentów, panno Bretton. Wybacz pani, że nie zostanę...

- Proszę zaczekać! - przerwał Laurence. - Proszę mnie wysłuchać, Devlin. Jeżeli nie ze względu na mnie, to ze względu na moją siostrę. Ona nie miała z tym oszustwem nic wspólnego.

- Więc przyznaje pan, że to jest oszustwo - powiedział ostro Alistair.

- Oczywiście, ale szlag by mnie trafił, gdybym pozwolił wam rozejść się teraz w dwóch różnych kierunkach bez jeszcze jednej próby wyjaśnienia tego okropnego nieporozumienia.

- Laurence, mieszasz się w sprawy, które ciebie nie dotyczą - powiedziała Victoria, wyraźnie zła i zawstydzona postępkami brata.

- Przeciwnie, mieszam się w sprawy, które mnie dotyczą, i to bardzo. Bo widzi pan, moja siostra, mówiąc panu kilka tygodni temu, że pisze pod pseudonimem Valentine Lawe, powiedziała prawdę - oznajmił Laurence. - To ona napisała te cztery sztuki, bez żadnej pomocy z mojej strony.

- W takim razie dlaczego twierdził pan inaczej w obecności sir Michaela? - zapytał ostro Alistair.

- Bo gdybym wtedy powiedział prawdę, Victoria straciłaby zbyt wiele. Zresztą wszyscy mieliśmy zbyt wiele do stracenia - powiedział Laurence. - Przecież mój ojciec i stryj zdecydowanie zaprzeczali plotce w miejscach publicznych...

- Podobnie jak pan.

- Tak - potwierdził Laurence. - A ponieważ bałem się, że prawda, którą chciała wyjawić Victoria, zaszkodzi reputacji naszej rodziny, postanowiłem temu zaradzić. To

dlatego na pytanie sir Michaela odrzekłem, że to ja jestem autorem tych czterech sztuk. A dlaczego nie dałem Victorii szansy na to, by zaprzeczyła? Bo uznałem, że w głowie sir Michaela nie może pojawić się nawet cień wątpliwości.

- Rozumiem - powiedział Alistair, po czym milczał przez dłuższą chwilę. - I mam wnosić, że z wyjątkiem pańskiej siostry, cała pańska rodzina aprobowała ten dziwny plan?

Victoria wzdrygnęła się, słysząc jego ostry ton, natomiast Laurence odparł:

- Nie miałem żadnego planu, panie Devlin. Jak mogłem go mieć, skoro nikt z nas nie wiedział, że sir Michael Loftus zjawi się w naszym domu i zacznie nas indagować? Widział pan, co się wydarzyło, kiedy weszła Victoria? Czy jej reakcja, jej zszokowanie wyglądało na zaplanowane?

Wstrzymała oddech, gdy chmurne spojrzenie Alistaira napotkało jej wzrok. Nie potrafiłaby powiedzieć, co właśnie myślał, wiedziała tylko, że jest zły. Miał do gniewu prawo, bo jej brat, choć powodowany dobrymi intencjami, doprowadził do ich spotkania, posługując się oszustwem. Alistair uwierzył, że list był od niej, podobnie jak ona list napisany przez Laurence'a wzięła za list od niego. A skoro miała nadzieję, że choćby bardzo krótkie spotkanie może doprowadzić do zgody, to dlaczego podobnej nadziei nie mógł żywić także i Alistair?

- Proszę pana - powiedziała, wiedząc, że musi przejąć inicjatywę i poprowadzić rozmowę po swojemu. - Owszem, członkowie mojej rodziny opowiedzieli panu kilka różnych historii, zrozumiałe więc, że trudno się było panu zorientować, kto mówi prawdę. Ponieważ jednak jest pan człowiekiem, dla którego prawda ma tak wielkie znaczenie, chcę, żeby między nami zapanowała szczerłość. Powiedziałam panu, że to ja kryję się pod pseudonimem Valentine Lawe, bo to prawda. Zamierzałam powiedzieć to panu znacznie wcześniej, właściwie to już na drugi dzień po balu maskowym, jednak się przeziębiam i musiałam zostać w łóżku. A zanim wyzdrowiałam, rozeszła się plotka, a nas ogarnęła panika.

- Panno Bretton...

- Nie, nie. Proszę mi dać skończyć - powiedziała stanowczo. Nim on się odezwie, musiał usłyszeć to wszystko, co najważniejsze. - Skoro tylko wieść się rozeszła, chciałam

powiedzieć panu prawdę, lecz mój stryj uznał, że najlepiej będzie plotce zaprzeczyć. Wiedział, że jej potwierdzenie zrujnuje mi reputację, a także bardzo osłabi pozycję rodziny w towarzystwie, a on chciał i jednemu, i drugiemu zapobiec.

- Więc wspomogła pani to rodzinne kłamstwo - powiedział Alistair.

- Tak, bo byłam przekonana, że to najlepsze wyjście - przyznała Victoria. - Zwłaszcza gdy zgodził się na to ojciec...

- A także ja - dodał Laurence.

- Tak, wszyscy uznali, że tak będzie najlepiej, a ja na jakiś czas temu uległam. Powiedziałam sobie, że skoro wszyscy tak sądzą, to pewnie mają rację - powiedziała Victoria. - Ale z czasem, gdy czułam się z tym coraz gorzej, doszłam do wniosku, że kłamstwo nie jest dobrym rozwiązaniem. Najbardziej gnębiła mnie myśl, że okłamałam pana. Bronił mnie pan przecież przed własną rodziną i przyjaciółmi. Wierzył pan w coś, co dotyczyło mnie, ale było kłamstwem. Dlatego doszłam do wniosku, że koniecznie muszę wyjawić panu prawdę. I zrobiłam to - dodała spokojnie. - A widząc pana gniew, przekonałam się, że pan mi uwierzył.

- A mimo to nic się nie zmieniło - przypomniał jej Alistair. - Pani rodzina nie wycofała się z głoszenia nieprawdy.

- Nie, bo im dłużej podtrzymywaliśmy kłamstwo, tym trudniej było mu zaprzeczyć. Wchodziła w grę reputacja nas wszystkich. Mojej matki i ojca, siostry i stryjostwa, a nawet Laurence'a. Wszyscy mogliśmy stracić bardzo wiele, więc milczeliśmy.

- Ale zamierzała pani powiedzieć prawdę wtedy, kiedy był tu sir Michael - powiedział Alistair. - Wiem, że tak było. Poznałem to po pani wyrazie twarzy.

- Tak, bo choć groziło to zniszczeniem dobrego imienia rodziny, bardzo pragnęłam, żeby ta cała mistyfikacja wreszcie się skończyła - odrzekła Victoria. - Chciałam przestać okłamywać wszystkich naokoło. Wiedziałam, że to będzie trudne, ale równocześnie byłam pewna, że tak należy postąpić.

- A pani brat, co oczywiste, był innego zdania - uściślił Alistair.

- Mój brat, podobnie jak stryj, uważał, że ten mit należy podtrzymywać. I dlatego wymyślił idealne rozwiązanie, mianowicie sam podał się za Valentine'a Lawe'a. Wiedział, że w ten sposób oczyści imię wszystkich członków rodziny. Ale uczynił to bez na-

szej wiedzy i zgody. Musiał pan widzieć, jak zszokowany był ojciec. A także ja. Bo absolutnie się tego po nim nie spodziewaliśmy.

- Ponieważ pani brat nie jest aktorem - zauważył Alistair.

- A w każdym razie nigdy nie podejrzewał u siebie aktorskich zdolności - odparła Victoria. - Jednak radzi sobie z tą rolą w sposób zaskakujący dla nas wszystkich. Zrobił to z miłości, panie Devlin, nie dla własnej korzyści.

- Nie może pani jednak zaprzeczyć, że od tamtej pory jego życie diametralnie się zmieniło - powiedział Alistair. - Został słynnym dramaturgiem, który zapewne nie może przejść spokojnie ulicą, bo ludzie podchodzą do niego z gratulacjami i pochwałami. Śliczne młode damy szukają w jego oczach aprobaty, a tuzy świata literackiego wsłuchują się w każde jego słowo.

- Ja nie szukam pochwał i poklasku, panie Devlin - Laurence mówił niby spokojnie, jednak w jego głosie pobrzmiwał gniew. - To Victorię powinno się obsypywać pochwałami, a jednak ją omijają. Dlatego przekazuję jej, co ludzie mówią. Chcę, żeby wiedziała, co myśli o jej sztukach publiczność i jak dobrze się bawi podczas przedstawień. Nie pochlebiam sobie, że posiadam choćby najmniejszą część jej talentu. I żałuję, że wskutek tego wszystkiego nie powstanie pewnie już żadna kolejna sztuka Valentine'a Lawe'a.

- Żadna kolejna sztuka? - zapytał zaskoczony Alistair. - A to dlaczego?

- Dalsze wyjaśnienia zostawiam Victorii - odrzekł Laurence, zmierzając ku drzwiom. - Bo sądzę, że ja sam powiedziałem już wystarczająco dużo.

- Zgadzam się z panem - rzekł Alistair bez uśmiechu i z taką wyższością, że Victoria znów się wzdrygnęła.

Wielki Boże, pomyślała, czyż ten ton nie jest najlepszym dowodem na to, jak on o nas wszystkich źle myśli? Nawet Laurence, kiedy wychodził i zamykał za sobą drzwi, wydawał się tym przybity.

- Panie Devlin - zwróciła się do Alistaira Victoria, gdy zostali sami. - Bardzo pana proszę, niech pan powie, co ma pan do powiedzenia, a potem opuści ten dom. - Mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszał. - Żałuję, że został pan tu sprowadzony za pomocą oszu-

stwa, jednak korzyść z tego jest taka, że teraz zna pan przynajmniej prawdę o Valentinie Lawie.

- Jest pani pewna, panno Bretton, że niczego więcej się nie dowiedziałem?

- Pański ton świadczy dobitnie, że nie. - Poczula, że do oczu napływają jej łzy. - Widzę, jak wielkim gniewem pan pała. I wolę sobie nawet nie wyobrażać, co pan o mnie myśli.

- Co myślę... - powiedział, podchodząc do niej. - Myślę, że jest pani impulsywna, prawdomówna, nierozważna i na każdym kroku łamie pani konwenanse. To pana pasja pisania doprowadziła do tej sytuacji i sądzę, że tą pasją w przyszłości będzie także utrudniała pani życie. Jednakże...

- Jednakże...? - powtórzyła Victoria, podnosząc na niego wzrok.

- Jest pani także hojna, inteligentna, lojalna i odważna, nie mówiąc o pani wielkim talencie literackim i urodzie. I wiem - dodał łagodnie - że kogoś tak szczerego jak pani te przeżycia mogą doprowadzić do stanu, w którym będzie miał senne koszmary. Mnie w każdym razie by doprowadziły.

- Więc rozumie pan, co próbowałam powiedzieć?

- Nie tylko to rozumiem. Ja doświadczyłem czegoś podobnego. Bo jak pani myśli, dlaczego trzymam w sekrecie sprawy sierocińca?

- Bo nie chce pan... - zmarszczyła brwi - za swoją działalność usłyszeć pochwał?

- Ależ skąd! Nie usłyszałbym żadnych pochwał, gdyby o tych moich poczynaniach dowiedziała się rodzina, a już zwłaszcza rodzice. Dlatego wie o niej tylko Isabelle, bo nie tylko nie wzdraga się na moje poczynania, ale aprobuje je całym sercem.

- Mówił pan jednak, że rodzice popierają pańską filantropię.

- Owszem, popierają łożenie na biednych, ale tylko na odległość. Nigdy nie zaaprobowałiby tego, że tak żywo interesuję się ludźmi, którym chcę pomóc - powiedział Alistair. - Byliby przerażeni, gdyby się dowiedzieli, że spędzam czas z ulicznikami i tymi, od których społeczeństwo się odwraca. Zwłaszcza gdyby wiedzieli, że inspiracją do tego jest to, co się stało z Heleną.

- Ale przecież to czyni pańską działalność jeszcze szlachetniejszą - szepnęła Victoria. - Jest pan tak bardzo wart podziwu...

- Podobnie jak pani. Ma pani talent, panno Bretton. Talent do pisania sztuk, które dają mądrą rozrywkę tysiącom ludzi. Gdyby była pani mężczyzną, wynoszono by panią za ten talent pod niebiosa, czego właśnie doświadcza pani brat. Nie może pani myśleć źle o sobie z tego powodu, że pani pisze.

- Ale przecież... mówiąc panu prawdę, wzbudziłam pana gniew...

- Tak, ponieważ arogancko dostrzegałem tylko to, że nie była pani do końca ze mną szczera - przyznał Alistair. - Wstrząsnęło to mną, gdyż widziałem w pani osobę obdarzoną cechami, które najbardziej podziwiam w kobiecie. Ponadto muszę pani powiedzieć, że podziwiam pani pasję do rzeczy niepodlegających modzie. Ma pani też wyobraźnię, a tą obdarzonych jest bardzo niewiele kobiet. Żyła sobie pani bezpiecznie i przyjemnie, pisząc sztuki i oglądając je na scenie, dopóki nie pojawiłem się ja i nieумыślnie nie doprowadziłem do ujawnienia tego stanu rzeczy. Nie musiała pani mówić prawdy nikomu, bo nikt tak naprawdę nie musiał jej znać. A poza tym obiecała pani matce, że jej nie wyjawia.

- Co do mamy, to wolałaby, żebym tych sztuk w ogóle nie pisała.

- To prawda. Jednak takiemu talentowi i pasji twórczej nie można się oprzeć. Jak to powiedział pani brat? Pomysły wypływają jak woda ze studni i nic nie może ich powstrzymać. Jestem pewien, że zasłyszał to zdanie od pani. I może mi pani wierzyć lub nie, ale znam tego rodzaju impulsy - powiedział Alistair. - To tak jak z lekarzem, który musi leczyć chorego. Bóg wie, że utalentowanych ludzi jest mało. Mało też jest takich, którzy idą za swoim marzeniem, z energią i poświęceniem dążąc do jego realizacji. Pani ma talent i odwagę. Dowodzi tego sukces, który pani osiągnęła, pisząc pod pseudonimem.

- Ale kosztowało mnie to tak wiele - odrzekła Victoria, bo choć wypowiadał pochwały, nie słyszała w jego głosie serdeczności. - Widziałam, jaki gniew wywołał w panu fakt, że mój brat za pomocą oszustwa z listami doprowadził do naszego spotkania. Ja o tym oszustwie nie wiedziałam, jednak gdybym wiedziała, że przyczyni się do zmiany pańskiego zdania na mój temat, na pewno bym je poparła.

- Moja najdroższa Victorio, moje zdanie o pani nie musi się zmieniać. Ja panią kocham!

- Naprawdę? - powiedziała bez tchu.

- Oczywiście. Właśnie to chciałem pani powiedzieć podczas wieczoru u lady Morgan. I w tym celu przyszedłem tutaj dzisiaj.

- Ale... ja myślałam, że pan przyszedł z powodu listu Laurence'a.

- Oczywiście, jednak już wcześniej, nim otrzymałem ten list, postanowiłem to zrobić. Chciałem wyznać pani miłość, zanim wyjedzie pani z Londynu. To dlatego informacja, że list był od pani brata, a nie od pani, wzbudziła mój gniew. Przecież byłem przekonany, że list był napisany pani ręką i że pani, tak samo jak ja, pragnie wyjaśnić całe to nieporozumienie. Myślałem, że utraciłem panią na zawsze. - Podszedł bliżej i wziął ją za rękę. - Przecież musiała się pani domyślać, co do pani czuję.

- Nie domyślałam się - wyszeptła Victoria. - Miałam nadzieję... rozpaczliwą nadzieję, że panu na mnie zależy, ale wszystko to tak bardzo było uwikłane w kłamstwa.

- Wiem. I właśnie dlatego przyszedłem - powiedział cicho, całując ją w skroń. - I dlatego nie wyjdę stąd, dopóki mi nie powiesz, że mnie kochasz i że zostaniesz moją żoną.

Victoria utonęła w jego objęciach.

- Kocham cię, Alistairze, i niczego nie pragnę bardziej jak być twoją żoną. Ale... co zrobimy z Valentine'em Lawe'em?

- A musimy coś z nim robić?

- Nie możemy przecież dopuścić do tego, żeby Laurence musiał nadal grać jego rolę.

- Dlaczego? - Alistair wtulił usta pod jej ucho, w miejsce, które okazało się nadszpiegowanie wrażliwe. - Wygląda przecież na to, że się dobrze tym bawi.

- Ale nigdy nie napisał żadnej sztuki - odrzekła cicho Victoria, zdecydowana załatwić sprawę, zanim pocałunki odbiorą jej rozsądek. - Co powiedzą ludzie, jeżeli nie napisze żadnej kolejnej?

- A ja pytam ponownie: dlaczego nie miałyby być kolejnych? - Z ociąganiem podniósł głowę. - Przecież nie zamierzasz przestać pisać, prawda?

- No... zamierzam. Bo myślałam, że tego byś sobie życzył, zwłaszcza jeżeli mam być twoją żoną.

- A ty... czy życzysz sobie, żebym przestał się zajmować sierocińcem?

- Oczywiście że nie. Ale przecież to co innego.

- Dla mnie to samo. Nie chcę, kochanie, żebyś zrezygnowała z jakiegokolwiek części siebie - szepnął, zanurzając usta w jej miękkich włosach. - Chyba że sama chcesz przestać pisać. Mówiłaś jednak, że piszesz od dawna i kochasz to zajęcie.

- Tak. I był czas, kiedy myślałam, że tylko twórczość się dla mnie liczy. Ale się zakochałam i uświadomiłam sobie, że muszę dokonać wyboru... i... wybrałam życie z tobą.

- A twój brat wybrał kostium Valentine'a Lawe'a, więc dlaczego mielibyśmy to zmieniać? To, że Laurence odgrywa tę rolę, jest doskonałym rozwiązaniem dla nas wszystkich. Twój brat cieszy się z takiej pozycji w społeczeństwie, jakiej nie miał nigdy dotąd, a ty możesz w domowym zaciszu pisać sztuki i zachować anonimowość, co przecież dotąd z powodzeniem robiłaś.

- Więc chciałbyś, żeby to nadal trwało? - zapytała Victoria. - Nawet jeżeli to oszustwo?

- Moja najdroższa, zgodzę się na wszystko, co pozwala nam być razem - odparł z szerokim uśmiechem. - Chcę, żebyś była szczęśliwa jako moja żona.

- Będę szczęśliwa tak długo, jak mnie będziesz kochał.

- Co do tego nie powinnaś mieć obaw. Ale być może kiedyś, kiedy będziesz już stara i siwa, zechcesz gwoli rozrywki napisać pamiętniki, w których wyznasz, że to ty napisałaś sztuki Valentine'a Lawe'a, a ja wiedziałem o wszystkim.

- Nie mogłabym tego zrobić!

- Ależ oczywiście, że kiedyś napiszesz takie wspomnienia! - odparł rozbawiony. - Każdej staruszce dobrze robi jakiś skandal z młodości. Pomyśl tylko, jak bardzo wszyscy będą cię oblegali, pragnąc dowiedzieć się sensacyjnych szczegółów.

Victoria roześmiała się.

- Och, Alistairze, nie masz pojęcia, jak mnie uszczęśliwiłeś - powiedziała, dotykając czołem jego czoła.

- Nie, to ja jestem uszczęśliwiony, a uszczęśliwiłaś mnie ty. Podjęłaś ogromne ryzyko, mówiąc mi prawdę, kochanie. Przecież mogłem cię wydać. Jeżeli to nie jest dowód twojej miłości i uczciwości, to nie wiem, co nim może być.

- Pragnę ci powiedzieć, że powodowały mną jak najbardziej szlachetne intencje, jednak prawda jest też taka, że nie mogłam spać, martwiąc się, co z tego wyniknie.

- A ja, moja kochana, nie muszę słyszeć nic więcej. Gdybyś nie miała poczucia winy, oznaczałoby to, że bez trudu potrafisz żyć w kłamstwie.

- Cóż mogłabym na to powiedzieć, Alistairze... Przeciągnął palcem po jej szyi w taki sposób, że zadrżała.

- Jak sądzisz, w jaki sposób Valentine Lawe zakończyłby tę scenę?

- Wiem, jak chciałby ją zakończyć - powiedziała z uśmiechem. - Ale wątpię, czy takie zakończenie dopuściłby cenzor.

- Tu go nie ma, więc odegrajmy to zakończenie. A ty graj bardzo przekonująco.

- Kochanie, gdy chodzi o moją miłość do ciebie - przyciągnęła jego głowę do swojej - nie muszę nic grać!

